Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

WOLNA SOBOTA

• Matyja: PiS się pozbierał • Kasparow: „Zróbmy” rosyjski Tajwan • Brzezińska: Inkwizycja nie wierzyła w czary • Szczerek z Kate Winslet w Rurytanii

WYSOKIE OBCASY

Świętujcie z nami 25. urodziny!

GAZETA wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Słaba płeć

Kobiety są z Marsa, mężczyźni z krzywdy

RYS. ALICJA KOCUREK

wydaje Agora SA, nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X

Śmierć syna Bolesława Piaseckiego
Odtajniono część dokumentów

Służba w „Strefie interesów”
Kim były dziewczyny pracujące u oprawców

Arka Aleksandra Ładosia
Jak polscy dyplomaci ratowali Żydów z getta

Sobota–niedziela, 13-14 kwietnia 2024 | Redaktorka prowadząca Ewa Wieczorek | Cena gazety 9,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 87.10581, 1 | Nakład 92 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl ab36aaa8da

Agnieszka Kublik

„Wiadomości" TVP wciąż żywe

Gdy patrzę na mapę Polski pokazującą poparcie dla PiS w wyborach samorządowych, mam przed oczami mapę z oglądalnością „Wiadomości" TVP. I to jest odpowiedź na pytanie o wygraną Kaczyńskiego.

PiS zdobył najwięcej głosów w siedmiu sejmikach, w tym w podlaskim – 43,37 proc., lubelskim – 47,17 proc., podkarpackim – 51,96 proc. świętokrzyskim – 42 proc.

Tradycyjnie właśnie tu PiS jest najsilniejszy. I w tych województwach „Wiadomości", główny program informacyjny telewizji Jacka Kurskiego, cieszył się największym powodzeniem.

„Wiadomości" miały najwyższą oglądalność w podlaskim świętokrzyskim i podkarpackim. To dane z jesieni, lecz tak samo było wcześniej. W tych województwach przekaz PiS był najchętniej odbierany. Przypadek? Może. Ale są jeszcze dane o oglądalności regionalnych programów informacyjnych. Najwięcej widzów przyciągały TVP Białystok, TVP Rzeszów i TVP Lublin.

Tak, telewizyjna propaganda działa cuda. Nawet po śmierci. Choć od grudnia już nie atakuje widzów telewizji publicznej, zostawiła trwałe ślady w duszach i umysłach. TVPiS miała za cel nie informowanie, a wpływanie na widzów, ich oceny, przekonania, postawy. Kreowanie rzeczywistości korzystnej dla partii władzy oraz wywoływanie emocji wobec władzy (pozytywnych) i opozycji (negatywnych). Te emocje wciąż buzują. Doszły do głosu w wyborczą niedzielę.

Czy Kurski będzie stał za Kaczyńskim do wyborów europejskich?

Kreator tej propagandy, Jacek Kurski, pojawił się w wieczór wyborczy tuż za Kaczyńskim. Bardzo zadowolony. I starannie wyreżyserował kadr – tak się ustawił, że musiała go ująć każda kamera skierowana na prezesa PiS. Czyli wszystkie kamery.

Przypadek? Może. Ważni ludzie PiS bagatelizują obecność „Kury" na wieczorze wyborczym. Mateusz Morawiecki twierdzi, że „Kurski podbiegł na koniec". Cóż, Kurski wiedział, kiedy i dokąd podbiec. A Morawiecki nie.

No i dopiero co Kurski napisał dla Kaczyńskiego raport, w którym stawia tezę, że PiS wygrałby w październiku i utrzymał władzę, gdyby nie odwołanie jego, Kurskiego, przez Radę Mediów Narodowych we wrześniu 2022.

„To nie opozycja wygrała te wybory, lecz przegrali je dla PiS ludzie, którzy na rok przed najważniejszymi wyborami zdecydowali o rozmontowaniu rozpędzonej, zwycięskiej maszyny TVP, jedynego skutecznego medium masowego przekazu, jakim dysponowała Zjednoczona Prawica — powierzając ją ludziom bez talentu, intuicji, słuchu społecznego, kwalifikacji medialnych i wyczucia politycznego" – informują Kaczyńskiego związani z Kurskim autorzy. Grając na czułej nucie – w korytarzach Nowogrodzkiej mówi się, że prezes wciąż wierzy w skuteczność grubo ciosanej propagandy. Właśnie takiej a'la Kurski.

Czy „człowiek z talentem, intuicją, słuchem społecznym, kwalifikacjami medialnymi i wyczuciem politycznym" będzie stał za Kaczyńskim do wyborów europejskich? A może aż do prezydenckich? ●

Nocne życie w Ukrainie
Szczęście nietoperza

FOT. REUTERS/VALENTYN OGIRENKO

Ten puchaty latający ssak kończy turnus w ukraińskim centrum rehabilitacji nietoperzy. Jest ich tam tysiące, uratowanych i zwiezionych z wielu ukraińskich miast. Wyleczone są wypuszczane na wolność. Może się odwdzięczą: wyobraźmy sobie armię nietoperzy...Kijów, kwiecień 2024 rok

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Biennale w Wenecji
Pawilon wyklęty

Wystawa Ignacego Czwartosa, prawicowego malarza, jednak pojedzie do Wenecji. Mimo że odwołał ją minister Sienkiewicz. Projekt sfinansuje Polska Fundacja Narodowa, choć jej radę minister odwołał jeszcze w lutym. Kuratorem wystawy „Polonia bez cenzury" będzie Piotr Bernatowicz, dyrektor Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie. Obrazy Czwartosa będą pokazywana w kamienicy przy Viale IV Novembre 8. To tuż obok weneckich Giardini della Biennale, gdzie mieści się oficjalny polski pawilon. „Mamy to miejsce dzięki naszemu przyjacielowi z Wenecji. " – mówił Bernatowicz w Radiu Wnet. Czwartos to jeden z ulubionych artystów „dobrej zmiany". Maluje m.in. „żołnierzy wyklętych", wizerunki Jezusa i świętych, w Zachęcie prezentowany był też obraz przedstawiający samego Czwartosa w sarmackiej pozie i z szalikiem Korony Kielce. Projekt wysyłany do

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wenecji jeszcze przez ministra Glińskiego zakładał m.in. namalowanie obrazu z Angelą Merkel i Władimirem Putinem połączonymi swastyką. Tytuł: „Nord Stream 2". Bernatowicz zastrzegł jednak: „Prac będzie mniej, bo nie dysponujemy tak dużą przestrzenią, jak przestrzeń pawilonu".

W oficjalnym pawilonie pokazany będzie projekt kuratorki Marty Czyż „Powtarzajcie za mną", zrealizowany z ukraińskimi artystkami: zbiorowy portret świadków trwającej w Ukrainie wojny. ● **Witold Mrozek**

Andrzej rysuje

In Vitro za darmo

FOT. SHUTTERSTOCK

Program obejmie pary ze stwierdzoną niepłodnością i takie, które przez rok regularnego współżycia nie doczekały się ciąży. Nie tylko małżeństwa

O limitach wieku czytaj
▶ **Wyborcza.pl**

WWW.NEKROLOGI.WYBORCZA.PL/34311743

W dniu 29 marca 2024 roku w wieku 91 lat zmarła

ŚP

Barbara Majewska-Celnikier

Esencja wolności rozświetlała jej drogę aż do ostatnich dni.
Kierując się zasadami wolności słowa i myśli,
poświęciła się sztuce i sprawie wolnej Polski,
uosabiając siłę i niezależność, które definiowały jej charakter.

Nabożeństwo żałobne odbędzie się
we czwartek, 18 kwietnia 2024 r. o godz. 12.30
w kościele pod wezwaniem św. Marcina
przy ul. Piwnej 9/11 w Warszawie,
po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłej
na cmentarz Stare Powązki (IV brama).

O czym zawiadamiają pogrążeni w smutku

syn Jakub Celnikier, wnuki Elie, Samuel i Emmanuelle Celnikier,
synowa Marion Daubry i pozostali członkowie rodziny.

1 RP

eprasa.pl ab36aaa8da

AUGUSTA NATIONAL GOLF CLUB

HIDEKI MATSUYAMA, 2021

JON RAHM, 2023

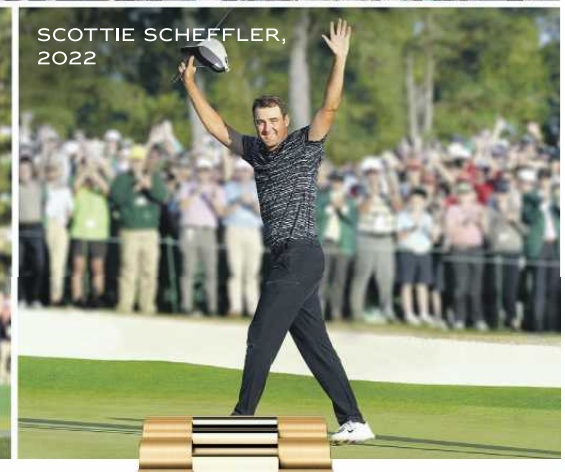
SCOTTIE SCHEFFLER, 2022

SZEPTY I WRZAWA

To miejsce, gdzie tylko nieliczni mogą trzymać głowę wysoko. Ci, którzy słuchają „szeptów zieleni" i chylą czoła przed „wrzawą tłumów". Tutaj tradycje sięgają tak głęboko, że tylko najbardziej godni zasługują na zwycięstwo. Pole jest wytyczone tak precyzyjnie, że tylko najbardziej zdeterminowani mogą mieć nadzieję na jego pokonanie. Tutaj nieliczni wybrańcy mogą odebrać lekcję mistrzostwa, która pozwala zmierzyć się z niemożliwymi przeciwnościami i obrać kurs na wygraną. Tutaj mogą odkryć prawdziwą siłę swojego charakteru. **Witamy na turnieju Masters.**

#Perpetual

OYSTER PERPETUAL DAY-DATE 40

MASTERS

THE MASTERS TOURNAMENT
AUGUSTA NATIONAL GOLF CLUB
11 – 14 KWIETNIA 2024

ROLEX

REKLAMA

eprasa.pl ab36aaa8da

PiS się pozbierał, Tusk wygrał

TE WYBORY ZMIENIĄ WSZYSTKO

I samorządy, i sposób funkcjonowania największych partii.

ROZMOWA Z
RAFAŁEM MATYJĄ
politologiem, badaczem miast

DOMINIKA WIELOWIEYSKA: W sejmikach wojewódzkich PiS zdobył procentowo najwięcej głosów, Koalicja Obywatelska jest druga. I nie widać premii od wyborców dla zwycięzców wyborów parlamentarnych, czyli rządzących partii. A jednak to Koalicja 15 Października będzie mieć władzę w większości sejmików. Ma większość w 11, PiS opanuje 4 czy 5. Z jednej strony to sukces Kaczyńskiego, gdyż długo zdawało się, że PiS jest na równi pochyłej. Z drugiej – spora zmiana, bo w poprzedniej kadencji rządził w 8.

RAFAŁ MATYJA: – Faktycznie można było spodziewać się premii dla zwycięzców zaraz po wyborach parlamentarnych. Jednak ta premia została osłabiona przez dwie rzeczy. Po pierwsze: małe miejscowości, gminy wiejskie, poszły znacznie chętniej do tych wyborów niż duże ośrodki. A po drugie: główne partie Koalicji 15 Października nie skupiły się na sejmikach. Za bardziej prestiżowe i istotne uznały wybory miejskie, a zwłaszcza tam, gdzie się między sobą pokłóciły i wystawiły osobnych kandydatów.

Innymi słowy, przyczyną tego wyniku jest frekwencja w miastach i mniejszy nacisk rządzących na wybory sejmikowe, zwłaszcza w tych województwach, gdzie można było, jak w Małopolsce, przechylić szalę na swoją korzyść.

Dlaczego frekwencja była tak znacząco niższa niż w wyborach parlamentarnych?

– Dla części wyborców najważniejsze było głosowanie 15 października i ono spowodowało efekt ulgi – „PiS odsunięty" – i poczucie, że wszystko jest przesądzone, pójdzie już tylko ku dobremu.

Ale też bardzo duża część obywateli nie uważa wyboru władzy samorządowej za super ważny. Zdają sobie sprawę, że gros rozstrzygnięć, które ich interesują, zapada na poziomie parlamentarnym.

Są też kwestie „techniczne" – wybierając posłów, możemy łatwo głosować w miejscowości, w której nie jesteśmy zameldowani. W wyborach samorządowych to dużo trudniejsze, trzeba uzyskać jakąś formę potwierdzenia, że się mieszka w danym miejscu i to dla wielu osób, na przykład studentów – a więc wyborców tej strony, która dzisiaj rządzi – było za dużym wysiłkiem. Poza tym ludzie nie zawsze się czują związani z miejscem, w którym mieszkają. To wystarczy, żeby nastąpiło tąpnięcie we frekwencji.

Ale przede wszystkim PiS się pozbierał. Miał znacznie większą motywację do działania, zwłaszcza tam, gdzie rządził.

Działacze zdawali sobie sprawę, że już ofert pracy z centrali, z Warszawy, nie będzie, więc wszystko, co da im jakieś polityczne życie, jest związane z wygraną w województwach. A determinacja po stronie Platformy, Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy wśród lokalnych działaczy była znacznie mniejsza.

A co się zmieniło w strategii PiS? Oprócz tego, że mieli motywację, świadomi, że innych posad niż w samorządzie nie będzie.

– Nastąpiło złagodzenie retoryki, aby nie mobilizować drugiej strony.

Ale też porównywanie wyników jednych i drugich wyborów nie do końca ma sens. Od dawna przyglądam różnicom kampanii parlamentarnych i sejmikowych i ta samorządowa jest oparta w znacznie większym stopniu na tym, co się dzieje w okręgach, na głosach zdobywanych w lokalnych wspólnotach, niż na tym, co się dzieje w centrali. Dlatego kandydatom PSL, ale też dwóch dużych partii z rozbudowanymi kadrami na wielu szczeblach, czyli PiS i PO, jest dużo łatwiej.

Lewica, czego by nie wywijała na scenie ogólnopolskiej, nie ma szans przełożyć tego na wynik w samorządach, bo w bardzo wielu miejscach nie ma dobrych kandydatów. Dobrych, czyli takich, którzy są znani lokalnie, mają sieć kontaktów i zależności. Na budowę takich struktur pracuje się latami.

Ostatnie wcielenie lewicy, które miało takie aktywa, to była lewica spod znaku Leszka Millera – ludzie osadzeni w lokalnych społecznościach jeszcze z czasów PRL. Dziś ani w głównym nurcie Lewicy, ani w Partii Razem nie ma radnych wojewódzkich, którzy by znali rozmaite struktury społeczne, mieli wpływ, a to w Straży Pożarnej, a to w parafii, a to w Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Nie szukałbym wyjaśnień słabości Lewicy na szczeblu polityki centralnej. Ona po prostu nie jest lokalnie zsieciowna. A własnych wyborców nie udało się jej zmobilizować, bo elektorat, który głosuje na partię ze względów głównie światopoglądowych, widzi w niej gwarancję realizacji jego postulatów – w tym przypadku w sprawach aborcji czy praw osób LGBT+ – po prostu uznaje, że w sejmikach się tego nie załatwia, i zostaje w domu. To był właśnie błąd Włodzimierza Czarzastego, któremu się wydawało, że korzyści przyniesie rozkręcenie tematu aborcji. W tych wyborach tego się nie rozstrzyga.

Może jednak awantura o aborcję między Hołownią a Lewicą zaszkodziła koalicji.

– Dla wyborców nie jest istotne tak bardzo, że ktoś się z kimś pokłócił o jakieś pryncypia czy że ktoś kogoś obraził. My przeceniamy wpływ wydarzeń, które widzimy jako uważni obserwatorzy. Wielu wyborców, którzy nie pasjonują się na co dzień polityką, rozumuje tak: jest nowa ekipa, dajmy im czas, niech pokażą, co potrafią. I taka opcja może skutkować absencją w wyborach albo w ogóle dystansem do polityki lokalnej.

W Małopolsce KO liczyła, że odbierze władzę PiS. A tymczasem PiS ma większość, zaś Lewica nie przekroczyła progu 5 proc. Czy gdyby Tusk wziął ją na pokład, toby w Małopolsce rządził?

– Gdyby Lewica przekroczyła próg, zabrałaby mandat komuś innemu, nie PiS-owi. Przewaga PiS w mandatach w sejmiku wynosi 21 do 18. Ale też wynik parlamentarny w tym województwie, gdyby był przeliczony na mandaty sejmikowe, dawałby niemal równowagę – 20 PiS, 19 KO. I gdyby się intensywniej popracowało przez ostatnie kilka miesięcy, ten stosunek można by zmienić w zwycięstwo. Jednak premier Tusk przyjechał tylko do Krakowa, z przesłaniem dla krakowian. Nie pojechał do Tarnowa czy Nowego Targu. Taki objazd byłby odebrany jako sygnał, że Tuskowi na Małopolsce zależy.

Natomiast jeżeli pani pyta, czy w ogóle sojusz wyborczy KO z Lewicą miałby sens, to tak, jak najbardziej. On nie ma sensu w wyborach do Parlamentu Europejskiego, tym bardziej że obie partie są w różnych frakcjach.

W całym kraju PiS ma 15 sejmikowych mandatów mniej niż w 2018 r., choć nadal jest na pierwszym miejscu. KO ma 16 mandatów więcej, Trzecia Droga 10 więcej, Lewica 3 mniej.

– Tylko że liczba mandatów może być przedmiotem analizy politologów, pochylających się nad szczegółami rozkładu głosów. W polityce liczy się to, w ilu sejmikach rządzi PiS, a w ilu Koalicja 15 Października.

Ja zakładałem, że dla ekipy rządzącej 12 województw to minimum do wygrania, a proszę przypomnieć sobie, co mówili liderzy ugrupowań rządzących: że zdobędą nawet 15-16 sejmików. Więc to nie jest ich sukces. Co innego Kaczyński – on nie liczył, że utrzyma władzę choćby w czterech-pięciu sejmikach. Oczywiście w stosunku do 2018 r. poniósł porażkę, ale wtedy miał wszystko – media, aparat państwa, pieniądze – do dyspozycji. Teraz był po przegranych wyborach parlamentarnych i te pięć województw to jest dla niego bardzo, bardzo duży sukces.

PiS dostał kroplówkę, będzie miał oparcie materialne dla działaczy, ich morale się podniesie.

PiS dostał kroplówkę, będzie miał oparcie materialne dla działaczy, ich morale się podniesie

• **Wybory samorządowe w Poroninie. Jako pierwsi głosowali starsi ludzie, od razu po niedzielnej mszy** FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

IPSOS pokazał przepływy elektoratów w porównaniu z wyborami 15 października. Blisko 87 proc. wyborców, którzy głosowali na PiS do sejmików, głosowało na tę partię jesienią. Na drugim miejscu, jeśli chodzi o wierność elektoratu, jest KO – 75 proc. – natomiast tylko połowa tych, którzy głosowali na sojusz Hołowni i Kosiniaka-Kamysza, to ci, którzy głosowali na Trzecią Drogę także do parlamentu. Wniosek: PiS przetrwa. Bo dysponuje najtwardszym elektoratem, który idzie do wyborów i choćby się paliło, waliło.

– To prawda, ale od dawna wiedzieliśmy, że i Platforma, i PiS mają te najbardziej twarde własne elektoraty. I wiedzieliśmy, że partie nowe mają kłopot ze stabilnością. Raz elektorat do nich napływa, a raz odpływa.

PSL solo zawsze miał o wiele lepsze notowania w wyborach samorządowych niż w parlamentarnych, a tym razem tej różnicy między wynikiem Trzeciej Drogi 15 października i 7 kwietnia nie ma. Alians z Polską 2050 niewiele dał ludowcom.

– Polska 2050 jest po prostu słaba w samorządach, to partia, która nie jest tak zakorzeniona lokalnie, jak PSL.

Ale też trzeba być ostrożnym w uogólnieniach. Wiele zależy od specyfiki regionu. Możemy położyć dwa wyniki kandydatów TD na szali: bardzo słaby, kilkuprocentowy wynik Rafała Komarewicza w Krakowie oraz wynik Izabeli Bodnar we Wrocławiu, która ma szansę wygrać. To byłaby sensacja, bo Wrocław wypadłby z talii wielkomiejskich kart, których większość trzyma PO.

Wyciągam taki wniosek z naszej rozmowy, że jednak specyfika lokalna jest bardzo ważna i może trochę na siłę porównu-

eprasa.pl ab36aaa8da

jemy wyniki wyborów samorządowych z parlamentarnymi.
– Przede wszystkim ludzie wiedzą, że to są rozstrzygnięcia lokalne i że głosują, kto będzie decydował o ich codziennych, sąsiedzkich sprawach przez pięć lat, a nie po raz drugi do parlamentu.

Ale druga bardzo istotna rzecz, to cel i strategia KO, a właściwie PO. Otóż Platforma Obywatelska postawiła także na średnie miasta. Wcześniej popierała tam różnych kandydatów, nazwijmy to, antypisowskich, ale niekoniecznie związanych z partią. A teraz wystawiła partyjnych kandydatów.

Taki ruch PO kosztował władzę Wojciecha Szczurka w Gdyni. To spektakularny przykład, bo rządził w tym mieście od wielu kadencji i było trochę tak, że „mówisz Gdynia, myślisz Szczurek" – ale to samo się stało w Toruniu i wielu innych miastach.

To bardzo ciekawe zjawisko, które zmieni i samorządy, i sposób funkcjonowania PO jako partii. Strategia Tuska zapewne była taka, że sejmiki nie są już takie ważne, natomiast strategicznie ważna będzie liczba prezydentów miast, także tych mniejszych, bo tam jego partia ma jeszcze olbrzymie rezerwy. Te miejscowości trochę umykają naszemu widokowi, w pierwszych dniach po wyborach uwaga naturalnie koncentruje się na tych 10 metropoliach. Ale w tej drugiej grupie dzieją się ciekawe rzeczy, na nowo mebluje się lokalna scena. I okaże się, że samorządy zarządzane przez lokalne komitety, niekojarzone z jakąkolwiek partią, osłabną.

Myśląc o rywalizacji między blokiem 15 października a PiS, nie dostrzegamy tych przewag, na których może Tuskowi zależeć. Zwłaszcza że PiS ostentacyjnie odpuścił wybory wielkomiejskie, wystawił tam kandydatów z trzeciego szeregu. Więc dzięki silnej reprezentacji w miastach dużych i średnich KO może zdobyć przewagę nad koalicjantami w kontekście wyborów prezydenckich 2025.

I to by tłumaczyło, dlaczego Tusk nie poszedł z Lewicą. Być może pomyślał: trudno, Małopolskę stracimy, ale Czarzasty będzie miał jeszcze bardziej pod górkę.

I tłumaczyłoby też ten wpis Tuska na platformie X: „W stu (tak, stu!) największych miastach Polski PiS przegrał pierwszą turę. W każdym z nich. Tylko w szesnastu weszli do drugiej tury. W sejmikach – jedenaście do pięciu dla Koalicji". A Cezary Tomczyk z KO też na X zażartował: pokazał mapę miast powyżej 50 tys. mieszkańców, w których PiS spektakularnie wygrał. I na tej mapie nie ma ani jednego punktu. Czysta kartka.
– PO najwidoczniej uznała, że te wybory powinny posłużyć jej do wzmocnienia pozycji w obrębie koalicji, i to jest ważniejszy cel niż wygrana koalicji jako takiej. PO ewidentnie zmieniła podejście do mniejszych miast i to jest ważny sygnał dla Hołowni, Czarzastego, Kosiniaka-Kamysza. Bo Platforma tu buduje tylko swoją siłę, a nie siłę całej Koalicji 15 października.

Wybory w miastach pokazały, że to nie jest tak, iż ludzie siłą rozpędu głosują na obecnych prezydentów. Niektórzy, również ci zasłużeni, mocno osadzeni, odpadli, inni muszą walczyć w drugiej turze.
– Aczkolwiek jest naturalne ciążenie, żeby przedłużać kadencję, jeżeli prezydent nic nie zbroił. Ale też Wojciech Szczurek – że przywołam modelowy przykład – przyzwyczaił się do rywalizowania z osobami wyraźnie słabszymi. Rok 2018 był bardzo ważny z tego punktu widzenia, bo dał niektórym prezydentom poczucie, że oni w zasadzie wygrali dzięki swojej wspaniałości. Zapomnieli, że niewystawienie przez PO kontrkandydata niesamowicie ułatwia im zadanie. To samo stało się w Legnicy, gdzie Tadeusz Krzakowski, też wieloletni włodarz z eseldowskim rodowodem, nie wszedł do drugiej tury.

W Legnicy będzie druga tura. Zmierzą się kandydat KO Maciej Kupaj oraz reprezentantka PiS Joanna Łokaj-Śliwińska
– Właśnie, do akcji wkroczył kandydat KO. To w ogóle bardzo dobrze dla społeczności lokalnych, że demokracja samorządowa, nawet jeżeli jest bardzo zorientowana na reelekcję lub wydaje się zakonserwowana, od czasu do czasu potrafi przytrzeć nosa nawet pewniakom.

Wspomniał pan Toruń. Tam prezydent Michał Zaleski spotka się w drugiej turze z Pawłem Gulewskim z KO. 71-letni Zaleski wygrywał od 2002 r., od 2006 r. za każdym razem w I turze. Startuje z własnego komitetu, rodowód ma SLD-owski, a wsparcie dawał mu ojciec Rydzyk.
– Toruń to dobry przykład wspomnianej strategii PO. Warto po drugiej turze zrobić szczegółowe podsumowanie, na ile jej aktywa wzrosły w miastach, na ile wygrała tę wewnętrzną rywalizację z koalicjantami.

To będzie wynik efektu wyborów w wielu miastach. Inny przykład to Częstochowa, gdzie do drugiej tury weszli dotychczasowy prezydent z Lewicy Krzysztof Matyjaszczyk i kandydatka PiS Monika Pohorecka. Poparcie dla nich jest podobne. Matyjaszczyk był zawsze silny, rządzi od 2010 r., ale tym razem KO i Trzecia Droga wystawiły swoich kandydatów, stąd druga tura.

Swoją drogą, przegrana Matyjaszczyka byłaby wielkim ciosem dla Lewicy, która i tak jest słaba w samorządach.

Co w takim razie mówi nam to, że Aleksandra Dulkiewicz zgodnie z oczekiwaniami zostaje prezydentką w Gdańsku w pierwszej turze, a Jacek Jaśkowiak czy Konrad Fijołek zaskakująco muszą walczyć w drugiej turze? Czy zaważyły tylko względy właśnie lokalne, stricte miejskie?
– Każdy przypadek jest inny. Ja akurat słyszałem o Jaśkowiaku krytyczne głosy od osób sympatyzujących z szeroko rozumianą Koalicją 15 października. Jeśli chodzi o Fijołka, to on miał jednak trudny region, na Podkarpaciu PiS jest bardzo silny. Dlatego druga tura w Rzeszowie nie dziwi.

A warszawskie wybory pana zainteresowały?
– To był bardzo ważny test przed wyborami prezydenckimi. Poznaliśmy wyborczy potencjał Rafała Trzaskowskiego i Magdaleny Biejat, a także Tobiasza Bocheńskiego. Z tego testu zwycięsko wyszedł tylko Trzaskowski.

Również dlatego, że dziś w sytuacji polaryzacji PO-PiS bardzo trudno zbudować własną pełnowymiarową tożsamość. Choć jakąś próbą, od strony programowej, udaną i ciekawą, była kampania Biejat.

Która zyskała takie samo poparcie jak Lewica w Warszawie 15 października. A może to jest taki mit, powstały za sprawą sukcesu Lecha Kaczyńskiego i wzmocniony startem Trzaskowskiego przeciwko Dudzie w 2020 r., że jak komuś pójdzie dobrze w Warszawie, to on ma lepszy start na prezydenta RP. Mit, bo Warszawa jest specyficzna, a jak wiadomo, „wybory wygrywa się w Końskich".
– Ma pani stuprocentową rację, ale innego testu nie można zrobić. Można robić badania fokusowe, zamówić sondaże, ale tu przynajmniej sprawdzamy, na ile kandydat jest w stanie poprowadzić sprawną kampanię wyborczą. Ma przed sobą realnych sparingpartnerów i jako szefostwo partii możemy obserwować, jak się zachowuje, na ile jest zdeterminowany, w jaki sposób walczy.

I trzeba oddać Trzaskowskiemu, że nie prowadził kampanii z pozycji tłustego kota, pewniaka. Nie raz widziałem kampanie samorządowe, w których prezydent ledwo się ruszał, bo przecież mu się wszystko należy. A Trzaskowski powalczył.

Przy okazji: z perspektywy Warszawy, ale także Krakowa czy innych miast widzimy, jak dużą rolę odgrywa szyld ogólnopolski Platformy. Ludzie mają do Tuska zaufanie, jeśli kogoś wskazał, to widać były ku temu ważne racje. Tusk – w ich mniemaniu – gwarantuje jakość.

W Krakowie to się skończyło również bardzo wysokim wynikiem PO w wyborach do rady miejskiej. Platforma ma większość bezwzględną, w tym mieście po raz pierwszy zdarza się coś takiego.

Mniejsze miasta umykają naszemu widokowi, a tam dzieją się najciekawsze rzeczy: słabną komitety i kandydaci niekojarzeni z partiami

Ale czy to nie wróży, że w Krakowie kandydat KO Aleksander Miszalski ma dużą szansę wygrać? Zastanawiam się, jak Łukasz Gibała mógłby rządzić, mając radę miasta w opozycji.
– To oczywiście się zdarza, choć jest trudne. Ja mam tylko nadzieję, że media przyjrzą się źródłom tej, do pewnego momentu anonimowej, kampanii negatywnej wobec Gibały, bardzo nieuczciwej zresztą. Ona przybrała rozmiary niespotykane w innych miastach i musiała odegrać bardzo dużą rolę, bo Gibała był zdecydowanym faworytem w sondażach, a jednak Miszalski zdobył lepszy wynik.

To ważne, aby media się tym zajęły, bo jeśli ktoś atakuje kandydata z pozycji anonimowych, to obrona jest bardzo trudna. Gdyby atak pochodził od konkurenta, to zawsze można go pozwać w trybie wyborczym, dochodzić swoich praw. A w przypadku kampanii anonimowej takiej możliwości nie ma.

W tych wyborach stwierdziliśmy jeszcze jedno: że sondaże, a w niektórych kwestiach także exit poll, są bardzo mylące w przypadku wyborów prezydenta miasta. W Warszawie pomyłka była spora. Nie mówiąc już o sondażach przed wyborami, które dawały Biejat drugie miejsce, a Bocheńskiego grzebały. Podobnie w Krakowie czy Wrocławiu.
– Od dawna wiadomo, że w miastach mamy duże ryzyko błędu, bo tam sondaże nie są robione rutynowo, na sprawdzonej ogólnopolskiej próbie.

Skoro wspomnieliśmy o zakonserwowanych samorządach i zadowolonych z siebie wieloletnich prezydentach – PiS uchwalił przepis, który ogranicza liczbę kadencji włodarzy samorządowych. Popiera pan to rozwiązanie?
– Tak, zwłaszcza że wydłużyliśmy kadencję do pięciu lat. Oczywiście kilku prezydentów, a może nawet bardziej wójtów czy burmistrzów, skrzywdzimy. A to dlatego, że w takich miastach jak Warszawa, Kraków, Poznań zawsze będzie spora pula kandydatów, natomiast w mniejszych miejscowościach te zasoby są ograniczone.

Okej, pozbędziemy się złego burmistrza, ale dobry burmistrz niekoniecznie ma tak następcę i to jest minus tego rozwiązania.

Przeciwnicy ograniczenia kadencji podnoszą, że to mieszkańcy powinni decydować, kto może rządzić dłużej i nie należy narzucać im, że po 10 latach musi nastąpić zmiana. Bo mogą jej nie chcieć.
– Jednak ryzyko tworzenia się skostniałych układów w samorządzie jest spore. Nasz samorząd, który z natury ma być bardzo kolegialny i zespołowy, przez ordynację z 2002 r. stał się szalenie centralistyczny i jednoosobowy. A rotacja w samorządach jest zazwyczaj czymś pozytywnym: pojawia się nowa energia, inna determinacja. Dla dużych ośrodków miejskich dwudziestoparoletnie rządy nie są niczym dobrym.

A jakby pan określił polskie samorządy tak z lotu ptaka? Czy my jakoś nadmiernie je idealizujemy, a tak naprawdę właśnie tam na dole, w lokalnych społecznościach, jest mnóstwo różnych układów, które wcale nie są przejrzyste i nie są dostatecznie kontrolowane przez media regionalne, dlatego, że i one są finansowane przez ten samorząd lub jakoś od niego zależne?
– W pani pytaniu już są wszystkie odpowiedzi. Nie wolno samorządowi dawać blankietowego przyzwolenia, że wszystko, co samorządowe to jest dobre, zwłaszcza w opozycji do centralnej polityki. I jedna polityka, i druga mają ciemne i jasne strony.

W niektórych regionach są niezależne media lokalne, ale to skutek wielkiego samozaparcia ich twórców. Natomiast cały model gospodarczy, obieg informacji, też ogromne pieniądze, jakie ma ratusz na propagandę, sprawiają, że rola kontrolna mediów słabnie. Nawet jeżeli gazeta czy portal są formalnie niezależne, to ratusz może bardzo dużo zrobić, kupując lub nie reklamy, izolując danego dziennikarza czy mówiąc lokalnym przedsiębiorcom, że to niedobrze, że „pana reklama się tam pojawia".

Osobowość prezydenta czy burmistrza jest bardzo ważna, ale ja bym jednak pomyślał o pewnej korekcie, aby choć częściowo przywrócić zespołowość działania samorządu oraz wzmocnić mechanizmy kontroli. Zaczęliśmy mówić więcej o partycypacji obywateli, bo czujemy, że ten współudział i nadzór gdzieś tam w wielu miejscach zostały wyłączone.

À propos zaangażowania obywateli. W wyborach samorządowych mieliśmy frekwencję około 51-52 proc., o wiele niższą niż w parlamentarnych, a w czerwcowych wyborach europejskich będzie jeszcze niższa. W poprzednich wyniosła tylko 45 proc. Czy to coś zmieni w politycznym układzie?
– Różnica między wyborami samorządowymi i europejskimi jest duża. W europejskich bieguny ideowe odgrywają większą rolę niż w lokalnych. Część wyborców jest bardziej zmotywowana aksjologicznie, a nie lokalnymi interesami.

Oczywiście dla partii każdy test własnej sprawczości, sprężystości muskułów jest super, ale eurowybory będą przebiegały w innej logice. I oczywiście poza tym, że wyborców na nowo rozgrzeje spór PiS-Platforma, to będą ważnym testem dla pozostałych partii koalicyjnych, czy są w stanie zbudować w miarę mocną pozycję. Pamiętajmy, że PSL i Lewica nie szły w ostatnich wyborach same, ale razem z KO. Osobno startowała tylko Wiosna Roberta Biedronia.

Szła i doszła do 6 procent. A koalicja, nazwijmy to, zbiorcza, KO, PSL plus część Lewicy miała 38 proc., a PiS rekordowe 45 proc.
– W czerwcu będziemy mieć po części dogrywkę wyborów parlamentarnych. Natomiast różnica też polega na tym, że skutki samorządowych mają znaczenie dla politycznych wydarzeń w przyszłości, bo budują partie w terenie, zapewniają sieć wsparcia dla kandydatów na prezydenta RP. A europejskie takiej roli nie odgrywają. ●

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Rafał Matyja

• ur. 1967, politolog, historyk, publicysta, wykładowca Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Stworzył i przez lata kierował Wydziałem Studiów Politycznych Wyższej Szkoły Biznesu – National Louis University. Autor idei IV Rzeczpospolitej. Zajmuje się samorządnością, tzw. politykami miejskimi, historią miast. Ostatnio opublikował **„Wyjście awaryjne. O zmianie wyobraźni politycznej"** i monumentalną pracę **„Miejski grunt. 250 lat polskiej gry z nowoczesnością".** Obie książki dostępne w dobrych księgarniach i w formie cyfrowej na Publio.pl.

eprasa.pl ab36aaa8da

Po tych studiach ludzie zmieniają ścieżki, odnajdują, co chcą robić. A jak jesteś zmotywowana, to i skuteczna, a za tym idą pieniądze

Edyta Bryła

Tomasz Zacharski widział, że osoby, które osiągnęły dużo w biznesie, często mają MBA. Wyrywał się więc na te studia jeszcze w trakcie zwykłych, na SGH. Marzyło mu się Master of Business Administration na Harvardzie. Aplikował tam i do kilku innych amerykańskich uczelni, ale się nie dostał.

Dziś myśli, że dobrze się stało, bo wtedy na MBA było za wcześnie. O wiele lepiej jednak mieć najpierw doświadczenie zawodowe.

Zamiast znowu na studia Tomek poszedł więc do pracy w Google'u – najpierw w Dublinie, później w Kalifornii i w końcu w Singapurze. Pięć lat wystarczyło, by dostał się (i też na niego zarobił – to koszt około 60 tys. euro plus koszty utrzymania się) na MBA na INSEADzie – francuskim MBA z oddziałem w Singapurze. Złożył więc wypowiedzenie, by przez rok studiować.

Uważa, że najważniejsze, co MBA mu dał, to sieć kontaktów. To ekipa, która trzyma się razem. – Kontakty są przydatne w całej masie spraw. Jakiego bym nie miał pomysłu na biznes, to jest pełno osób, z którymi mógłbym o nim porozmawiać, którzy byliby zainteresowani pomocą albo współpracą. A jak nie oni, to inni ludzie, których znają – mówi.

Raz już się to sprawdziło. Tuż po MBA Tomek założył własną firmę, start-up technologiczny, i dzięki znajomościom bardzo szybko znalazł inwestorów i poznał klientów. Firmę i tak trzeba było zamknąć po pół roku, okazało się, że Tomek wymyślił produkt, który trudno było sprzedać – ale start był łatwiejszy, niż gdyby przyszedł z pomysłem po wsparcie jako „no nejm" z ulicy.

Potem przez pół roku pracował w Facebooku (dziś Meta), po czym wrócił do niego Google z lepszą ofertą. Tomek znowu pracował w Singapurze, szybko awansował – dwa razy. Myśli, że w dużej mierze dzięki temu, czego się nauczył na MBA, i że jeszcze będzie to procentowało.

Poza tym MBA wpływa na życie w niebezpośredni sposób. – Nie chodzi o to, że jak mam papier, to od razu moje pomysły są ciekawsze. Ale wydaje mi się, że stałem się lepszą osobą, z lepszą wiedzą, lepszym zrozumieniem tego, jak działają globalne firmy – mówi Tomek.

– Co dziś robisz lepiej dzięki MBA?

– Na pewno dużo łatwiej mi zrozumieć zachowanie innych osób w pracy, które na pierwszy rzut oka może się wydawać nieprzemyślane lub wręcz szkodliwe. MBA nauczył mnie, żeby nie skupiać się na tej jednej osobie, lecz na całym systemie. Jeśli widzę problem, myślę nie o tym konkretnym pracowniku, lecz raczej, że powinniśmy zmienić sposób, w jaki zarządzamy danym działem. Dzięki temu łatwiej się nam zrozumieć, bo rozmowa skupia się nie na czyichś zachowaniach, lecz na tym, co jest najlepsze dla firmy.

Tomek dobrze wspomina zwłaszcza zajęcia z etyki biznesowej, na których studenci mieli ocenić zachowanie pewnego bankiera w Londynie. Wymyślił on sposób, jak oszukiwać na bramkach metra i nie płacić za przejazdy. Po trzech latach wszystko wyszło na jaw i bankier został zwolniony. Zaczęła się fascynująca dyskusja. – W dużej części studenci z krajów Europy Wschodniej, Azji i Afryki bronili bankiera, a studenci z Zachodu potępiali. Ale było też dużo głosów pomiędzy. Nauczyłem się wtedy wiele o tym, jak na świecie etyka może być różnie postrzegana. I że trzeba mieć do ludzi i do tego, co mówią więcej cierpliwości.

Choć minęło osiem lat od zakończenia MBA, pomysły na własny biznes nadal chodzą mu po głowie. Ciągnie go do przedsiębiorczości. W końcu postawi na kolejny technologiczny start-up, bo lubi programować, wymyślać aplikacje.

Jeszcze zdecyduje, gdzie on będzie. Lubi też swoje życie w Singapurze – jest czysto i bezpiecznie. Może podróżować do egzotycznych miejsc na weekend – tak jak my latamy do Rzymu i Madrytu, Tomek lata na Bali, do Wietnamu i Tajlandii. Ale może w przyszłości przeniesie się z dziewczyną, Chinką, do USA, Europy lub jeszcze gdzie indziej.

Świetną pracę też w Singapurze, po tym samym MBA, co Tomek, znalazł też Robert, dziś pracownik jednego z największych konglomeratów na Bliskich Wschodzie. Na studia nie wystarczyło oszczędności – dobrał jeszcze kredyt. Nie żałował pieniędzy. Zależało mu na INSEAD-zie, bo chciał pracować w międzynarodowym środowisku, poza tym, jak już wydawać dużo, to lepiej od razu na porządną uczelnię.

Po co naprawdę jest MBA

EKIPA, KTÓRA TRZYMA SIĘ RAZEM

– Myślę, że inwestycja już się dawno zwróciła, jeśli chodzi o aspekt finansowy. Ale nie myślę o tym w ten sposób. Bez MBA nie miałbym cennych doświadczeń i lekcji myślenia o sobie i o świecie – mówi.

On też za wyjątkowo cenną uważa sieć kontaktów z całego świata zdobytą podczas studiów. – W każdym mieście na świecie znalazłbym znajomego absolwenta MBA, z którym mógłbym umówić się na piwo – przekonuje.

Uważa, że gdyby nie MBA, nie dostałby pracy w firmie konsultingowej Singapurze, na stanowisku o wiele wyższym niż to w Polsce. – To był duży skok, ale miałem więcej pewności siebie. Dostałem wiatr w żagle – mówi. Ale najpewniej pomogło, że zatrudniał go inny absolwent tego samego MBA. – Cały proces rekrutacji i rozmów i tak musiałem przejść jak każdy inny kandydat, ale przez INSEAD kolega zwrócił uwagę na moje CV.

Twarda wiedza o zarządzaniu i ekonomii na MBA? Po SGH to nic nowego. Ale inne zajęcia pomogły w nauce rozwiązywania problemów, czy zarządzania ze-

1 RP

eprasa.pl ab36aaa8da

RYS. JACEK GAWŁOWSKI

W każdym mieście na świecie znalazłbym znajomego absolwenta MBA, z którym mógłbym umówić się na piwo

Zdaniem Pawła afera z MBA w Collegium Humanum w jakiś sposób deprecjonuje wszystkie dyplomy wydawane w Polsce. Jest przekonany, że dobre programy się obronią, ale to, że dyplomy przyspieszoną ścieżką uzyskiwali lub wręcz kupowali m.in. ludzie związani z PiS, by obejmować intratne posady w państwowych spółkach, może wpłynąć na postrzeganie tego typu studiów wśród ogółu społeczeństwa i mniej doświadczonych pracodawców. – Zmarnują się wysiłki, jakie czynią uczelnie, by mieć dobre, ambitne i wszechstronne program. I zmarnuje się trud studentów.

Bo nauka okazała się sporym wyzwaniem. Paweł nie musiał przerywać pracy, gdyż studia realizowano w systemie weekendowym, ale program był bardzo intensywny – intensywne 18 miesięcy. To oznaczało spore wyzwania w życiu zawodowym i rodzinnym, szczególnie, że właśnie miał małe dzieci i spore obciążenie w prowadzeniu domu spadło na żonę.

A słynny networking? Od czasu do czasu Paweł spotyka się z swoją grupą z roku, ale raczej towarzysko. Nie chodzi bezpośrednio o kontakty biznesowe.

Nie zmienił też pracy, bo ją lubi. Wiele innych osób ze studiów też zostało w tych samych firmach, z tym, że spora część awansowała w strukturach globalnych. Przeniesiono ich do oddziałów za granicą. – To zdolni i zmotywowani managerowie z ogromnym potencjałem. Mieli świetne kariery już przed studiami. Nie wiem, czy MBA był dodatkowym argumentem do awansów – mówi Paweł.

•

Piotr Rybiński skończył w zeszłym roku MBA na Akademii Leona Koźmińskiego. Mimo wielu lat w biznesie – przez 9 lat pracował w firmie technologicznej Lingaro – czuł, że wciąż potrzebuje więcej wiedzy.

Raczej nie liczył, że MBA w CV pomoże w karierze. – To stereotyp, że po MBA będzie z ciebie dyrektor. Nie będzie. Ale pomoże w poszerzeniu perspektywy, odnalezieniu się w szerszej przestrzeni, w świecie biznesu – mówi.

Piotr wybrał MBA na Koźmińskim m.in. dlatego, że program dość wysoko – pierwsze miejsce w naszej części Europy – wypada w rankingach „Financial Times" pod względem wzrostu zarobków po ukończeniu studiów. Wzrost wynosi aż 80 proc. – Ja te wzrosty tłumaczę tak, że menedżerowie zmieniają ścieżki, odnajdują, co chcą robić, i wtedy są w naturalny sposób bardziej zmotywowani, skuteczni, a za tym idą pieniądze. Ale z tej reguły wyłączyłbym korporacje, bo tam za MBA można czasami z automatu dostać podwyżkę – ocenia.

Studia dały mu ogólne, ale kompleksowe spojrzenie na biznes. Można było przetrenować pracę w zespole w warunkach bojowych, bo to tak naprawdę druga praca po godzinach, po tej etatowej. – To dość ciekawe, jak w grupie zbierają się menedżerowie różnego szczebla, ale tu występują bez żadnej zależności służbowej i hierarchii. A potem i tak w naturalny sposób stworzy się współpraca, wyłaniają się liderzy grupy. Uczyliśmy się rezygnowania z własnej wizji na rzecz wizji grupy. Pierwszy raz przećwiczyłem się w czymś takim – mówi.

Studia inaczej mu poukładały w głowie. Pomogły mu zrozumieć, że raczej nie chce pracować w korporacji. – Wcześniej myślałem, że sukces polega na zarządzaniu i rozwoju dużej organizacji. Okazało się, że dla mnie jednak wcale nie.

Zachęcił się, by szukać innych opcji. – Teraz mam taki moment w życiu, że przeformułowuję się. Chyba chcę iść w stronę doradztwa, może coachingu. Idę tam, gdzie czuję energię, szukam, i wiem już, czego nie chcę – mówi. U innych studentów widział wręcz przypadki zdecydowanych zwrotów: z dnia na dzień decydowali się robić coś całkowicie innego.

Piotr uważa, że MBA otwiera głowę i myślenie. – Wszyscy mamy jakieś stereotypy, uprzedzenia, a przez cały tok studiów przewija się nauka, by wątpić w to, co się myśli, weryfikować swoje przekonania i nie oceniać po pozorach.

•

O dyplomach MBA zrobiło się głośno po publikacjach „Newsweeka" i innych mediów o tym, że prestiżowe dyplomy taśmowo były wydawane przez Collegium Humanum – Szkołę Główną Menedżerską z siedzibą w Warszawie, niepaństwową uczelnię założoną w 2017 r. Za projektem stali Paweł Cz. (rektor uczelni), i znany europoseł PiS Ryszard Cz. Program MBA powstał tam w 2019 r.

Dlaczego na Master of Business Administration był taki popyt? Od 2016 roku ten dyplom uprawniał do zasiadania w radach nadzorczych. Wcześniej trzeba było mieć stopień doktora nauk prawnych, ekonomicznych lub technicznych, tytuł zawodowego adwokata, radcy prawnego lub biegłego rewidenta. Albo zdać trudny egzamin.

By studenci nie musieli się męczyć, Collegium Humanum oferowało dyplom szybko – nawet w trzy miesiące – i tanio, bo za 10 tys. zł. Według ekspertów minimalny koszt rzetelnego programy to 30 tys. Uczelnia szybko została nazwana kuźnią kadr PiS – absolwenci mogli dzięki dyplomom bez większych kontrowersji przyjmować posady w radach nadzorczych z politycznego nadania. Niektórzy dostali dyplomy za łapówki. Rektor miał je przyjąć w kwocie miliona zł.

MBA z Collegium Humanym dostali m.in.:

Bartłomiej Obajtek, ówczesny dyrektor w Lasach Państwowych i brat prezesa Orlenu Daniela Obajtka; Antoni Duda, stryj prezydenta Andrzeja Dudy; Anna Palkiewicz, ekspertka PiS od kampanii wyborczych (wówczas dyrektorkę w PKO BP); Piotr Kierzkowski, dyrektor gabinetu prezesa TVP Jacka Kurskiego. Ale także: prezydent Wrocławia Jacek Sutryk (PO), wiceminister rodziny Aleksandra Gajewska czy skarbnik klubu PO Krzysztof Gadowski.

Jak mówi Rafał Mrówka, dyrektor biura programów MBA w SGH, wiele osób decydowało się na studia w Collegium Humanum, bo do niedawna wielu studentów nie w pełni zdawało sobie sprawę, że część dyplomów to może nie fałszywki, ale ersatze. Uważali, że każde MBA będzie dobrze wyglądać w CV. – Myślę, że wiele osób nie dopuszczało do siebie myśli, że powstaje coraz więcej nowych, ale kiepskich programów. Szli na MBA w przekonaniu, że będzie przepustką do lepszej pracy. I dla dobrego samopoczucia – mówi prof. Mrówka.

•

Choć absolwenci zachwalają MBA, eksperci są zgodni, że przez lata mocno zmieniło się znaczenie tego dyplomu. Sławomir Majman, wiceprezes zarządu Targów Warszawskich S.A. i prezes Stowarzyszenia Managerów w Polsce w latach 1996-2007, wspomina, że 20 lat temu MBA był tym, czym znajomość języków obcych w latach 90. – Sekretarka mogła zostać szefową w dużej firmie, bo znała angielski – mówi.

Tak też w 1990 r. zaczęła się kariera 29-letniego wtedy Wojciecha Kostrzewy (w latach 2005–18 prezes Grupy ITI, wcześniejszego właściciela TVN-u), który został doradcą ministra finansów Leszka Balcerowicza, bo znał niemiecki. Podobnych przykładów było wiele.

Majman umieściłby MBA – w tamtym czasie – w podobnej grupie kompetencji. Gdy w Polsce otwierała oddział zachodnia korporacja, dyplom dawał możliwości ponad stan. Snobowano się na MBA. Jak ktoś

eprasa.pl ab36aaa8da

z nim przychodził, to był wielki pan, widać było, że czuje się lepszy od reszty.

Nie że całkiem bez podstaw – dyplom dawał porcję użytecznych umiejętności, rzadziej wtedy spotykanych. Ale największe znaczenie miał dla osób, które już miały dobre zadatki na managera. – MBA był dla nich taką protezą. Szybciej osiągali sukces – mówi Majman.

Henryka Bochniarz, przewodnicząca Rady Głównej Konfederacji Lewiatan i twórczyni Akademii Liderek: – Na przełomie lat 90. i 2000 edukacja wyższa była w Polsce wciąż na niskim poziomie. Dyplom z zagranicy potwierdzał wiedzę kandydata strającego się o pracę i dlatego mógł pomóc w karierze. Ale od tego czasu dużo się zmieniło.

Stowarzyszenie Managerów co roku przyznawało nagrody dla najlepszego managera, ale Majman nie przypomina sobie, by choć raz wygrał absolwent MBA. Kto zatem? – Ci, którzy mieli w sobie iskrę bożą i husarskie skrzydła. Co to jest? Umiejętność szaleńczego zarządzania firmą w gospodarce, która goniła Zachód i szybko skracała do niego dystans – mówi Majman.

Potem coraz więcej uczelni wprowadzało programy MBA. Zaczęła się histeryczna pogoń za dyplomami, a w ślad za tym ich jakość się różnicowała. Afiliacje z zachodnimi uczelniami – jeśli same miały średnie programy – już nie gwarantowały poziomu. – Gdy wprowadzono przepis, że dyplom MBA uprawnia do zasiadania w radach nadzorczych, nastąpiło już całkowite umasowienie. Za to element snobizmu całkiem zaginął – zauważa Majman.

•

Absolwenci MBA zwykle sporo zarabiają, choć przyznają, że nie sam dyplom się do tego przyczynił, a ścieżka kariery. W znanych nam przypadkach, podwyżki w ciągu trzech lat wynoszą na przykład 200 proc. po przeprowadzce za granicę i 50 proc. w firmie Polsce.

Jakub Karnowski, finansista i prezes PKP SA w latach 2012-15, który MBA robił 27 lat temu, też pamięta, jak dużą przewagę na rynku pracy dawał wtedy MBA.

Choć uważa, że MBA ma sens tylko w przypadku już doświadczonych managerów, on sam robił ten dyplom równolegle ze studiami magisterskimi na SGH. – Uczyli nas wykładowcy z University of Minnesota. W tamtych czasach to był absolutny luksus.

Po MBA na SGH miał jeszcze niedosyt i chciał robić kolejny dyplom, MPA – Masters of Public Administration – podobny dla MBA, ale dla managerów w administracji publicznej. Zależało mu tym razem na USA, na University of Columbia, gdzie program był wysoko, bo piąty w rankingu. MBA na University of Minnesota, z którym partnerował SGH, był dopiero na kilkunastym. – Chciałem jeszcze podnosić kwalifikacje, jeszcze rozszerzyć wiedzę, więcej się nauczyć – mówi. Został przyjęty, ale potem dostał lepsze propozycje zawodowe i nie poszedł na kolejne studia.

Czy tego typu studia produkowały dobrych liderów? – Trudno powiedzieć, bo nie wiadomo co było skutkiem, a co przyczyną. To znaczy, czy ktoś był dobry i dlatego dostał się na studia, czy też tym dobrym managerem uczyniły go studia. Trudno też wyciągać wnioski o skuteczności studiów, bo nic nie wiemy o osobach, które karier nie zrobiły w ogóle – mówi Karnowski.

Uważa, że z czasem MBA się zdewaluował. – Dziś nie jest to istotne, by mieć taki dyplom. Gdy zatrudniam, nie patrzę na wykształcenie, bo często niewiele mówi.Z dzisiejszej perspektywy pasowałoby powtórzyć niedawne słowa prezydenta Argentyny: „drukowanie pieniędzy tak daje bogactwo, jak dyplomy dają mądrość”

Według niego dyplomy MBA z polskich uczelni nie są brane na poważnie za granicą. – Mówię to w ramach autokrytyki, bo wykładam na SGH, ale ani ta, ani inne polskie uczelnie nie oferują studiów, które mogłyby się porównywać z najlepszymi, np. z USA. W firmach w Polsce mamy świetnych praktyków, ale oni rzadko uczą studentów.

•

Henryka Bochniarz mówi, że studia MBA niewątpliwie „otwierają głowę” – warunek konieczny dla dobrego przywództwa – ale do samych dyplomów przywiązuje się coraz mniejszą wagę.

Przypomina, że kilka lat temu uniwersytet harwardzki – siedziba jednej z najbardziej prestiżowych szkół zarządzania na świecie – opublikował artykuł, który udowadnia, że raz zdobyty tytuł MBA jest niewiele wart, jeśli potem nie uzupełnia się wiedzy ciągłą edukacją. – W mojej Akademii Liderek niektóre studentki mają nawet po dwa dyplomy MBA. Zwłaszcza te, które pracują w branży technologicznej wiedzą, że ukończenie w przeszłości nawet najlepszej uczelni – bez późniejszego kontynuowania edukacji – nie gwarantuje, że posiadana wiedza jest aktualna - mówi.

Co znaczy MBA dla pracodawców, złudzeń nie ma Michał Starościak, partner w Page Executive, firmie rekrutującej kadry menedżerskie wysokiego szczebla w HR i finansach. Wspomina, że do około 2010 r. dyplomy MBA i podobne były często wręcz wymagane. – Bez MBA trudniej było przemycić kandydata, doprowadzić do zrekrutowania. To był wyznacznik świetności.

Ale potem dyplomy – a nawet wykształcenie w ogóle – zdewaluowały się w oczach pracodawców. Prestiżowa uczelnia w USA na CV może teraz wręcz zmotywować do dokładniejszego sprawdzenia kandydata przez rekrutera w obawie, że taki dyplom trochę zamydla mu oczy. I skłania do pochopnych wniosków, że to świetny kandydat na pracownika, choć doświadczenie zawodowe tego nie potwierdza.

A MBA? Wciąż dobrze wygląda w portfolio, jest atutem i potwierdzeniem, że kandydat nie stoi w miejscu, inwestuje w siebie, zapewne poszerzył horyzonty i mimo dużego doświadczenia chce być jeszcze lepszym managerem. Ale w praktyce to tylko kolejny dyplom. – Może świetny, ale żadna firma o niego nie spyta. Dyplom

Typowym przedmiotem jest zasymulowanie pierwszych 100 dni prowadzenia firmy. Wykładowcy obserwują, jak reagujemy, i nie musi to mieć nic wspólnego z wiedzą książkową

już nie sprawia, że kandydat znajdzie pracę – mówi Starościak.

I podkreśla, że pracodawcom zależy przede wszystkim na doświadczeniu zawodowym. Chcą wiedzieć o konkretnych osiągnięciach i sukcesach kandydata, by móc sądzić, że on w nowym miejscu je powtórzy. – Oni chcą potwierdzenia świetności w pracy, nie na kursie. Nikt nie kwestionuje, że MBA daje cenne doświadczenie i wiedzę, ale i tak o nim się w ogóle nie dyskutuje – mówi.

•

Na Zachodzie MBA często jest krytykowany za to, że jest zbyt kosztowny i przestarzały. A także za to, że studenci uczą się zarządzania w dość jednolitych, bo uprzywilejowanych grupach – by się na niego dostać, już wcześniej musieli być w kadrach menadżerskich – a potem wracają do pracy, by zarządzać ludźmi często bardzo różniącymi się od nich doświadczeniem, wiekiem, pochodzeniem, tożsamością, statusem...

Nell Derick Debevoise pisała w „Forbsie” dwa lata temu, że MBA traci blask jako kwalifikacja do zatrudnienia. Za to często liczy się za to sam fakt, że pracownik MBA był zainteresowany i został przyjęty. W USA firmy chętnie przyjmują na letnie staże studentów MBA i jeśli opiekunowe, menedżerowie są zadowoleni z ich pracy, namawiają stażystów, by zostali i już nie wracali na studia. Oferują w zamian awanse i stanowiska liderskie.

Poza tym nastawienie do MBA zmieniła pandemia. W czasie tzw. Wielkiej Rezygnacji w 2020 roku, gdy odeszło z pracy 30 mln pracowników, firmy machały ręką na „embieje”, bo chciały pracowników w biurach, nie na studiach. Zaczęła się zażarta wojna o talenty, w której dyplomy zeszły na dalszy plan. A firmy, które dotąd lubiły sponsorować programy, bliżej przyjrzały się korzyściom, jakie odnoszą z wysyłania pracowników na studia i zaczęły zastanawiać, czy warto.

Barbara Załęska-Szubert jest dyrektorką w firmie consultingowej, doradza największym firmom w projektach strategicznych. Od zakończenia MBA (2016 rok) awansowała dwa razy. Czy stałoby się to, gdyby nie studia? Pewnie tak, może nawet szybciej, bo nie miałaby przerwy w pracy. – Ale MBA był przygodą życia. Przez rok mieszkałam w Singapurze, zostało mi z tego okresu wiele przyjaźni, wiedzy i doświadczeń.

Podkreśla, że nam na Zachodzie jest o wiele łatwiej. Dla Polaka nawet bez MBA wiele drzwi stoi otworem, ale dla innych taki dyplom to prawdziwa przepustka do zmiany życia. Barbara studiowała z osobami z Indii, Chin czy Rosji, które stawiały wszystko na jedną kartę: brały duże kredyty, by zrobić MBA i dzięki temu znaleźć dobrą pracę na przykład w Londynie. – Jeśli chcą się tam przenieść, to z dyplomem z egzotycznie brzmiącego miejsca mogliby nigdy nie dostać żadnej oferty. Za to MBA jest na CV jak rozpoznawalna pieczątka – wyjaśnia.

MBA (INSEAD) opłacił jej pracodawca – w ramach ścieżki rozwoju. – W doradztwie praca jest zawsze intensywna. Pracownicy rozwijają się szybko, w kilka lat stają się cennym zasobem. MBA jest sposobem, by pracownika nagrodzić i przy sobie zatrzymać. Jest takim benefitem.

Czy poszłaby na MBA, gdyby musiała za niego płacić? Być może – gdyby na przykład rozważała wyprowadzkę z Polski.

A jak MBA wpłynął na jej pracę? Bezpośrednio nijak. Ale studia pomogły jej na przykład w lepszym prezentowaniu poglądów i rozwiązań, w kreatywnym myśleniu.

•

To zarzut, który często pada w dyskusjach o MBA (i generalnie kształceniu menedżerskim), zwłaszcza po lewej stronie debaty publicznej. Prof. Rafał Mrówka: – Może nie w takim znaczeniu jak w filmie „Nie lubię poniedziałku”, ale nie mam problemu z tym że ktoś nazywa MBA studiami dla dyrektorów. Wcale bym się obrażał, że ktoś tak to określa, bo studia naprawdę dają kompetencje potrzebne temu umownemu dyrektorowi, jak rozumienie sprawozdań finansowych, budowanie strategii przedsiębiorstw, rozwijanie zespołu.

To prawda, że studenci nie nabywają tu wiedzy nastawionej na konkretny sektor biznesu, ale wychodzą z wiedzą managerską i liderską – kogoś, kto może wziąć odpowiedzialność i tchnąć w organizację nowe życie. Nie ma się co wstydzić takich kwalifikacji.

Jak mówi prof. Mrówka, nie dyplom jest ważny, a doświadczenie zdobyte podczas studiów. – Ważniejszy jest proces niż cel. Studenci zdobywają nową wiedzę od innych studentów. Dzielą się doświadczeniami, inaczej spoglądają na popełnione błędy, przedefiniowują ścieżkę kariery.

Ocenia, że większość absolwentów i absolwentek zmienia po MBA pracę na ciekawszą i lepiej płatną. – Czy i tak by awansowali lub zmienili kierunek? Być może, ale nie w każdym przypadku – mówi. Bo te studia skłaniają do autorefleksji.

Według prof. Mrówki w dłuższej perspektywie afera z Collegium Humanum pozytywnie wpłynie na MBA, bo ludzie dowiedzą się, że jeden dyplom może nie być równy drugiemu. – Dotąd ludzie nie wiedzieli, że jest aż tyle programów, które nie dają prawdziwych kwalifikacji. Teraz mają tego świadomość. ●

Top 100 bez Polski. Najważniejsze fakty o MBA

• Studia MBA zostały wymyślone w Stanach Zjednoczonych na początku XX wieku. Uprzemysławiający się amerykański rynek dynamicznie się rozwijał, firmy rosły, a brakowało kadry zarządzającej z odpowiednimi kwalifikacjami. MBA był na to odpowiedzią. Pierwszy program został założony w Harvard Graduate School of Business Administration w 1908 r. Potem MBA przyjęły uniwersytety na całym świecie. Powstały też programy MBA ukierunkowane na kadry wykonawcze (Executive MBA).

• Według „Financial Times”, w 2024 r. najlepsze programy MBA na świecie mają: University of Pennsylvania: Wharton, Insead, Columbia Business School, SDA Bocconi School of Management i IESE Business School. W pierwszej setce nie ma żadnej polskiej uczelni.

• Według „Rankingu MBA Perspektywy 2024” najlepsze w Polsce programy to Canadian Executive MBA (CEMBA), organizowany przez Szkołę Główną Handlową w Warszawie i Executive MBA, organizowany przez Akademię Leona Koźmińskiego.

• Nie wiadomo, ile osób w Polsce ma dyplom MBA. Akredytowane programy kończy jednak około 300-400 osób.

• Które uczelnie dają prawdziwe dyplomy MBA? Akredytowane przez AMBA (Association of MBAs), spełniające międzynarodowe standardy.

• Nieakredytowana dotychczas uczelnia może dostać akredytację AMBA na programy MBA najszybciej po czterech latach od ich utworzenia. Bo uczelnia musi przeprowadzić co najmniej dwie edycje (wyszkolić dwa roczniki, co trwa minimum trzy lata), po czym akredytacja trwa rok. Trzeba spełnić sporo warunków formalnych, napisać kilkudziesięciostronicowy raport samooceny, wskazać m.in. doświadczenie profesorów i jakie wsparcie otrzymują studenci oraz absolwenci.

• Trzeba też sporo zapłacić – tylko początkowa opłata to 16 tys. funtów. SGH zainwestowała już w akredytację i jej utrzymanie ok. 500 tys. zł od 2017 roku.

• Na uczelnię przyjechać musi na kilka dni komisja, w której skład wchodzą fachowcy – emerytowani i czynni twórcy wielu programów MBA, rektorzy i dziekani szkół biznesu (SGH właśnie umówiła takie spotkanie z komisją na przyszły rok, żeby przedłużyć akredytację). Spotyka się ze studentami, partnerami programu, absolwentami, władzami uczelni.

• Akredytację komisja przyznaje na rok, trzy lub pięć lat (lub wcale). Po miesiącu uczelnia dostaje raport, z którego dowiaduje się, w jakich aspektach program spełnia warunki, a w jakich wymaga korekty. Akredytację może przyznać warunkowo – uczelnia musi wtedy spełnić określone warunki, by akredytacji nie stracić. ●

1 RP

eprasa.pl ab36aaa8da

Najlepszy prezent dla nastolatka

Nasze dzieci rozmawiają z otchłanią, z ciemną studnią, w której odbija się echem ich własny głos

Marcin Matczak

W pierwszych odcinkach serialu „Mad Men", toczącego się w USA w latach 60., pracownicy agencji reklamowej stają przed nie lada wyzwaniem: właśnie zakazano udziału lekarzy w reklamie papierosów. Jak zadowolić oczekiwania klienta, skoro doktor w białym kitlu nie może już w spocie zaciągnąć się, wypuścić dym nosem i powiedzieć „palenie jest dobre dla twojego zdrowia"?

Patrzymy na tę scenę z mieszanką niedowierzania i politowania. Jakbyśmy patrzyli na ludzi, którzy uśmiechnięci pokrywają dachy swoich domów azbestem czy, nie przymierzając, na bohaterów serialu „Czarnobyl", podziwiających radioaktywny opad, jakby patrzyli na pierwsze płatki śniegu.

„Jak można było być tak głupim?", myślimy. Po czym głaszczemy po główkach nasze pociechy, które właśnie kończą czwartą godzinę na smartfonie, ciesząc się w duchu, że ta głupota nie jest już naszym udziałem.

•

W najnowszej książce „Pokolenie lęku" psycholog społeczny Jonathan Haidt udowadnia, że dając dzieciom do ręki smartfon, zachowujemy się dokładnie tak samo. Sprowadzamy na nasze dzieci niebezpieczeństwo śmiertelne w sensie ścisłym.

W oparciu o twarde dane z całego świata Haidt wykazuje, że od 2010 roku, a więc od czasu rozpowszechnienia się smartfonów, wzrasta dramatycznie liczba zaburzeń psychicznych, prób samobójczych i samookaleczeń wśród nastolatków. Pogłębia się depresja i poczucie bezsensu życia. Zwłaszcza wśród dziewczynek. Dlaczego tak się dzieje? Bo smartfon kreuje wokół dzieci sztuczny świat, w którym nie mogą się prawidłowo rozwijać. Ten świat różni się od realnego pod czterema względami. Po pierwsze, nie pozwala dzieciom na „ucieleśniony" kontakt z rzeczywistością i innymi ludźmi – na dotykanie, czucie, uderzanie, wąchanie. W świecie smartfonów relacja z otoczeniem ogranicza się do wzroku i języka. To upośledza cały proces uczenia się życia. To tak jakby uczyć dziecko chodzić pokazując mu na YouTube filmy o chodzeniu.

Po drugie, w świecie wirtualnym nie komunikujemy się ze sobą w tym samym czasie. Rozmowy, gry i zabawy w piaskownicy czy na trzepaku były oparte na ciągłej informacji zwrotnej, na natychmiastowej wymianie uśmiechów bądź warknięć, na komunikacyjnym ping-pongu, który nie jest możliwy w świecie internetowych komunikatorów. Tam informacja zwrotna jest opóźniona i przekazywana w upośledzony sposób: przez emotikonki, skróty i dziwne wynalazki, jak kropka nienawiści.

Ta nienaturalność nie pozwala rozwijać normalnych relacji międzyludzkich – nasze dzieci rozmawiają często z otchłanią, z ciemną studnią, w której najczęściej odbija się echem ich własny głos.

Po trzecie, w świecie realnym nie da się rozmawiać z siedmioma czy siedmioma tysiącami osób naraz. A w internecie tak. Komunikacja „jeden do wielu" powoduje ciągłe rozproszenie, niemożność skupienia się na konkretnej osobie i jej potrzebach, a także wystawia na niespotykane nigdzie indziej hejterskie ataki przypadkowych osób. Mały człowiek w internecie jest jednocześnie jak modelka na wybiegu, niewolnik-towar wystawiony na sprzedaż i nastolatek na komisji wojskowej, która każe mu się rozebrać, aby ocenić zdolność do służby.

Po czwarte wreszcie, internet całkiem inaczej ustawia nasze relacje z przyjaciółmi i bliskimi.

Tradycyjnie, aby wejść do jakiejkolwiek grupy bądź zawiązać relację, trzeba było sporo zainwestować – choćby czasu i energii, aby zdobyć zaufanie. Podobnie zerwanie relacji z grupą czy osobą w świecie realnym nie jest łatwe – wysoki koszt jej zbudowania zniechęca do tego, by z powodu kaprysu ją zniszczyć.

Zupełnie inaczej jest w świecie wirtualnym – i wejście, i wyjście z relacji jest tam dziecinnie proste. Zaproszenie do znajomych na Facebooku łatwo wysłać i łatwo cofnąć. Kogoś, kogo właśnie poznaliśmy, da się natychmiast zablokować, jeśli cokolwiek nam się w nim nie spodoba.

Relacje z bezcennych stały się śmiesznie tanie.

Świat wirtualny, pisze Haidt, jest tak inny od realnego, że wychowywanie w nim dzieci przypomina wychowywanie ich na Marsie. Tak jak tam nie mielibyśmy pojęcia, jak inne oddziaływanie grawitacji i promieniowania kosmicznego wpłynie na rozwój małych ludzi, tak i w świecie wirtualnym wystawiamy je na działanie nieznanego.

A skutki są opłakane. Z badań jasno wynika, że katastrofa w zakresie zdrowia mentalnego młodego pokolenia nie WSPÓŁWYSTĘPUJE z upowszechnieniem smartfonów, ale jest przez nie POWODOWANA. Nie przez obawę o globalne ocieplenie, nie przez sytuację na rynku pracy, nie przez pandemię COVID i lockdown.

•

Kamienie milowe w rozwoju technologii są jak kamienie młyńskie, które przywiązujemy do szyi naszych pociech: pierwszy iPhone w 2007 roku, pierwszy telefon z kamerą z przodu, pozwalający na robienie selfie, upowszechnienie szybkiego internetu. Haidt pokazuje, jak straszny jest los dzieci, których dzieciństwo zamiast na bieganiu opiera się na surfowaniu. Zawsze są „gdzie indziej", zawsze czują się gorzej, porównywane z niedoścignionymi, bo nieistniejącymi ideałami piękna, zawsze samotne wśród setek „znajomych".

Ta diagnoza prowadzi do surowych rekomendacji dla rodziców i prawodawców. Ustawowy i skutecznie egzekwowany zakaz kont w mediach społecznościowych dla osób poniżej 16 roku życia – nie ustawiony na poziomie lat 13 i fikcyjny, jak dzisiaj. Zamiast prezentu w postaci wypasionego iPhone'a raczej stara Nokia – prosty telefon, z którego można zadzwonić do najbliższych.

Bo smartfon jest jak „nowoczesna igła, dostarczająca pokoleniu podłączonemu do sieci cyfrową dopaminę 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu". Jak nikotyna, jak azbest, tyle tylko, że jeszcze nie w pełni rozpoznana co do swej szkodliwości. Ale za pięćdziesiąt lat na ośmiolatka ze smartfonem będziemy patrzeć jak na lekarza w reklamie papierosów. Nie dowierzając, że można było być tak głupim. ●

O czym

Pytanie „o czym są te wybory?" przypomina pytania zadawane ChatowiGPT: o czym jest „Rewizor" Gogola.

Michał Rusinek

O czym są te wybory?" — pytają dziennikarze i dziennikarki w internecie, prasie, radiu i telewizji. Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, ale chciałbym zadać inne: skąd wzięła się tendencja do takiej składni? Dlaczego wybory mają być „o czymś"? O czym to świadczy?

•

Wiele wskazuje na to, że w tym przypadku jest to naprawdę wina Tuska, który chyba jako pierwszy w 2014 roku powiedział: „Te wybory europejskie być może są o tym, czy w Polsce dzieci 1 września w ogóle pójdą do szkoły. Te wybory są o tym, czy Europa - zintegrowana i zjednoczona - i NATO, świadome powagi sytuacji, będą zdolne do realizacji tej fundamentalnej idei, jaka legła u podstaw i NATO, i UE, czyli solidarności w chwilach najcięższych". Wprawdzie wcześniej asekuracyjnie stwierdził, że: „ktoś powiedział, że te wybory nie są o tym, czy nasze szkoły są dobrze przygotowane dla sześciolatków", ale tożsamości tego ktosia nie udało mi się ustalić, więc mógł być to ktoś umowny. W każdym razie od tej pory przy okazji każdych wyborów dowiadujemy się, o czym one są. Wygląda na to, że to dość bezrefleksyjny przekład angielskiego „what the elections are about", czyli „czego dotyczą wybory".

•

Jeśli już koniecznie musimy się posługiwać przyimkiem „o", to może raczej pytajmy: „O co chodzi w tych wyborach?", „O jaką stawkę toczy się walka wyborcza?", czy wreszcie mówmy: „Te wybory decydują o tym, że...". Pytanie: „O czym są wybory?" - sprawia wrażenie kontaminacji wszystkich wymienionych form. Ale dorzeczniej byłoby chyba pytać bez przyimka. Wybieramy przecież „kogoś" (jeśli głosujemy na konkretne osoby), albo „coś" (jeśli na partię lub program). Wybory są aktem, który, kiedy się już dokona, jest interpretowany przez politologów, psychologów i ekspertów wszelkiej maści, a więc stają się fabułą jakiejś mniej lub bardziej naukowych narracji, a także narracji nienaukowych, bo pojawiają się przecież także narracje spiskowe — o wyborach, a właściwie: o ich wynikach.

•

Właśnie słowo „narracja" wydaje się kluczowe dla pytania „o czym są te wybory" i właśnie dzięki niemu ta składniowa nieskładność się przyjęła; nie chodzi o to, czego wybory dotyczą, ale jaka opowieść dzięki nim powstaje. Narracja zrobiła ostatnio oszałamiającą karierę, wychodząc poza poetykę tekstów artystycznych.
Arystoteles złapałby się za głowę, czytając o „ekologicznej narracji Zachodu", „wpisywaniu się działań Lewicy w narrację PiS", „nowej narracji w branży modowej", reklamie jako „fikcyjnej narracji", „fałszywej narracji wokół choroby Bruce'a Willisa" czy „chłopskiej i pańskiej narracji". Przypomnijmy, że dla Arystotelesa narracja to opowieść mająca początek, środek i koniec oraz konstruktywną funkcję wobec opisywanych zdarzeń. W teorii literatury występuje zwykle w parze z fabułą, czyli samymi zdarzeniami, bez narracji istniejącymi niejako wirtualnie, którym dopiero narracja nadaje formę opowieści. Narracja pozwala opowiadać o zdarzeniach na różne sposoby, za pomocą różnych schematów, np. przyczynowo-skutkowego, chronologicznego czy teleologicznego (nastawionego na cel, czyli „telos"). Może też, jak w filmie Christophera Nolana „Memento", opowiadać o zdarzeniach w odwrotnym porządku chronologicznym: od końca do początku. Chronologia narracji jest wówczas lustrzanym odbiciem chronologii fabuły.

•

Słowo „narracja" w XX wieku zrobiło także sporą karierę w humanistyce, wychodząc poza dzieło literackie czy filmowe. Artur Danto mówił, że „historia opowiada historie" („history tells stories"), a Hayden White - że historia, podobnie jak literatura, posługuje się narracją, która nie tyle opisuje zdarzenia historyczne (a więc swego rodzaju fabułę), ile konstruuje opowieść o tych zdarzeniach, zgodnie z jakimiś narracyjnymi regułami spójności, a przy okazji zgodnie z jakąś ideologią. Historyczny realizm ustąpił więc miejsca tzw. konstrukcjonizmowi. Wybory są aktem politycznym, a współczesna polityka niebawem stanie się historią, można więc powiedzieć, że wybory to swego rodzaju zdarzenie (element fabuły), które ktoś chce nam opowiedzieć (a więc ująć w narrację). „Powiem wam, o czym są te wybory" oznacza zatem z jednej strony: macie wpływ na fabułę opowieści o współczesności, która niebawem stanie się narracją historyczną, a więc macie wpływ na historię, współtworzycie ją. Z drugiej strony - „ja wiem, o czym są te wybory", to znaczy to ja tworzę narrację na podstawie fabuły, którą współtworzycie. Jeśli wybierzecie odpowiednio, będzie to narracja pozytywna, np. heroiczna czy po prostu zwycięska. Jeśli nie - grozi nam wszystkim horror lub dramat. Albo komedia, rzecz jasna. Tak czy owak, ten, kto pyta, „o czym są te wybory", sugeruje, że wie, „o czym są te wybory", a więc sytuuje się w pozycji narratora: kogoś, kto nam opowie świat, a właściwie kogoś, kto nam ten świat skonstruuje.
A przynajmniej — wyjaśni. Ja wiem, co jest stawką w tych wyborach, widzę rzeczywistość polityczną w szerokiej perspektywie, więc powiem wam, jak to wszystko rozumieć. Pytanie: „o czym są te wybory?" przypomina przecież pytania zadawane ChatowiGPT: „o czym jest »Rewizor« Gogola". Nie chce nam się śledzić współczesnej polityki, np. lokalnej, tak samo jak nie chce nam się czytać XIX-wiecznych dramatów, więc sięgamy do bryków. Trudno, nie dowiemy się czegoś samodzielnie, ale ostatecznie się przecież dowiemy. Propozycja: „powiem wam, o czym są te wybory" brzmi może i protekcjonalnie, ale w ramach oszczędności własnego czasu i trudu jakoś tę protekcjonalność przełkniemy.

•

Pytanie „o czym są te wybory" sugerować może także, że powinniśmy postrzegać wybory jako swego rodzaju spektakl teatralny. O czym jest ten spektakl? Dowiedzmy się, zanim weźmiemy w nim udział. Bo nie jesteśmy tu przecież wyłącznie biernymi widzami — mamy wpływ na jego fabułę. Jeśli wybory to spektakl, to przypominający nie tyle klasyczny dramat czy komedię, ile „reality show", w którym widzowie podejmują decyzje dotyczące jego uczestników.
Tyle że w przypadku wyborów nie jesteśmy tylko widzami wysyłającymi SMS-y czy zaznaczającymi krzyżyki na kartach wyborczych. To przede wszystkim my jesteśmy uczestnikami tego spektaklu. O czym on jest? O nas! Może, zamiast sprawdzać, „o czym" jest druga tura wyborów, tak jak sprawdzalibyśmy, o czym jest „Rewizor", przypomnijmy sobie zdanie, które pada w tej komedii: „Z czego się śmiejecie? Z samych siebie się śmiejecie". ●

eprasa.pl ab36aaa8da

Konflikt płci. Język określa świadomość

KOBIETY SĄ Z MARSA, A MĘŻCZYŹNI Z KRZYWDY

Im młodsze pokolenie, tym więcej kobiet i mężczyzn uważa, że mają gorzej niż płeć przeciwna

Kamil Fejfer

Kobiety i mężczyzn różnią nie tylko budowa fizyczna i biochemia mózgu oraz związane z nią postrzeganie świata. Również przekaz, jaki do nich dociera. One są bardziej postępowe, empatyczne, samoświadome i wciąż dyskryminowane, oni konserwatywni, sfrustrowani i wciąż znacznie bardziej uprzywilejowani – to komunikaty głównego nurtu, nakierowane na kobiety.

Do mężczyzn za pośrednictwem socjal mediów i YouTube'a trafia inny przekaz, tzw. redpillowy: poprawnościowy dyskurs ukrywa, że to mężczyźni mają znacznie gorzej: częściej popełniają samobójstwa, częściej giną w pracy, częściej są bezdomnymi, ofiarami zabójstw oraz konfliktów zbrojnych.

Natychmiast państwu – i samemu autorowi – skacze ciśnienie, a dłonie wyciągają się do klawiatury, by wklepać polemiczny wpis. I tak sami wpisujemy się w spiralę światopoglądowego konfliktu. A może niech nas rozsądzą – albo przynajmniej dadzą podbudowę do dyskusji – dane?

•

Mężczyźni z pokolenia Z częściej niż boomersi uważają, że feminizm to zło" to tytuł rtykułu z początku lutego w Wysokich Obcasach. Tekst wskazuje, że najmłodsi mężczyźni są bardziej konserwatywni nie tylko niż ich ojcowie, ale też dziadkowie. Przynajmniej w kwestii podejścia do feminizmu. W artykule pojawiają się również informacje na temat tego, że część chłopaków z pokolenia Z fascynuje się influencerem Andrew Tate'em, oskarżonym przez rumuńską policję o handel ludźmi i gwałt.

W komentarzach możemy przeczytać (pisownia oryginalna): „Młodzi mężczyźni są sfrustrowali faktem, że przegrywają z kobietami praktycznie w każdej dziedzinie. Tylko zamiast zamienić frustrację w energię do samorozwoju i stawania się lepszym, wolą, w duchu toksycznej męskości, szukać winnych i wrogów i czekać, aż patriarchat wszystko da im na tacy jak przez całą dotychczasową historię ludzkości". Takiego zdania jest użytkownik (lub użytkowniczka) axoloek.

„Mnie to nie dziwi. Kobiety zaczęły wchodzić w sferę do tej pory zastrzeżona dla mężczyzn i jest im gorzej niż było, bo mają większą konkurencje. Poza tym kobiety teraz mają własne pieniądze i nie trzymają się mężczyzn za wszelka cenę. A mężczyznom nie chce się zmieniać. Nie chcą być lepsi. Wciąż chcą być byle jacy i żeby mimo wszystko kobieta z nimi była. A to się zmieniło. Bynajmniej nie zgadzam się z tym, że mężczyznom gorzej się żyje. Wciąż kobiety częściej mają pod górkę" – stwierdza Ewynia.

W podobnym tonie o tym samym badaniu pisał „The Guardian". „Według sondażu chłopcy z generacji Z częściej niż mężczyźni z wyżu demograficznego uważają, że feminizm jest szkodliwy".

W styczniu 2022 r. w portalu Oko.press Piotr Pacewicz zamieścił tekst „Młodzi Polacy niewrażliwi, lekkomyślni, konserwatywni. A Polki?". W nim – podsumowanie sondaży zlecanych przez portal z uwzględnieniem podziału na płeć: mężczyźni są bardziej konserwatywni niż kobiety. Są również mniej wrażliwi na niektóre kwestie społeczne.

Wniosek, że są „lekkomyślni", autor wyciąga z sondażu, z którego wynika, że młodzi mężczyźni rzadziej niż kobiety deklarowali zaniepokojenie inflacją. Jednak mniejsza wrażliwość na ten problem może wynikać albo z wyższych zarobków mężczyzn, albo ze statystycznie niższego poziomu ich neurotyzmu – kobiety w testach osobowości częściej niż mężczyźni wykazują podwyższony poziom neurotyzmu (za to wyższy poziom sumienności). W tytule zamiast „lekkomyślności" można by więc napisać, że mężczyźni „są bardziej odporni na szoki".

Tytuł innego tekstu, wcześniejszego (2019) tekstu z Oko.press brzmi: „Europejsko-Wiosenny Sejm kobiet i Narodowo-Prawicowy mężczyzn. Schowaj mężowi dowód". To oczywiste nawiązanie do popularnego w 2007 r., za pierwszych rządów PiS, hasła „schowaj babci dowód". „Idą wybory. Trzeba uratować ten kraj. Dlatego powstała akcja >>Schowaj babci dowód<<. Podaj dalej, to nie jest łańcuszek, tylko sposób ratowania państwa" – taką wiadomością dzielili się Polacy przed przyspieszonym głosowaniem. W tamtym czasie to starsze, konserwatywne kobiety były na celowniku z uwagi na ich większą skłonność do głosowania na partie prawicowe.

•

Przekazy tekstów w" Guardianie", „Wysokich Obcasach: i Oko.press są nakierowane na kobiety. A do mężczyzn, jak wspomniałem – narracje redpillowe. „Red pill" jest metaforą zaczerpniętą z klasycznego dzieła sióstr Wachowskich „Matrix", gdzie główny bohater, pogrążony w wytworzonej przez komputery halucynacji, ma możliwość obudzić się i dostrzec Realne, wybierając oferowaną mu przez tajemniczego Morfeusza czerwoną pigułkę.

Redpillowcy uważają, że świat jest „dyskursywnym matrixem", gdzie fabrykowana opowieść faworyzuje kobiety, podczas gdy to mężczyźni mają znacznie gorzej. I choć podpierają się twardymi, prawdziwymi statystykami, zazwyczaj przekaz jest podlany ledwie skrywaną niechęcią do kobiet. Redpill jest głównie domeną youtubowych kanałów, grup dyskusyjnych i kanałów social mediowych. Tak wykuwa się dyskurs, w którym każda strona rywalizuje o miano bardziej pokrzywdzonej.

Kto więc jest bardziej uprzywilejowany, a kto bardziej opresjonowany? Postaram się wyjść z tej niszczącej tkankę społeczną dychotomii. Również dlatego, że owe wrogie narracje nabrały masy krytycznej, której efektem jest rozrywanie społeczeństwa po linii płciowej. Zauważam to również jako autor wielu tekstów oraz książki na temat dyskryminacji i gorszego traktowania kobiet na rynku pracy.

Kilka tygodni temu przez media przemknęła grafika obrazująca owo pęknięcie. W „Financial Timesa" John Burn-Murdoch stwierdził, że o ile przez ostatnie dekady płcie były mniej więcej stabilnie „rozłożone", jeśli chodzi o poparcie dla idei konserwatywnych i liberalnych, to w ostatnim czasie pojawiła się wielka wyrwa. W USA kobiety 18-30 lat są o 30 proc. bardziej liberalne niż mężczyźni w tym samym wieku. Uskok otworzył się w zaledwie sześć lat. I nie jest to domena jedynie Stanów Zjednoczonych. Podobny trend jest obserwowany w Niemczech, Wielkiej Brytanii, Korei Południowej, w Chinach, w Tunezji, w Polsce. Co jest na końcu tej ścieżki? John Burn-Murdoch mówi, żebyśmy skierowali wzrok na Koreę Południową, gdzie genderowa przepaść światopoglądowa jest największa. To kraj o bardzo niskim wskaźniku zawieranych małżeństw oraz najniższym współczynniku dzietności na świecie: w 2022 r. 0,78. Naszemu krajowi, notującemu kolejne rekordy – wstępne szacunki mówią, że w 2023 dzietność spadła poniżej 1,20 – jeszcze daleko do Korei. Ale osuwamy się właśnie w tamtym kierunku.

Z tzw. zastępowalnością pokoleń mamy do czynienia, kiedy dzietność wynosi 2,1. Prosta zastępowalność oznacza, że populacja danego kraju ani się nie zwiększa, ani się nie zmniejsza. A co za sobą ciągnie wyludnianie się kraju? Po pierwsze, społeczeństwa „młodsze", czyli takie, w których rodzi się więcej dzieci, uzyskują tzw. premię demograficzną przy generowaniu PKB. PKB z kolei silnie warunkuje nasz dobrobyt; nie mówi jedynie o sumie przepływów finansowych w gospodarce, ale daje zasoby na tworzenie lepszych instytucji publicznych, takich jak szkoły czy szpitale, lepszych i bardziej dostępnych mieszkań. Wszystkie kraje na szczycie listy Better Life Index – tworzonego przez OECD wskaźnika jakości życia – to bardzo zamożne gospodarki z bardzo wysokim PKB.

Po drugie, niska dzietność zwiastuje przyszłe problemy systemu emerytalnego. Oznacza to po prostu niekorzystną proporcję osób, które pracują na emerytów w stosunku do liczby tych ostatnich. W przyszłości albo będziemy musieli zwiększać składki emerytalne, albo wydłużać wiek emerytalny, albo robić obie te rzeczy. W przypadku starzejącego się społeczeństwa mamy również rosnące potrzeby zdrowotne i opiekuńcze.

W ramach tego samego budżetu więcej środków przeznaczanych na emerytury i opiekę nad schorowaną częścią społeczeństwa to mniej zasobów na edukację, ochro-

Odsetek amerykańskich kobiet i mężczyzn w wieku 18-29 lat, którzy identyfikują się jako liberałowie

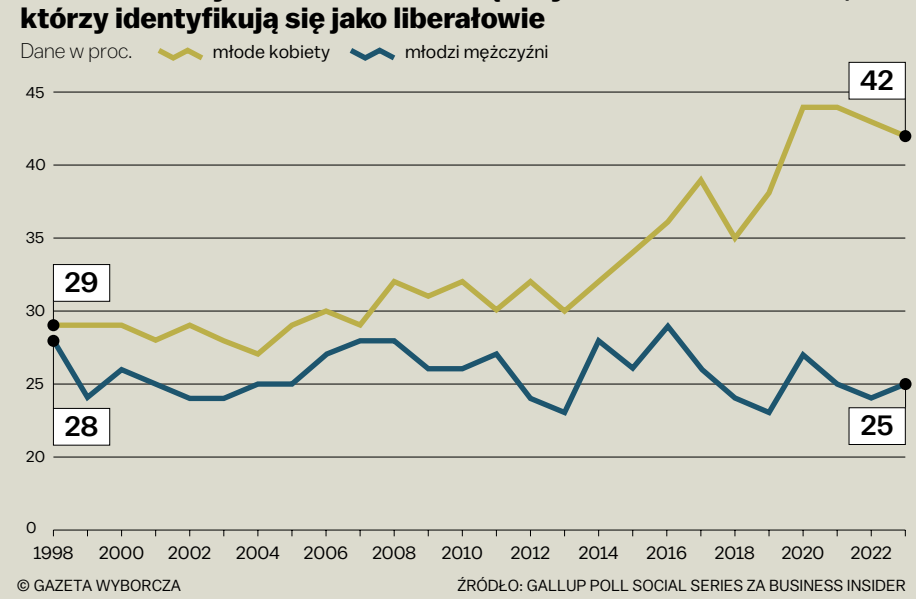

eprasa.pl ab36aaa8da

FOT. TOMMY SEITER/BE&W

nę środowiska czy kulturę. To oczywiście nie znaczy, że na nie zabraknie pieniędzy; wraz ze wzrostem PKB będzie ich prawdopodobnie więcej niż obecnie. Ale mniej, niż byłoby, gdyby społeczeństwo było młodsze. Starzejący się kraj jest więc problemem.

•

Na ten sam proces w „Business Insider" zwraca uwagę Daniel Cox, badacz z Georgetown University. „Od 2014 roku kobiety w wieku od 18 do 29 lat stawały się coraz bardziej liberalne, a mężczyźni podążali w przeciwnym kierunku. Kobiety z pokolenia Z częściej niż mężczyźni biorą udział w wyborach, bardziej interesują się kwestiami politycznymi i uczestniczą w ruchach społecznych" – opisuje trend widoczny w USA. Jeśli zerkniemy na wykres odnoszący się do poglądów politycznych z uwzględnieniem płci, to rzeczywiście od roku 1998 (najwcześniejszy punkt pomiarów) zauważymy, że kobiety były nieco bardziej liberalne niż mężczyźni, lecz w ostatnich latach nożyce rozszerzają się.

Mężczyźni są bardziej politycznie bierni niż kobiety. W badaniu przeprowadzonym przez Coxa w Stanach to panie wyraziły większe zaniepokojenie trzynastoma spośród 15 kwestii, o które pytali ankieterzy. Bardziej obchodziła je problematyka dostępu do broni palnej, opieki medycznej, inflacja, uzależnienie od narkotyków, zmiany klimatu czy samotność. Mężczyźni bardziej przejmowali się migracją. Natomiast kobiety i mężczyzn w podobny sposób poruszała kwestia długów studenckich. O co więc chodzi?

Łatwym wyjaśnieniem zjawiska jest stwierdzenie, że „mężczyźni nie nadążyli". Słyszeliście je państwo nie raz, prawda? Być może sami uważacie, że jest najbardziej adekwatne. Problem w tym, że jest częścią polaryzującego dyskursu. Bo bardzo wiele rzeczy, które dzieją się w ramach tego trendu, wynika prawdopodobnie właśnie z różnicowania języka, który jest kierowany do mężczyzn i do kobiet.

•

Daniel Cox pisze wprost, że „wszystko zaczęło się od #Metoo". To oczywiście nie oznacza, że akcja była niepotrzebna lub że ocenia ją negatywnie. Po prostu umieszcza ją w pewnym szerszym kulturowym pejzażu.

W polskim kontekście mieliśmy do czynienia z jeszcze jednym zjawiskiem – protestami z 2020 r. przeciwko zaostrzeniu ustawy aborcyjnej przez Trybunał Julii Przyłębskiej. Zmianę w poglądach widać w badaniach opinii społecznej nader wyraźnie. Poglądy polityczne osób młodych od lat bada CBOS.

O ile od 2015 do 2019 r. jako „lewicowe" określało się od 9 do 19 proc. kobiet lub mężczyzn w wieku 18-24, tak w 2020 już 22 proc. mężczyzn określało swoje poglądy jako lewicowe. W tym samym czasie wśród młodych kobiet ta autoidentyfikacja wystrzeliła i osiągnęła 40 proc.! Tu warto, by obraz nie był zbyt oczywisty, wspomnieć, że choć do 2020 r. to zazwyczaj młode kobiety były nieco bardziej lewicowe, w 2015 to chłopcy w niewielkim stopniu częściej (10 do 9 proc.) przyznawali się do poglądów prospołecznych.

W badaniach CBOS widać jeszcze jedną niezwykle istotną kwestię: różnicę poparcia dla lewicy w kontekście wielkości miejscowości. I pod tym względem w 2020 r. widać ogromny wzrost popularności lewicowych autodefinicji. W 2019 r. 12 proc. mieszkańców wsi deklarowało się w ten sposób, w 2020 już 25 proc. A największe miasta, powyżej 500 tys. mieszkańców? W 2019 r. 32 proc. osób z nich deklarowało się jako lewicowcy. W 2020 43 proc.!

Tu na marginesie warto zaznaczyć jedną rzecz. Jeśli zmiana w autoidentyfikacjach na osi prawica-lewica była reakcją na zaostrzenie prawa antyaborcyjnego, to lewicowość prawdopodobnie w przypadku znacznej części respondentów i respondentek była zrównywana z prawem do aborcji. A to niezwykle istotna informacja dla ugru-

eprasa.pl ab36aaa8da

powań lewicowych, które będą podkreślać właśnie tę kwestię z prostego powodu – to ona umożliwia dyskontowanie kapitału politycznego.

Jeszcze wyraźniej trend skręcania na lewo widać, jeśli przyjrzymy się krzyżówce charakterystyk: płci i miejsce zamieszkania. W 2015 r. w miastach powyżej 100 tys. mieszkańców jedynie 13 proc. kobiet było lewicowych. W 2020, a więc i po #MeToo, i po czarnych protestach, i po wyroku Trybunału Przyłębskiej, 54 proc. kobiety z dużych miast deklarowało się jako lewicowe! W przypadku mężczyzn ten odsetek był mniejszy o ponad połowę mniejszy.

Wydaje się również, że wtedy, między rokiem 2015 a końcówką 2020, większość mediów kierowanych do klasy średniej i wyższej oraz dużych kont zasięgowych w mediach społecznościowych zradykalizowało swój przekaz kierowany do kobiet. Nic w tym zresztą dziwnego – ich naturalnym konsumentem są osoby raczej z dużych miast, lepiej wykształcone. A tutaj dokonała się duża zmiana, jeśli chodzi oczekiwania względem treści, co widać po autoidentyfikacjach. Media nie muszą oczywiście śledzić sondażów CBOS-u – widzą, co im „się klika".

„Gdy kobiety się jednoczyły, wielu mężczyzn z najmłodszego pokolenia zaczęło sądzić, że społeczeństwo zwraca się przeciwko nim" – pisze Cox o amerykańskim kontekście. Część tego zjawiska miała miejsce i w Polsce. „Według Pew Research Centrer jeszcze w 2019 r. mniej niż jedna trzecia młodych mężczyzn twierdziła, że spotyka się z dyskryminacją. Obecnie blisko połowa mężczyzn z pokolenia Z uważa, że spotyka się z co najmniej pewną dyskryminacją" – dodaje badacz.

•

Czy prawdą jest, że mężczyźni spotyka coraz częściej dyskryminacja? Cóż, to nie ma większego znaczenia, ponieważ życiem społecznym nie rządzą fakty, liczby, a interpretacje, narracje czy też mity – sposoby, w jaki sobie świat opowiadamy i w jaki szukamy faktów, które do tych opowieści pasują. Dowód?

Pamiętacie państwo tytuły prasowe z pierwszych akapitów? Te, które zwracały uwagę na większy konserwatyzm młodych zoomerów w porównaniu do pokolenia ich dziadków? Zarówno artykuł z „Wysokich Obcasów", jak i ten w „Guardianie" opierały się na badaniu IPSOS dla King's Global Institute For Women's Leadership, ośrodka działającego pod egidą brytyjskiego King's College London. W odpowiedzi na pytanie o wpływ feminizmu na brytyjskie społeczeństwo 16 proc. mężczyzn w wieku 16-29 lat stwierdziło, że „zrobił on więcej złego niż dobrego" (jednocześnie 36 proc. uważało, że zrobił on więcej dobrego niż złego). W przypadku mężczyzn w wieku 60+ było to... 13 proc. Różnica 3 punktów procentowych przy takim badaniu nie jest bardzo wielka. A to właśnie ona została wyciągnięta do tytułu brytyjskiego dziennika.

King's Global Institute For Women's Leadership w ramach raportu zadał o wiele więcej pytań. Z naszej perspektywy najbardziej interesującym jest to: „Kiedy rozważamy sytuację w Wielkiej Brytanii, czy uważasz, że dzisiaj trudniej jest być mężczyzną, kobietą, czy nie ma to znaczenia?".

Tu przystańmy na chwilę nad kwestią kontekstu geograficznego. Tak, jasne jest, że sondaż z UK nie musi pasować do wszystkich krajów rozwiniętych, w tym do Polski. Jednak biorąc pod uwagę, że trend genderowego pęknięcia politycznego widoczny jest w wielu krajach rozwiniętych (i nie tylko), w tym w Polsce, możemy ostrożnie wnosić, że pewne wnioski z badania, a zwłaszcza widoczne w nich trendy, mogą być obserwowalne również w naszym kraju.

Przy wyżej zacytowanym pytaniu odpowiedzi układają się w bardzo klarowny i spójny obraz. Wśród mężczyzn w wieku 16-29 lat 26 proc. odpowiedziało, że „znacznie trudniej jest być mężczyzną" lub „trochę trudniej jest być mężczyzną". A sytuacja u kobiet? Odpowiedzi „Znacznie trudniej jest być kobietą" lub „trochę trudniej jest być kobietą" zaznaczyło 68 proc. respondentek. To wydaje się naturalne – rzeczywiście kobiety mniej zarabiają (również na tych samych stanowiskach), częściej opiekują się dziećmi i osobami zależnymi, częściej trafiają na szklany sufit.

Deklarowane poglądy polityczne polskich kobiet i mężczyzn w wieku 18-24 lata

Dane w proc. (w zaokrągleniu)

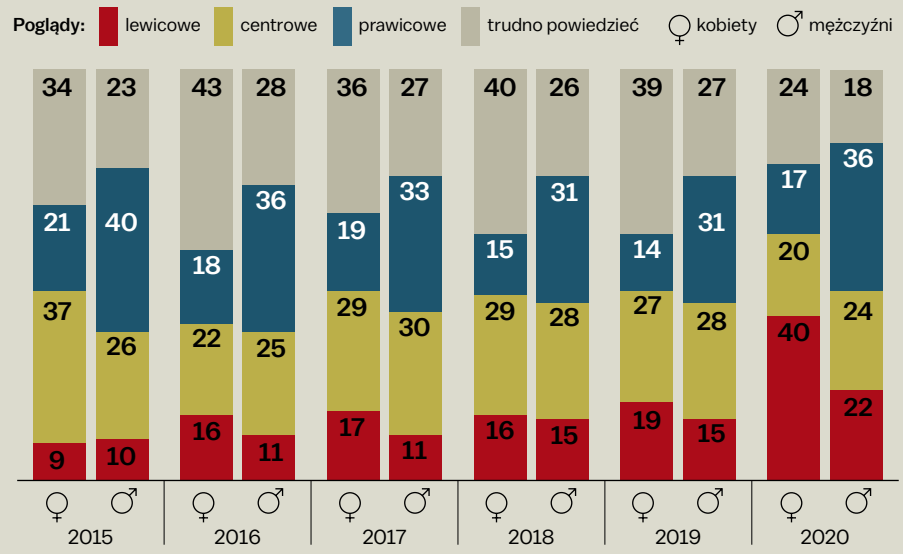

© GAZETA WYBORCZA ŹRÓDŁO: CBOS, MARZEC 2021 R.

A co, gdy spojrzymy na starsze pokolenia? W grupie 60+ jedynie 17 proc. panów jest zdania, że „znacznie trudniej" lub „trochę trudniej jest być mężczyzną niż kobietą". Z drugiej strony 47 proc. respondentek sądzi, że trudniej jest być kobietą. Niemniej im starsi badani, tym więcej osób swoje odpowiedzi lokuje gdzieś w środku. Obecnie ów „środek" jest wymywany.

•

Za to rośnie odsetek odpowiedzi skrajnych. O ile w pokoleniu 60+ jedynie 13 proc. respondentek uznało, że znacznie trudniej jest być kobietą niż mężczyzną, tak w grupie dziewczyn w wieku 16-29 lat uważa tak już 35 proc. Podobna radykalizacja postaw jest widoczna wśród mężczyzn. O ile w pokoleniu boomerów jedynie 2 proc. mężczyzn jest zdania, że „znacznie" trudniej jest być mężczyzną, tak w pokoleniu najmłodszych chłopaków uważa tak 11 proc. pytanych. Jak widać, rozwierają nam się „nożyce krzywdy". I z każdym pokoleniem przybywa tych respondentów i respondentek, które uważają, że mają gorzej niż płeć przeciwna.

Takie same zjawisko widzimy, kiedy spojrzymy na odpowiedzi na pytanie: „Patrząc w szerokim kontekście (prawa, pieniądze, obowiązki rodzinne, związki, bezpieczeństwo, zdrowie), czy w Wielkiej Brytanii generalnie lepiej mają się kobiety, mężczyźni, czy nie ma to znaczenia?". Z każdą młodszą kohortą wzrasta odsetek skrajnych deklaracji.

W ostatnich dekadach następowały więc dwa przeciwbieżne procesy – społeczeństwo było coraz bardziej równościowe, a kobiety uważały, że mają coraz gorzej. To jeden wielki trend, a drugi – w najmłodszym pokoleniu widać największą polaryzację.

Jeśli chodzi o kobiety, można to tłumaczyć „zwiększającą się świadomością społeczną". W przypadku bańki lewicowo-liberalnej ta diagnoza narzuca się sama. Ale przecież ewidentnym jest, że w krajach rozwiniętych dzisiejszym młodym kobietom żyje się znacznie, znacznie lepiej, niż żyło się ich babkom, kiedy te były w ich wieku. Mimo więc postępu mamy do czynienia ze wzrastającym poczuciem krzywdy kobiet!

Z drugiej strony powstaje pytanie, czy „zwiększoną świadomością społeczną" będziemy również wyjaśniać to, że również coraz więcej mężczyzn czuje się pokrzywdzonych? Raczej nie. Prawdopodobnie skłonimy się ku wyjaśnieniu, że wciągani przez bagno redpilla i mizogińskich narracji nabrali fałszywej świadomości.

Takiego zdania jest zresztą Patrycja Wieczorkiewicz, współautorka książki „Przegryw", która opisuje, jak wygląda proces radykalizacji mężczyzn w tekście pod znamiennym tytułem „Algorytmy nakręcają redpillową maszynkę do mielenia facetom mózgów".

Kiedy media zajmują się problematyką wykluczenia kobiet, zwracają uwagę na czynniki systemowe, kulturowe oraz szkodliwe stereotypy. Opisywane przez te same media problemy mężczyzn mają być wynikiem ich indywidualnej niemocy

„Wystarczy, że obejrzymy kilka sekund przypadkowej rolki na TikToku, Facebooku czy Instagramie, byśmy zostali uznani za potencjalnie zainteresowanych podobnym kontentem. Dzięki algorytmom nie będziemy musieli go szukać. Sam nas znajdzie. Liczne badania, w tym to przeprowadzone przez analityków z Institute for Strategic Dialogue (dotyczące rolek YouTube'a) czy Media Matters (skupione na funkcjach TikToka) dowodzą, że algorytmy mediów społecznościowych i platform targetują chłopców i młodych mężczyzn jako odbiorców seksistowskiej i skrajnie prawicowej propagandy" – pisze Wieczorkiewicz i z pewnością ma rację. Problemem jest to, że segmentowanie treści nie odnosi się jedynie do mężczyzn; ten proces dotyczy również kobiet.

To jest alternatywne – i moim zdaniem bardziej wiarygodne – wyjaśnienie fenomenu, że znacznie więcej kobiet z młodego pokolenia w porównaniu z pokoleniem ich matek i babć (jeśli przyjmiemy Wielką Brytanię za miarodajną dla krajów rozwiniętych) mimo postępu, który się dokonał w kwestii ich emancypacji, uznaje, że „dzisiaj znacznie trudniej jest być kobietą niż mężczyzną". Nie tylko chodzi o „zyskanie świadomości" (choć prawdopodobnie również i to odgrywa jakąś rolę), ale właśnie o segmentację treści: inny przekaz jest kierowany do kobiet, a inny do mężczyzn. I każda z tych grup, przynajmniej w jakiejś części swoich przekazów znajdzie opowieść o swojej krzywdzie. Krzywdzie, za którą odpowiada ta druga strona.

•

Żeby zobrazować, o co mi chodzi, wróćmy do kwestii tego, że kobiety naprawdę są dyskryminowane w pracy i na tych samych stanowiskach zarabiają mniej. Redpillowcy powiedzieliby (o ile w ogóle zgodziliby się z taką diagnozą): „co z tego, skoro mężczyźni szybciej umierają, częściej popełniają samobójstwa, częściej stają się bezdomnymi". Ten wyścig na wykluczenia, konkurs na bardziej uciśnionych zaostrza podział i rozstawia płcie po przeciwnych stronach barykady. Wyżej opisywałem narastające poczucie krzywdy kobiet, ale mężczyźni, czując zmianę języka w kierunku dowartościowywania ofiar, również chcą teraz być bardziej uciśnieni.

Jeszcze jedna poszlaka uwiarygodniająca, że przynajmniej część pęknięcia politycznego płci jest wynikiem dyskursywnego wyścigu zbrojeń. Przypomnijmy, że „Guardian" w tytule podniósł niewielką różnicę między mężczyznami z pokolenia Z a pokoleniem boomerów. 3 punkty procentowe; można powiedzieć, że to kwestia pomijalna. Jednocześnie, jeśli wplecie ją się w narrację o toksycznej męskości, to może służyć jako jeden z elementów cementujących taką właśnie opowieść.

Tymczasem opracowanie, na którym „Guardian" oparł swój artykuł, nosiło tytuł „Rosnące napięcie? Jak młodsze generacje są podzielone w kwestii męskości oraz równości płci"). Zwracało więc uwagę właśnie na rosnącą polaryzację! Ale brytyjski dziennik, znając swojego liberalno-lewicowego czytelnika, podkręcił tytuł zgodny z logiką wyścigu na wykluczenia. Choć autorki i autorzy badania z King's College London na pierwszy plan wybijali problem sypiącej się spójności społecznej, redaktorzy suflowali opowieść o konserwatywnym backlashu młodych mężczyzn.

Część mężczyzn rzeczywiście może czuć się wykluczona z takiej narracji. Badacz Michał Gulczyński, współzałożyciel Stowarzyszenia na rzecz Chłopców i Mężczyzn, autor raportu „Przemilczane nierówności" na temat gorszego w niektórych przestrzeniach położenia mężczyzn, w 2021 r. pisał na stronie Klubu Jagiellońskiego: W ostatnich latach nawet co ósmy komunikat prasowy komisji europejskiej wspominał płeć (gender) lub kobiety.

I zauważał, że kiedy media głównego nurtu zajmują się problematyką wykluczenia kobiet, to zwracają uwagę na czynniki systemowe, kulturowe oraz szkodliwe stereotypy. Opisywane przez te same media problemy mężczyzn mają być wynikiem ich indywidualnej niemocy.

Warto też pamiętać, że choć mężczyźni znacznie częściej znajdują się na kierowniczych stanowiskach, zarabiają statystycznie więcej na równorzędnych posadach oraz statystycznie szybciej awansują, to obraz jest bardziej złożony. Owszem, znaczna większość ludzi u władzy to mężczyźni, jednocześnie to mikroskopijny odsetek samych mężczyzn. Większość nie jest i nigdy u władzy nie będzie. Dodatkowo istnieją przestrzenie (również wewnątrz klasy średniej i wyższej), gdzie mężczyźni bywają realnie dyskryminowani. Przykład?

Dwa lata temu w jednym z najbardziej prestiżowych czasopism naukowych na świecie „Proceedings of the National Academy of Sciences" grupa badaczy (wśród nich noblista David Card) przyglądała się selekcji członków prestiżowej National Academy of Sciences (NAS, Narodowa Akademia Nauk) oraz American Academy of Arts and Sciences (AAAS, Amerykańska Akademia Sztuk i Nauk) pod kątem genderowym. Naukowcy skupili uwagę na trzech przestrzeniach: psychologii, matematyce i ekonomii. Co się okazało? Historycznie rzecz biorąc, większość nowo wybranych członków stanowili mężczyźni. W ostatnim czasie sytuacja się jednak zmieniła i w trzech latach poprzedzających badanie kobiety stanowiły 40 proc. nowo wybranych.

Badacze stworzyli model, który pozwala prześledzić prawdopodobieństwo wkroczenia w szeregi NAS i AAAS skorygowane o liczbę cytowań i publikacji naukowych. O ile w latach 60. mieliśmy do czynienia z niedoreprezentowaniem kobiet, tak „w latach 90. selekcja do obu organizacji była neutralna płciowo, biorąc pod uwagę publikacje i cytowania". Jednak w ostatnich 20 latach nastąpiła, jak to nazywają badacze, „pozytywna preferencja" wobec naukowczyń. „Obecnie kobiety mają od 3 do 15 razy więk-

eprasa.pl ab36aaa8da

szą szansę na zostanie wybraną do AAS lub NAS przy tej samej liczbie publikacji i cytowań, co mężczyźni". Jak wyjaśniają efekt? „Pozytywna preferencja w stosunku do kobiet może odzwierciedlać obawy, że kobiety napotykają na większe bariery w publikowaniu w czołowych czasopismach".

Innymi słowy, w dwóch niezwykle prestiżowych gremiach naukowych mamy do czynienia z dyskryminacją mężczyzn (co oczywiście nie oznacza, że podobnie jest w innych takich organizacjach w krajach rozwiniętych). Tak, to prawda, że badacze posługują się kategorią „pozytywnej preferencji w stosunku do kobiet"; takiej samej kategorii można jednak użyć z odwróconym wektorem i powiedzieć, że istnieje „pozytywna preferencja w stosunku do mężczyzn przy lepszym ich wynagradzaniu w miejscach pracy".

O ile mężczyźni rzeczywiście sprawują najwięcej władzy oraz przynależą znacznie częściej do prestiżowych gremiów, tak częściej również znajdują się po drugiej stronie rozkładu: częściej stykają się z kryzysem bezdomności, częściej popełniają samobójstwa i w ogóle krócej żyją. Choć kuszące jest podsumowanie tej wiedzy stwierdzeniem, że „patriarchat krzywdzi wszystkich, również mężczyzn", jest to eksplanacyjna zapchajdziura, ponieważ realne powody każdego z tych zjawisk są niezwykle złożone. Widać w nich jednak nakładające się na siebie dwa czynniki ryzyka: płeć męska oraz niska pozycja społeczna, czyli niskie dochody oraz niski poziom wykształcenia.

•

Na te kwestie zwraca uwagę publicysta Piotr Wójcik na łamach „Krytyki Politycznej", zaznaczając w leadzie, że „brak haseł i postulatów dotyczących praw mężczyzn na lewicowych sztandarach ma jedną prostą przyczynę: mężczyźni jako ogół nie są płcią dyskryminowaną". To odpowiedź na podjętą przez Jakuba Dymka – współgospodarza „Dwie lewe ręce", jednego z ciekawszych podcastów politycznych – kwestię braku oferty ze strony lewicy skierowanej właśnie do mężczyzn. Ten drugi zwraca uwagę, że polska lewa strona dyskursywnie porzuciła mężczyzn, w ten sposób oddając pola partiom prawicowym.

„W Polsce jest mnóstwo nieuprzywilejowanych i dyskryminowanych mężczyzn, jednak co do zasady przyczyną tego stanu rzeczy nie jest ich płeć, a pochodzenie, klasa społeczna, kapitał kulturowy czy wykształcenie" – pisze Wójcik. Jeśli jednak kobiety z takim samym klasowym backgroundem nie umierają tak często jak mężczyźni, nie padają tak często ofiarami zabójstw, nie trafiają tak często do więzienia, to znaczy, że płeć jest istotnym czynnikiem ryzyka.

Żeby było jasne, absolutnie nie chodzi mi o uczestnictwo w zawodach pod tytułem „kto ma gorzej". Chcę tylko zwrócić na niezwykłą złożoność problematyki. Z punktu widzenia spójności społecznej takie zawody nie mają żadnego sensu, tylko zaostrzają spór.

Jest jeszcze jeden bardzo istotny element układanki. Zwraca na niego uwagę socjolożka Jean Twenge w niezwykle ciekawej książce „Pokolenia". Chodzi o to, że wraz z rozwojem social mediów i upowszechnieniem się smartfonów młodzi (i nie tylko) ludzie coraz rzadziej spędzają czas na bezpośrednich interakcjach.

Podobne zjawisko w „The Atlantic" opisuje Derek Thompson. „W latach 2003-22 amerykańscy mężczyźni skrócili czas spędzany na kontaktach twarzą w twarz o 30 proc. W przypadku nastolatków było to aż 45 proc. Chłopcy i dziewczyny w wieku od 15 do 19 lat ograniczyli czas na spotkania towarzyskie o ponad 3 godziny tygodniowo". W 2022 r. właściciele zwierząt spędzali więcej czasu na zabawie z nimi, niż na kontaktach osobistych z innymi ludźmi. Mało tego – Amerykanie również „podmienili" dzieci na zwierzęta. Co znów ogranicza kontakt z drugim człowiekiem.

Ten proces nie tylko pogarsza nasz stan psychiczny, ale również izoluje od możliwości zrozumienia innych, w tym osób przeciwnej płci. Współbieżnym do tego trendu jest omówiona już w tysiącach artykułów i książek tendencja do pogrążania się w swoich komorach pogłosowych w social mediach, które stały się ersatzem realnych kontaktów.

Czy dziś w Wielkiej Brytanii trudniej jest być mężczyzną czy kobietą, czy też nie ma dużej różnicy?

Dane w proc. (w zaokrągleniu)

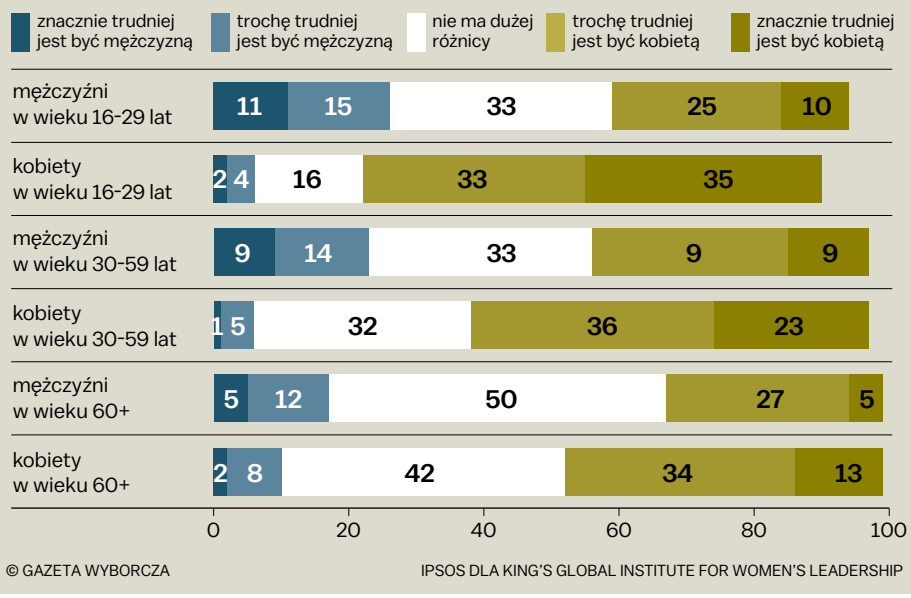

© GAZETA WYBORCZA IPSOS DLA KING'S GLOBAL INSTITUTE FOR WOMEN'S LEADERSHIP

W amerykańskim badaniu kobiety bardziej obchodziła problematyka dostępu do broni palnej, opieki medycznej, inflacja, uzależnienie od narkotyków, zmiany klimatu czy samotność. Mężczyźni bardziej przejmowali się migracją

Tu kłania się fenomenalna książka „Obcy we własnym kraju" Arlie Hochschild. Socjolożka z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley ruszyła na amerykańskie Południe, żeby zrozumieć, dlaczego ubodzy ludzie popierają politykę Republikanów, która stoi w sprzeczności z ich interesami ekonomicznymi: niższe podatki i przywileje dla najbogatszych, cięcia programów socjalnych, ograniczanie praw kobiet, okrawanie publicznych programów socjalnych, likwidacja państwowej opieki zdrowotnej, prywatyzacja i tak skromnych usług publicznych....

W centrum tej opowieści znajdujemy godność osób, które poczuły, że w publicznej debacie prowadzonej przez „oświecone elity" zabrakło ich perspektywy i ich głosu. Liberalny mainstream miał im do zaoferowania w najlepszym wypadku lekceważenie, w najgorszym wyzywanie od „rednecków". Znamy to skądś? Czy ten dyskurs nie przywodzi na myśl narracji o „moherach" i żartów z „odebrania babci dowodu", które nie tak dawno temu zmutowały w propozycje „odebrania mężowi dowodu"?

Hochschild zaczęła prace nad książką w 2012 r., na długo przed prezydencką wygraną Donalda Trumpa. Trumpa". Badaczka pisze we wstępie: „Gdy pięć lat temu rozpoczynałam ten projekt badawczy, zaczynała mnie niepokoić narastająca wrogość pomiędzy dwoma obozami, na które podzielił się nasz naród". Z tym współgrają słowa Daniela Coxa z „Business Insidera": „Na podstawie przeprowadzonych przez nas wywiadów wydaje się, że zarówno wśród młodych mężczyzn, jak i kobiet wzrasta pokusa obwiniania siebie nawzajem za swoje problemy".

Cox dodaje: „Większość młodych mężczyzn prawdopodobnie nie jest zainteresowana sprawieniem, aby Ameryka znów stała się wielka [nawiązanie do hasła wyborczego Trumpa „Make America Great Again"], ale odczuwa silną potrzebę zapewnienia sobie miejsca w kulturze, która łatwo wskazuje męską przewagę, ale ignoruje wyzwania stojące przed młodymi mężczyznami".

A więc rosnącą polaryzację społeczeństw w ogóle uzupełnia – a może i napędza – polaryzacja płci. Te trendy zaś – przepraszam za oczywiste stwierdzenie, ale skoro staramy się pokazać złożoność sytuacji, naświetlam wszystkie konteksty – od mniej więcej początków ubiegłej dekady jednocześnie eksploatują i nakręcają social media.

One same, poprzez swoją naturę, ale też, w pełni świadomie, autorzy oraz autorki w nich obecne. Algorytmy mediów społecznościowych nagradzają stanowiska – akceptowalnie – skrajne. Osoby, które wygłaszają poglądy radykalne, ale mieszczące się w ramach akceptowalnych czy mile widzianych w danej grupie, zyskują „lajkową przewagę". To z kolei zachęca następnych do naśladownictwa tej skutecznej strategii. Semiotyk prof. Marcin Napiórkowski nazywa to „pluralizmem spolaryzowanym".

Ów trend radykalizacji dostrzegły tradycyjne media. Ponieważ pozostają coraz częściej w ogonie za mediami społecznościowymi, próbując nadążyć za konkurencją, eksploatując zjawiska „fejsowe".

I tak portale kierowane do klasy średniej od lat coraz częściej podejmują tematy związane z wykluczeniem kobiet, jednocześnie tworząc kontent bagatelizujący problemy mężczyzn. Ci z kolei, nie mogąc znaleźć swojej reprezentacji czy wręcz czując się oskarżanymi o nie swoje winy („czy ja kiedykolwiek kogokolwiek skomentowałem koleżankę z pracy?", „od lat tyram w korpo poniżej średniej krajowej!" i tak dalej), wkraczają coraz głębiej w coraz ciemniejsze odmęty internetu, gdzie część z nich zaczyna babrać się w mizogińskiej szurii.

Na to wszystko nakłada się świadoma polityka partii politycznych, co udowadnia Dymek. Lewica i liberałowie bardzo chętnie sięgają po elektorat kobiecy, prawica po męski. Obie strony wzmacniają polityczną i lifestylową polaryzację płci.

•

Mamy więc poważny problem społeczny, problem narastającej nieufności; grę w wykluczenia, która opłaca się poszczególnym aktorom – influencerom, socialom, mediom tradycyjnym, politykom i działaczom, a nawet markom wykorzystującym do budowania wizerunku trendy obecne w popkulturze. Jednocześnie nie opłaca się społeczeństwu jako całości.

Czy można coś z tym zrobić? Być może po prostu powinniśmy „obalić patriarchat", powie ktoś. Ale takie stwierdzenie – pomijając już, że to jak mówienie, że rozwiązaniem problemu biedy na świecie jest obalenie kapitalizmu – to właśnie część problemu. Znów tylko i wyłącznie język, narracja, opowieść, którą lubimy sobie powtarzać, bo jesteśmy gatunkiem narracyjnym, tożsamościowym i plemiennym. Mówiąc wprost – nic nam to nie daje. Potrzebujemy więcej konkretów.

Być może powinniśmy zacząć od regulacji algorytmów social mediów tak, aby przestały nas uzależniać behawioralnie. Dzięki temu młodzi ludzie mogliby spędzać ze sobą więcej czasu twarzą w twarz. Co również pomogłoby częściowo okiełznać kryzys psychiczny rozlewający się po młodym pokoleniu. Jeśli chcemy walczyć z pewnymi negatywnymi wzorcami zachowań, nie powinniśmy negować całych tożsamości, w tym tożsamości męskiej.

Do znacznej większości mężczyzn zupełnie nie trafi przekaz „możesz płakać, to jest okej, możesz się bać, to jest okej, możesz być bezrobotny i biedny, jesteś wystarczający". Taką receptę na kryzys męskości sufluje na przykład popularna „Grupa performatywna chłopaki".

Problem w tym, że bezrobotnego, płaczliwego i wystraszonego mężczyzny prawdopodobnie nie chciałaby znaczna większość kobiet. A i sam taki mężczyzna nie byłby z siebie bardzo dumny. Powstaje więc pytanie, dla kogo miałby on być „wystarczający"? Potrzebne jest coś, co łączy „stare" z „nowym". Jakiś czas temu na moim Instagramie przewinął się filmik, w którym młoda dziewczyna najpierw mówi do mężczyzn, że to oni budują domy i drogi, to oni są strażakami, ratownikami medycznymi, to oni wykazują się odwagą, by dojść do konkluzji: „ale możecie czasem odpocząć, możecie być zmęczeni, czasami również możecie płakać".

Niemal wszystkie komentarze pod filmikiem były pozytywne. Czego nie można powiedzieć o komentarzach pod instagramowymi wrzutkami „Performatywnych chłopaków", którzy – streszczając grzeczniejszymi słowami opinie odbiorców – zbyt mocno idzie w negowanie całej męskiej tożsamości. Z takim przekazem nie da się dotrzeć do szerokiego grona odbiorców.

Paradoksalnie przydałaby się również depolityzacja niektórych problemów, czyli wskazywanie ich bez nakładania na nie filtra spójnej narracji. To coś absolutnie przeciwnego do tego, co zalecają specjaliści od marketingu politycznego, którzy tłumaczą swoim klientom i nam: żyjemy w opowieściach, to one strukturyzują nasze rozumienie świata, to one budzą w nas emocje, to one skłaniają nas do działania. Wszystko oczywiście jest prawda. Problem zaczyna się, kiedy ta opowieść „wjedzie za mocno"; na końcu tej ścieżki może być Korea Południowa.

Zamiast więc twierdzić, że kolejnym przejawem obrzydliwego patriarchatu są większe kolejki do damskich toalet, możemy po prostu zwrócić uwagę na ich nieoptymalne zaprojektowanie. Zamiast narracji o „ginocentryzmie", który zamyka oczy na męskie samobójstwa, możemy zastanowić się, jakie grupy mężczyzn są szczególnie zagrożone. Później możemy mapować ryzyka wystąpienia takich zjawisk i pomyśleć, jak tworzyć rozwiązania, które będą skuteczne. Ale nie w ramach narracji „patriarchat zakazuje wam płakać", ponieważ taki język będzie zupełnie niezrozumiały dla kiepsko wykształconych mężczyzn z małych miejscowości. Mogłoby się za to okazać, że aby zapobiegać samobójstwom części mężczyzn, należałoby tworzyć komunikaty, które odwoływałyby się do kojarzonych z patriarchalnymi stereotypami wartości, takich jak odwaga, dyscyplina i klasycznie rozumiana męskość.

Przyszłość więc nie tyle „powinna być kobietą", jak mówi część kobiecych organizacji. Nie powinna być też męskim resentymentem spod znaku redpillowej mizoginii i uproszczonych wersji psychologii ewolucyjnej. Przyszłość powinna być „nami wszystkimi". A żeby była przyjazna dla możliwie dużej części z nas, musimy zacząć sobie znowu trochę bardziej ufać. ●

eprasa.pl ab36aaa8da

MĘSKI różowy

Oto rzadki widok polskich mężczyzn pozwalających sobie na luz. Nie przychodzi im to z łatwością

Spróbuj pobyć parę chwil kobietą, a staniesz się lepszym mężczyzną.

Emilia Dłużewska

„To nie jest jakiś kabaret, jakiś facet przebrany za babę” – to zdanie, w różnych wariacjach, powraca w kolejnych odcinkach „Czas na show – Drag Me Out” jak echo. Nie bez przyczyny. Mężczyzna w kobiecym stroju w Polsce pojawia się niemal wyłącznie jako żart. Raczej mniej niż bardziej wyrafinowany.

Nic dziwnego, że twórcy nowej produkcji TVN usilnie próbują odciąć się od tego skojarzenia. Program, w którym celebryci pod okiem drag queens uczą się ich fachu, ma nie śmieszyć, a wzruszać, bawić i edukować. Oraz zmonetyzować globalne zainteresowanie dragiem.

Nie byłoby go, gdyby nie „Ru Paul’s Drag Race” – emitowany od 2009 r. amerykański reality show, w którym kilkanaście drag queens rywalizuje o tytuł supergwiazdy m.in. śpiewając z playbacku, wykonując skomplikowane układy taneczne, szyjąc kostiumy z odpadków albo przygotowując program komediowy. Produkcja zaczynała w niszowym kanale skierowanym do widzów LGBTQ, by po kilku sezonach przebić się do mainstreamowego VH1, a po kilku kolejnych stać się globalnym fenomenem. Dziś RPDR emituje MTV, swoje edycje mają m.in. Wielka Brytania, Kanada, Australia, Holandia i Tajlandia; zwyciężczynie amerykańskiej występują w reklamach, grają w filmach i jeżdżą po całym świecie, a producenci towarzyszą im z kamerą i przerabiają to na spin-off.

Żyłę złota dostrzegli i polscy producenci. W czerwcu 2022 r. premierę miał dokument HBO „Boylesque”, którego bohaterką była najstarsza polska drag queen, Lulla La Polaca.

W tym samym czasie Netflix serwował widzom serial „Królowa”, opowieść o paryskiej drag queen Silvestre, która na prośbę wnuczki wraca do rodzinnego miasteczka w Polsce.

Rok później warszawskie Muzeum Woli otwierało wystawę poświęconą Kim Lee, warszawskiej drag queen urodzonej w Wietnamie.

W tym Lulla La Polaca była jedną z ambasadorek organizowanej przez muzeum Polin akcji „Żonkil”, upamiętniającej powstanie w warszawskim getcie.

Na format przypominający „Ru Paul’s Drag Race” musieliśmy poczekać. Można się domyślać dlaczego: polska telewizja w porównaniu z amerykańską jest raczej zachowawcza. Łatwiej podsunąć odbiorcom fikcyjną, pokrzepiającą bajkę o drag queen jednającą się z rodziną albo ciepły dokument, trudniej skłonić masową widownię, by kibicowała prawdziwym drag queens.

TVN zdecydowała się na opcję pośrednią. W „Czas na show – Drag Me Out” profesjonalne drag queens występują, ale jako mentorki. W centrum uwagi znajdują się rywalizujący o królewski diadem uczestnicy: „normalni” mężczyźni, którzy dragu dopiero się uczą.

Przedsiębiorca w peruce, kulturysta w sukience

Znalezienie chętnych nie było pewnie łatwe. Producentom udało się jednak skompletować interesujący zestaw uczestników: w szpilkach i perukach tańczy dwóch aktorów – Tomasz Karolak i Michał Mikołajczak; kulturysta Marcin Łopucki; Tiktoker Kamil Szymczak oraz dwóch mężczyzn znanych z poprzednich produkcji TVN: uczestnik „Top Model” Tadeusz Mikołajczak i Dariusz Zdrójkowski, który z synem Adamem wystąpił w trzeciej edycji „Azja Ekspress”.

Najmłodszy ma 24 lata, najstarszy jest po sześćdziesiątce. Występy ocenia trzyosobowe jury: piosenkarz-celebryta Michał Szpak, aktorka i producentka Anna Mucha oraz Andrzej Seweryn, ikona polskiego aktorstwa i dyrektor Teatru Polskiego, który wcielił się w drag queen Silvestre w netflixowej „Królowej”.

Choć „Drag Me Out” nawiązuje wizualnie do „Ru Paul’s Drag Race”, różnice są duże. Amerykańskiej produkcji bliżej było do reality show: owszem, uczestniczki w każdym odcinku dostawały zadanie i były rozliczane z jego wykonania, ale równie istotne było to, co pomiędzy – ich historie, osobowości, wzajemne interakcje.

Polski program to bardziej talent show: nacisk położony jest na występ i jego ocenę. I jak w każdym talent show na każdy wzruszający moment przypada przynajmniej jedno toporne lokowanie produktu, kilka teatralnych łez i okrzyków oraz spora dawka żenady. Ale jest w tym programie coś, co sprawia, że mimo to warto go obejrzeć: rzadki widok polskich mężczyzn pozwalających sobie na luz.

Nie przychodzi im to z łatwością. Przy całej sztuczności telewizyjnego formatów, zmieszanie uczestników na widok czekających na nich obcasów, peruk i sukni wygląda autentycznie. Podobnie, jak ich rzednące miny, gdy zaczyna do nich docierać, na co się pisali. Zwłaszcza u starszych uczestników: przedsiębiorcy Dariusza Zdrójkowskiego, kulturysty Marcina Łopuckiego i aktora Tomasza Karolaka, choć ten nie jest przecież w show-biznesie nowincjuszem. Ale i młodsi zdają się niepewni.

Skrępowanie starają się ogrywać żartując, łypiąc ponuro do kamery i docinając sobie nawzajem. A także podkreślając, że nawet w szpilkach i makijażu pozostają męscy. „Sto lat temu różowy był męskim kolorem” – tłumaczy kolegom Kamil Szymczak. „Spróbuj pobyć parę chwil kobietą, a staniesz się lepszym mężczyzną” – peroruje Karolak, a siedzący wokół rywale z powagą potakują głowami.

Czy łzy Anny Muchy uleczą męskie depresje?

Nabijam się, ale tylko troszeczkę. Zdaję sobie sprawę, że dla uczestników programu udział w nim jest sporym wyzwaniem. Mają oto na oczach całej Polski opuścić gardę, którą przez całe życie uczono ich trzymać. Każdy z nich wyrastał w społeczeństwie, w którym „niemęski” nie jest neutralnym słowem, a poważną obelgą. W którym „facet to facet”: istota, która nie płacze, z uczuć pozwala sobie tylko na złość, żywi się wyłącznie schabowym i karkówką w piwie, a z prezentów ucieszy go tylko zestaw śrubokrętów.

Wzorzec męskości jest ciasny, a wszystko, co się w niego nie wpisuje, podejrzane – do tego stopnia, że gdy marketingow-

1 RP

eprasa.pl ab36aaa8da

cy chcą sprzedać polskiemu mężczyźnie jogurt albo krem do twarzy, muszą opakować go w czarne pudełko z hasłem „for men” wypisanym pogrubioną czcionką i wielkimi literami. W miarę możliwości dodać rysunek umięśnionego ramienia albo płomienie, a najlepiej jedno i drugie.

To akurat śmiesznostka, ale tradycyjnie pojmowana męskość ma też ciemne strony. Mężczyźni, od których społeczeństwo wymaga bycia twardzielami, mają problemy z rozmawianiem o emocjach, co odbija się na ich zdrowiu psychicznym i niechętnie chodzą do lekarza, przez co wiele chorób diagnozują za późno. Wychowywani do rywalizacji i kariery, po przejściu na emeryturę mierzą się z samotnością i poczuciem pustki. Z ostatnich danych GUS wynika, że pięć razy częściej niż kobiety giną śmiercią samobójczą.

Telewizyjny talent show nie rozwiąże żadnego z tych problemów. Egzaltowane okrzyki Michała Szpaka nie zagonią polskich mężczyzn na badania lekarskie, łzy Anny Muchy nie uleczą ich depresji, układ taneczny do piosenki Madonny – nawet najbardziej spektakularny – nie zastąpi im sieci społecznego wsparcia.

• **Tomasz Karolak wcielił się w drag queen „Długa Rolka”, a partnerował mu Staś Icenko jako „Himera”** (na zdjęciu po lewej)

• **Ocenia Andrzej Seweryn** (powyżej)

FOT. BARTOSZ KRUPA/TVN (2)

Ale być może „Drag Me Out” choć minimalnie i na chwilę naruszyć śmiertelną powagę, z jaką traktuje się w Polsce męskość. Pozwolić facetom zobaczyć, że mogą zdystansować się do stereotypu twardziela, a ich świat się nie zawali. Ba, w ogóle niewiele się w nim zmieni.

Królowych jest tylko sześć

Jeśli tak będzie, to w dużej mierze dzięki biorącym udział w programie drag queen. To one: pełna wdzięku Himera, zawodowa tancerka Gąsiu, queerowa aktywistka Twoja Stara, złośliwie zabawna Shady Lady, mistrzyni makijażu Adelon i imponująca kostiumami Ciotka Offka są prawdziwymi gwiazdami „Drag Me Out”. Do programu wnoszą nie tylko absolutny profesjonalizm (ich makijaże, kostiumy, umiejętności taneczne i aktorskie nie odstają od światowego poziomu), ale też charyzmę, energię i luz.

Dzięki ich cierpliwości ten luz zaczynają też czuć uczestnicy programu. Oglądanie, jak spięci i niezręczni w kontakcie z przegiętymi drag queens mężczyźni stopniowo oswajają się i zaczynają dobrze bawić, jest zaskakującą przyjemnością. Z każdym występem uczestnicy programu stają się swobodniejsi. Ich dragowe alter ego gubią karykaturalny rys, nie przestając być zabawne. I coraz wyraźniej widać różnicę między wyśmiewającym kobiecość „facetem przebranym za babę” a bawiącą się nią drag queen.

„Drag Me Out” nie staje się od tego bynajmniej wyrafinowaną rozrywką. Wciąż wiele w programie momentów ciężkostrawnych, od żenujących żartów i maniakalnej maniery prowadzącej Mary Spolsky, przez dziwaczne decyzje montażowe i niezgrabnie wyreżyserowane interakcje między jurorami, po niezrozumiałą dla mnie tendencję, by w każdy dialog wpleść kilka angielskich słów.

A jednak, mimo wszystko, oglądam. I liczę na to, że na jednym sezonie się nie skończy. ●

• „Czas na show: Drag Me Out” można oglądać w streamingu na platformie Player

Ludowy reset konstytucyjny

A gdyby Trybunał Konstytucyjny i Radę Polityki Pieniężnej wybierali wójt z burmistrzem

Maciej Kisilowski, Anna Wojciuk

I rządząca koalicja, i Konfederacja proponują zakończenie kryzysu ustrojowego poprzez nowelizację Konstytucji. Czy jednak w klimacie skrajnej polaryzacji uzyskanie dla jakiejkolwiek takiej propozycji wymaganego poparcia co najmniej 41 posłów PiS to political fiction?

Naszym zdaniem nie, jeśli położona na stole propozycja zasadniczo zmieniłaby logikę obsadzania kluczowych dla państwa niezależnych instytucji.

Taką propozycją mogłoby być radykalne przybliżenie do obywatelek i obywateli procesu wyboru członków Trybunału Konstytucyjnego, Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, Krajowej Rady Sądownictwa, a może także Kolegium Najwyższej Izby Kontroli lub Rady Polityki Pieniężnej. Taki oddolny, wręcz ludowy reset konstytucyjny, przybliżałby nasz kraj do realizacji zasady subsydiarności deklarowanej w Konstytucji z 1997 roku.

•

W dyskusji publicznej często widzi się samorządy jako przysłowiowych „łataczy dziury w drodze”. Tymczasem konstytucja kreśli znacznie bardziej ambitną wizję. Artykuły 163 i 164 stanowią, że „samorząd terytorialny wykonuje zadania publiczne nie zastrzeżone dla organów innych władz publicznych”, a gmina – „wszystkie zadania samorządu terytorialnego nie zastrzeżone dla innych jednostek samorządu terytorialnego”.

Może warto potraktować tę oddolną wizję państwa poważnie i nasz kryzys konstytucyjny rozwiązać przez „usamorządowienie” wyboru spornych instytucji – właśnie z kluczowym udziałem podstawowych, „domyślnych” jednostek wykonującej zadania publiczne w państwie, czyli gmin?

Kandydatów na członków TK, KRRiTV czy Kolegium NIK mogłyby wybierać nie władze centralne, tylko reprezentanci samorządów. Sejm zachowałby prawo sprzeciwu, wyrażane na przykład większością 2/3 głosów. Samorządowy wybór obudowany byłby profesjonalnym procesem nominacji kandydatów, uwzględniającym środowiska eksperckie, akademickie i organizacje pozarządowe. Szczególnie istotne byłoby to w przypadku 15 sędziów zasiadających w KRS – tutaj proponowalibyśmy nie wybór, ale konieczność uzyskania pozytywnej opinii samorządów.

Jakie samorządowe ciała mogłyby brać udział w takim „rozproszonym”, a zatem lepiej zabezpieczonym, wyborze członków niezależnych instytucji? Na pierwszy rzut oka naturalne byłyby sejmiki wojewódzkie. My jednak proponujemy rozwiązanie odważniejsze, a zarazem zgodne z filozofią naszej ustawy zasadniczej, w ogóle niewspominającej o sejmikach, natomiast szeroko zakreślającej kompetencje gmin.

Wyboru dokonywałyby zgromadzenia wójtów, burmistrzów i prezydentów miast z obszaru każdego z województw, decydujące – jak w Radzie Unii Europejskiej – głosem ważonym liczebnością reprezentowanych mieszkańców. Zapewniłoby to równowagę pomiędzy bardziej progresywnymi prezydentami miast dysponującymi znaczną liczbą głosów i bardziej konserwatywnymi włodarzami dużej liczby mniejszych gmin.

Wybory i kadencje niezależnych instytucji zostałyby zsynchronizowane w ramach kalendarza przypominającego zasady obejmowania przez kraje członkowskie prezydencji we wspomnianej Radzie UE. W dorocznych zgromadzeniach samorządowcy kolejnych województw uczestniczyliby w wyborze, na 8-letnią kadencję, mniej więcej jednej czwartej składu TK, jednej trzeciej składu RPP (kadencja 6-letnia) oraz, na kadencję 4-letnią, połowy składu KRS, Kolegium NIK i KRRiT.

Łatwo policzyć, że każde województwo brałoby co roku udział w wyborach przynajmniej jednego członka którejś z niezależnych instytucji.

•

Kwestionowanie autorytetu elit sędziowskich, akademickich oraz eksperckich jest zjawiskiem powszechnym we współczesnych demokracjach. Niedzielne wyniki wyborów samorządowych czy sobotnie wybory prezydenckie w Słowacji pokazują, że próżno liczyć na rychły koniec ery populizmu. Słusznie stwierdził Jarosław Kaczyński, że wiadomości o jego politycznej śmierci są przedwczesne.

Co jednak ważniejsze, źródłem ludowego buntu wobec elit nie są Kaczyński czy Zbigniew Ziobro, ich przekonania oraz formacja prawna. Zjawisko nie zaniknie, jeśli konkretne osoby odejdą z polityki wskutek wyroków niezawisłych sądów lub własnych decyzji. Odpowiedzią na antysystemowość części elektoratu musi być uwzględnienie postulatów mocniejszej demokratycznej legitymacji niezależnych instytucji.

O ile merytorycznie i praktycznie nie sposób sobie wyobrazić powszechnych wyborów członków niezależnych instytucji państwa, o tyle z łatwością można pomyśleć o regularnych, konstytucyjnie umocowanych wojewódzkich zgromadzeniach samorządowców.

Źródłem ludowego buntu wobec elit nie są Kaczyński czy Zbigniew Ziobro, ich przekonania oraz formacja prawna. Zjawisko nie zaniknie, jeśli konkretne osoby odejdą z polityki

Dysponujące silnym mandatem bezpośrednio wybieranych wójtów, burmistrzów i prezydentów miast, uroczyście inaugurowane na przykład 3 maja, mogłyby stać się prawdziwymi świętami demokracji. Bo jednocześnie włodarze mieliby okazję przedyskutować ważne dla swoich społeczności sprawy w świetle kamer. Korzystając z uwagi ogólnopolskich mediów i komentatorów, pokazać lokalne kwestie i to, jak one korespondują ze sprawami całego państwa, współobywatelom z innych regionów.

Połączenie spraw o znaczeniu państwowym – wyborów członków najważniejszych w państwie instytucji – ze sprawami lokalnymi jest ważnym atutem naszej propozycji. Taka ludowa legitymizacja „państwowej arystokracji” będzie innowacją na skalę międzynarodową — odpowiedzią na poważne wyzwanie, jakie stanowi antysystemowość (a czasem nawet i antydemokratyczność) rosnącej części społeczeństwa.

Proponujemy proces, w którym wywodzący się z elit profesorowie czy eksperci musieliby w publicznych wysłuchaniach przekonać do siebie reprezentujących zwykłych ludzi samorządowców. Takie rozwiązanie ma potężny wymiar symboliczny – a jak wskazują dekady badań socjologicznych, symbole kształtują i wpływają na rzeczywistość.

Moc symbolu zawiera się w jego prostocie. Doza pokory wobec współobywatelek i współobywateli spoza warszawskiej bańki nikomu by nie zaszkodziła.

Proponujemy realną drogę odbudowy szacunku i uznania dla niezależnych instytucji i osób w nich zasiadających poprzez oparcie się na tych częściach państwa, do których obywatele mają jeszcze zaufanie. Odbudujmy demokrację na fundamencie lokalnych wspólnot – czyli tych struktur, które są najmniej zniszczone wojną polsko-polską. Tego celu nie zrealizuje żaden „pakt elit z ulicy Wiejskiej”, nawet jeśli by się udało przekonać do wariantu wyboru trzema piątymi Sejmu Konfederację oraz kilkudziesięciu posłów Zjednoczonej Prawicy.

Wybory członków najważniejszych instytucji głosami ludzi z dołu, w pewnym sensie „swoich”, wybieranych w bezpośrednim głosowaniu, namacalnie pokazywałyby, że „wielkie” sprawy państwa to nie tylko kwestie elit i polityków walczących ze sobą w Warszawie. Takie rozwiązanie zapewni polskiemu ustrojowi wysoki poziom odporności, gdyby – odpukać! – znów do władzy doszły siły o zakusach autorytarnych. ●

• **Maciej Kisilowski** jest profesorem prawa i strategii na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Wiedniu,
• **Anna Wojciuk** – profesorką stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Warszawskim. Współredagowana przez nich książka „Umówmy się na Polskę” (Znak 2023) jest nominowana do Nagrody im. Marcina Króla.

eprasa.pl ab36aaa8da

STWÓRZMY ROSYJSKI TAJWAN

Liczba rosyjskich naukowców, informatyków, finansistów, którzy pracują na rzecz wojny, jest niezwykle ograniczona. Powinniśmy dać im szansę przejścia na stronę wolnego świata.

Garri Kasparow

Wszystkie antyputinowskie protesty, wiele naszych sporów, przeniosły się teraz za granicę. Oczywiście możliwe jest, że obecną rosyjską emigrację spotka los białej emigracji sprzed stu lat, ale nadal chciałbym zachować odrobinę historycznego optymizmu i spróbować zrozumieć, w jaki sposób możemy oprzeć się faszyzmowi Putina w tych warunkach.

Chociaż zawsze konsekwentnie uważałem, że należy bojkotować „wybory" i myślę, że po 17 marca wszystkie spory o „uczestnictwo/nieuczestnictwo" się kończą, to jednak rozumiem ludzi, którzy chcą w jakiś sposób wpływać na procesy społeczno-polityczne i nie widzą innej drogi.

Ale istnieje aksjomat historii świata: reżimy takie jak Putina upadają lub zmieniają się znacząco tylko w wyniku śmierci dyktatora, poważnych porażek wojskowych lub katastrof geopolitycznych. Tak więc klęska Imperium Rosyjskiego w wojnie krymskiej w połowie XIX wieku – teraz możemy powiedzieć „pierwszej wojnie krymskiej" – zmusiła carski reżim do zniesienia pańszczyzny i podjęcia poważnych reform politycznych: stało się oczywiste, że Rosja po prostu nie była w stanie konkurować z rozwijającymi się wolnymi krajami i zaawansowaną Europą. Katastrofa wojny rosyjsko-japońskiej (1904-1905) doprowadziła do rewolucyjnej eksplozji, wygaszonej przez radykalną reformę konstytucyjną. Potem nastąpił impas pierwszej wojny światowej, kiedy ludzie zobaczyli niezdolność państwa do rozwiązania problemów militarnych i społecznych, co doprowadziło do upadku reżimu w 1917 roku... Pamiętajmy również o roku 1989: uznaniu porażki w Afganistanie za część globalnej porażki w zimnej wojnie. A wkrótce – upadek Związku Radzieckiego.

Natomiast zwycięstwa militarne, niezależnie od zapłaconej ceny, zawsze wzmacniały dyktaturę. Reżim Putina, który oczywiście ma stalinowskie korzenie, wciąż pasożytuje na wielkim zwycięstwie w II wojnie światowej, a im dalej w historię sięga to wydarzenie, tym bardziej jest mitologizowane. Myślę, że dziś wielu młodych obywateli Rosji nawet nie wie, że ZSRR walczył przeciwko Hitlerowi w koalicji z Wielką Brytanią i USA, nie wiedzą, jak wielką rolę w zwycięstwie odegrało amerykańskie wsparcie.

Bez ukraińskiej flagi nad Sewastopolem nic się nie wydarzy!

Po krótkiej wycieczce historycznej spróbujmy zrozumieć, co dzieje się dzisiaj.

Jest dla mnie oczywiste (wierzę, że każdy zgadza się z tym w głębi serca), że kardynalne zmiany w Rosji są możliwe tylko w przypadku militarnego zwycięstwa Ukrainy, i to zwycięstwa miażdżącego. Bez ukraińskiej flagi nad Sewastopolem nie ma co liczyć na zmiany w masowej świadomości Rosjan zarażonych wielowiekowym imperialnym wirusem.

Argument, że zdobycie Sewastopola niekoniecznie doprowadzi do upadku reżimu Putina, jest moim zdaniem nie do utrzymania. Tak, reżim może nie upaść natychmiast, ale bez ukraińskiej flagi nad Sewastopolem nic się nie wydarzy!

To przebiegłe pytanie przypomina okrutne stanowisko obecnej administracji amerykańskiej: nie możemy pomóc Ukrainie w zdecydowanym zwycięstwie, ponieważ nie wiemy, co wtedy stanie się z Rosją. Ale głównym problemem dla całego świata nie jest to, co stanie się z Rosją w przypadku porażki na Ukrainie i upadku reżimu, ale to, co się stanie, jeśli reżim zwycięży i przetrwa. Odpowiedź na to pytanie jest dość oczywista: wojna będzie trwać i rozprzestrzeniać się. A swoją drogą Europejczycy już to zrozumieli.

Moim zdaniem działania poważnej rosyjskiej opozycji, która chce zmienić kraj, powinny opierać się na tych realiach: tylko bezwarunkowe zwycięstwo Ukrainy daje szansę na to, że w Rosji coś się ruszy. Dyktator jest nietykalny tak długo, jak długo ludność wierzy, że skutecznie prowadzi wojnę. Ale jeśli ludność uzna, że wszystko idzie źle, jeśli w umysłach ludzi zakorzeni się myśl, że rząd nie jest w stanie wygrać wojny, konsekwencje dla dyktatora mogą być zupełnie inne (patrz rok 1917).

W związku z powyższym, zadaniem rosyjskiej opozycji jest znalezienie swojego miejsca w globalnej koalicji antyputinowskiej. Koalicja ta tworzy się, niestety, z trudem – pisał o tym Władisław Inoziemcew. Tak, Kijów jest wspierany przez pół tuzina międzynarodowych koalicji, począwszy od Grupy Kontaktowej ds. obrony Ukrainy (Ramstein). Ale nie ma w nich nic antyputinowskiego! Inoziemcew ma rację: „Globalna koalicja antyputinowska powstanie tylko wtedy, gdy zostanie otwarcie zadeklarowane, że jej celem jest zmiana reżimu w Rosji i wyeliminowanie władzy biurokracji czekistowskiej bezpieki... Przekształcenie proukraińskiej koalicji w koalicję antyputinowską jest najważniejszym warunkiem zwycięstwa Zachodu w toczącej się wojnie".

Tu pojawia się pytanie: czy cała rosyjska opozycja jest gotowa do udziału w tej globalnej koalicji antyputinowskiej? Pełne uczestnictwo w niej oznacza nie tylko pomoc humanitarną, ale i wojskową dla Ukrainy. Na dzień dzisiejszy to ukraińska armia rozwiązuje wspólne zadanie.

Rozumiem, że niektórzy z moich kolegów są pacyfistami, a niektórzy nie chcą marnować kapitału politycznego myśląc o udziale w upragnionych wyborach w „pięknej Rosji przyszłości". Ale ta cudowna transformacja kraju z pewnością nie nastąpi, dopóki Ukraina nie wygra! Dlatego konieczne jest znalezienie najbardziej produktywnej formy naszego w tym udziału.

Wojna jest zbrodnicza, reżim jest bezprawny, Krym jest ukraiński.

Innym problemem jest to, że Ukraińcy, a także zachodnia opinia publiczna, są bardzo sceptyczni wobec idei „dobrych Rosjan". Trzeba przyznać, że sami przyczyniliśmy się do takiego nastawienia. Ale przedłużająca się wojna zmusza nas do myślenia o pomocy nie tylko Ukraińcom, ale także uchodźcom z Rosji. W maju 2022 r. Michaił Chodorkowski i ja założyliśmy Antywojenny Komitet Rosji (RAC), aby stworzyć warunki prawne dla obywateli rosyjskich, którzy odrzucili reżim Putina, by mogli prowadzić normalne życie na Zachodzie. Teraz osoby z rosyjskim paszportem mają wiele trudności w uzyskaniu różnych dokumentów, otwieraniu rachunków bankowych itp.

Tak narodził się pomysł zbudowania wirtualnego „rosyjskiego Tajwanu". Nie jest to bynajmniej rząd na uchodźstwie – nikt nie ma prawa reprezentować 140 milionów ludzi! Aby przezwyciężyć uporczywe odrzucanie Rosjan przez zachodnie, a zwłaszcza ukraińskie społeczeństwo, konieczne jest stworzenie stowarzyszenia obywateli Rosji gotowych do ostatecznego zerwania z reżimem Putina. Wymaga to dokumentacji, pierwszym krokiem była Deklaracja Berlińska, która w bardziej szczegółowej formie utrwaliła mój pięciosekundowy stejtment: wojna jest zbrodnicza, reżim jest bezprawny, Krym jest ukraiński. Podpisanie takiego dokumentu wyraźnie oznacza zerwanie z Rosją Putina.

Kolejnym krokiem powinna być przychylna reakcja krajów zachodnich na pomysł utworzenia „rosyjskiego Tajwanu" – pojawienie się nowego dokumentu, nie nansenowskiego paszportu bez twarzy, ale konkretnego dokumentu, który rejestruje, że dana osoba jest częścią zachodniego społeczeństwa. Zasadniczo jest to uznanie innej, wolnej Rosji, nieco analogicznej do wolnej Francji de Gaulle'a. Pozwoliłoby to ludziom osiedlić się w wolnym świecie i stworzyć społeczno-polityczną wspólnotę, liczącą być może nawet dwa lub trzy miliony. Taka jasno określona grupa, opierająca się propagandzie Putina, pomogłaby stworzyć pozytywne tło w wielu krajach zachodnich.

Jednak wydawanie dokumentów „dobrym Rosjanom" jest bardzo odległe. Europa i Ameryka nie są jeszcze gotowe przyznać, że są w stanie wojny z Rosją.

Putin jest w stanie wojny z NATO, ale NATO udaje, że nie jest w stanie wojny z Putinem.

Ta asymetria zmusza państwa NATO do prowadzenia powściągliwej polityki w wielu kwestiach. Chociaż jasne jest, że potrzebne jest poważne ograniczenie legitymacji państwa rosyjskiego – w szczególności nieuznawanie legitymacji Putina ja-

Putin jest w stanie wojny z NATO, ale NATO udaje, że nie jest w stanie wojny z Putinem

1 RP

eprasa.pl ab36aaa8da

• **Protest przeciw reelekcji Putina przed rosyjską ambasadą w Berlinie 17 marca 2024r.**

FOT. REUTERS/ANNEGRET HILSE

ko prezydenta. Najwyższy czas, aby Rosja Putina została ograniczona w swoich prawach międzynarodowych: trwa wojna, a na wojnie trzeba walczyć, aby wygrać.

Zabierzmy Putinowi specjalistów

Tymczasem to właśnie „rosyjski Tajwan" może być ważną częścią koalicji. Piszemy, że reżim Putina nauczył się obchodzić sankcje z pomocą firm-przykrywek i krajów trzecich czerpiących z nich korzyści. W wolnym świecie, w którym nie ma ograniczeń handlowych (technicznie rzecz biorąc, nie ma wojny!), trudno jest zatrzymać ten proces, ale możliwe jest wyrządzenie poważnych szkód machinie wojskowej Putina poprzez pozbawienie jej jedynego niezastąpionego składnika – mózgów! Liczba specjalistów w Rosji, którzy mogą skutecznie pracować na rzecz wojny, prowadzić niezbędne badania i prace inżynieryjne, rysować plany lub tworzyć pociski i drony, jest niezwykle ograniczona. Nie usprawiedliwiając w żaden sposób tych specjalistów, uważam, że powinniśmy dać im szansę przejścia na stronę wolnego świata.

Dołączywszy do „rosyjskiego Tajwanu", wielu z nich znalazłoby pracę w swoim zawodzie, a ich projekty nie służyłyby już do zabijania Ukraińców, ale do obrony ich i całego wolnego świata przed agresją Putina. Realizacja tego projektu wyrządziłaby ogromne szkody machinie wojennej Putina! To, nawiasem mówiąc, odpowiedź dla tych zaciekłych krytyków idei „dobrych Rosjan", którzy twierdzą: „Tylko w ukraińskich batalionach Rosjanie mogą odkupić swoje winy". Niewielu może zgłosić się na ochotnika do tych batalionów, ale wielu może wnieść cenny wkład w zwycięstwo.

Wojny, a zwłaszcza nowoczesnej wojny, nie wygrywa się na samym polu bitwy. Potrzebne jest wsparcie finansowe, ekonomiczne, techniczne i informatyczne. Oprócz naukowców, inżynierów i specjalistów komputerowych, są rosyjscy finansiści, którzy teraz znajdują skuteczne sposoby na obejście sankcji, a w wolnym czasie marzą o przeniesieniu się do wolnego świata i pracy bez czekistów dyszących im za plecami.

Po śmierci Nawalnego

Stworzenie zagranicznej wolnej Rosji pozwoli nam uspokoić zachodnich geopolityków, którzy obawiają się upadku Rosji w przypadku zwycięstwa Ukrainy i upadku reżimu Putina. Jak wiemy, upadek każdej dyktatury prowadzi do konieczności zmiany biurokracji, aparatu administracyjnego. I właśnie tutaj, na Zachodzie, można stworzyć rezerwę kadrową, która zminimalizuje negatywne konsekwencje upadku poprzedniego rządu.

Polityczne zalety stworzenia „rosyjskiego Tajwanu" są oczywiste. Ale powodzenie tego planu utrudniają dwa problemy. Pierwszym, powtarzam, jest powolność zachodniej biurokracji i oczywista inercja opinii publicznej na Ukrainie i na Zachodzie wobec Rosjan w ogóle. Drugim jest to, że nie cała rosyjska opozycja rozumie, że jest to jedyny sposób na uczestnictwo w życiu politycznym. Wszystko inne jest w dużej mierze tylko imitacją aktywności, co stało się jasne po 17 marca. Oczywiste jest, że niektóre marionetki teatru politycznego nadal będą działać i podtrzymywać fikcję odwracającą uwagę aktywnych obywateli od udziału w prawdziwej walce z reżimem.

Dziś, gdy zabójstwo Nawalnego wyznaczyło granicę w kwestii tego, co można zrobić w Rosji, a masa krytyczna przeciwników Putina znajduje się na Zachodzie, najwyższy czas zjednoczyć się wokół idei wirtualnego „rosyjskiego Tajwanu", a może nie tylko wirtualnego: kto wie, może gdzieś jest małe terytorium, na którym można podnieść biało-niebiesko-białą flagę... ●

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Garri Kasparow

• Szachowy arcymistrz, zajadły krytyk reżimu Putina, lider Zjednoczonego Frontu Obywatelskiego. W 2006 roku wyraził chęć ubiegania się o prezydenturę, był kilkakrotnie aresztowany. Mieszka w USA, posługuje się chorwackim paszportem.

OGŁOSZENIE

Kraj/34310817

OTO ŚWIAT, W KTÓRYM LISY PŁACZĄ, A DZIECI MÓWIĄ JĘZYKIEM PTAKÓW

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

eprasa.pl ab36aaa8da

MDŁOŚCI

JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

Nigdy nie wiesz, w którym momencie seria sygnałów i intuicji scala się w tobie na tyle, że musisz zareagować. Coś zrobić. Inaczej czujesz, że brak reakcji staje się złem w tobie samym. Złą częścią ciebie, która cię zżera. Co innego, gdybyś nie zauważył, pominął. Ale dostrzegłeś. Przeraziło cię to coś, zaalarmowało. A wtedy nie ma wyjście. Będziesz odpowiadał za własne milczenie, za obojętność.

Lampedusa

We włoskiej refleksji artystycznej istnieje nurt, który posługuje się formułą: wiem, bo wiem. Wiem, bo tak czuję. Nie potrzebuję mieć dowodów, żeby wiedzieć. Być może po to właśnie jestem poetą, intelektualistą, żeby wiedzieć bez twardych dowodów. Tylko przez to, że masz wewnętrzny aparat nasłuchu rzeczywistości.

Tak właśnie Pier Paolo Pasolini twierdził, że zna sprawców prawicowych zamachów w latach 70. XX wieku, choć nie miał na to dokumentów. W ten sam sposób pisarz Leonardo Sciascia wiedział, kto jest winny najbardziej ponurych epizodów włoskiej rzeczywistości po tym, że (jak zdefiniował to w powieści „Porte aperte – Otwarte drzwi") w pewnej chwili czuł się „nasycony wzburzeniem".

Pamiętam, jak w 2013 roku poleciałem na Lampedusę, bo oglądając telewizję włoską poczułem, że zaraz zdarzy się coś, co przekracza wyobrażenia o rozmiarach możliwej do ogarnięcia tragedii. Poleciałem, i dwa dni po moim powrocie do Polski u wybrzeży wyspy zapaliła się i zatonęła łódź z 368 migrantami. To wtedy, w te dwa dni po moim powrocie z wyspy, a przed katastrofą, postanowiłem, że napiszę książkę „Wielki przypływ".

Bo to, co się zdarzyło, musiało się zdarzyć. Tak jak po przekroczeniu punktu rosy musi zrodzić się deszcz. Czyż nie tak było w 2019 roku, kiedy został zamordowany prezydent Paweł Adamowicz? Czyż nie dotknęła punktu przesycenia obywatelska bezsilność w 2017, kiedy podpalił się Piotr Szczęsny?

Jarmułka

Nie pamiętam, kiedy zdecydowałem o wycieczce do Predappio. Czy w chwili kiedy przeczytałem, że jakiś rok temu w Turynie chłopiec z żydowskiej rodziny, noszący jarmułkę, usłyszał od szkolnych kolegów: „szkoda, że minęły te czasy kiedy moglibyśmy cię spalić"? I że śmiechu wśród dzieciaków było co niemiara? A może po tym, jak w rocznicę Marszu na Rzym rodzice kilkunastoletniego chłopca zabrali go na wycieczkę właśnie do Predappio, gdzie urodził się Benito Mussolini i gdzie jest jego grób? Na pewno przed niedawnym komentarzem Massima Ceccheriniego, aktora, który w programie telewizyjnym podzielił się przekonaniem, że Oscara nie zdobędzie film, w którym wystąpił, bo przecież „zawsze wygrywają Żydzi".

Nie jestem jeszcze przesycony wzburzeniem, ledwie przeczuciami, ale jadę. Nie umiałbym podjąć logicznej polemiki z kimś, kto by twierdził, że we Włoszech wcale nie odradza się faszyzm, podobnie jak w Polsce nie odradza się przedwojenny czy PRL-owski nacjonalizm i antysemityzm pomimo nastrojów w marszach narodowców i kibolskich śpiewów, że „Polska się wstydzi, bo mistrzem Polski są Żydzi". Powzięte z przeczuć postanowienie, uparte jak czerw zapuszczony w czaszkę, jakoś niezdrowe, obsesyjne, idzie już swoją drogą, niezależną, nieodwołalną.

Sprawdzam więc połączenia. Nie ma wyboru – żeby jechać do miasta Duce, muszę kupić lot do Bolonii, stamtąd pojechać pociągiem do Forli', jakąś godzinę. Wreszcie kilkanaście kilometrów do Predappio. Ciekawy jestem zresztą Forli', które jest nie tylko stolicą prowincji, gdzie leży Predappio, lecz jest także miastem Melozza degli Ambrogi, który przeszedł do historii sztuki jako Melozzo z Forli', znakomity malarz z XV wieku. Autor obecnych dziś w Rzymie słynnych aniołów o pastelowych barwach, z instrumentami muzycznymi w dłoniach

eprasa.pl ab36aaa8da

Zaskoczą mnie w pokoju z pościelonym czyściutko łóżkiem małżeńskim. Rachele Mussolini, patrząc na sufit, leżała po lewej stronie. Duce po prawej.

• **Autor za biurkiem Mussoliniego**
FOT. JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI (6)

i pierzastych włosach jak te, które za PRL-u pozostawały po użyciu słynnego suchego szamponu.

Herbert

W asyście jakich dzwonów zjawiasz się Predappio...

Parafrazuje mi się w korodowanej przez czerwia głowie wiersz Zbigniewa Herberta o Rovigo, i poeta, jak zawsze, kiedy pisze o przypadku szczególnym, ma rację uniwersalną: bez względu na to, jak straszną dziurą jest dzisiaj miasto Mussoliniego, jest to, jak każde, „miasto z krwi i kamienia – takie jak inne / miasto w którym ktoś wczoraj umarł ktoś oszalał / ktoś całą noc beznadziejnie kasłał...".

Miasto, które – dodam w tym przypadku – jest jak ropiejący wciąż wrzód, o czym zostaję uprzedzony. Kiedy mówię, że jadę do Forli', boloński przyjaciel referuje, jak pojechał zobaczyć grób Mussoliniego, a w tym czasie strażnik szepnął do jego przyjaciela „twój znajomy wygląda mi na komunistę".

Latarnie

W Forli' po aniołach nie ma może śladu. Ciężar historii noszą tu najefektowniej lampy miejskie na Piazza Saffi, wzniesione w 1933 roku, w pełni faszyzmu, odnowione w niedawnych latach i postawione na nowo na miejscu wyznaczonym za dyktatury. Ponuro słynne z ornamentów w kształcie fasci (wiązek kijów obwiązanych skórzanym paskiem wokół topora – starożytnego symbolu władzy stosowanego przez faszystów), przywróconych dla historycznego napomnienia.

I z tego, że 18 sierpnia 1944 roku na niektórych zawisły ciała czworga antyfaszystowskich partyzantów, straconych poprzedniego dnia w Castrocaro Terme w wieku 21 i 22 lat. Jedna kobieta i trzech mężczyzn: Iris Versari, Adriano Casadei, Silvio Corbari, Arturo Spazzoli. Na wprost XV-wiecznego Palazzo Albertini, który z czasem stał się siedzibą partii faszystowskiej. Ludność miasta musiała uczestniczyć w makabrycznym spektaklu.

Wino

Idę w stronę hotelu, który okaże się mieszkankiem w niewielkim bloku. Wchodzę na chwilę do baru, gdzie czuję się nieswojo z powodu pewnej starszej damy w towarzystwie dwóch niemieckojęzycznych mężczyzn, która przygląda mi się z zaczepną czujnością spod fantazyjnego kapelusika z bażancim piórem.

Mijam technikum z wysokimi, kanciastymi kolumnami, które przypominają monumentalizm królestwa Skazy, czyli rzymski EUR i warszawski MDM. Wzywam taksówkę, po drodze rozmawiam z sympatycznym kierowcą, ostrożnym w ocenach, konkretnym w opisach i informacjach. Wyznaje niepewnie, że w opowieściach dziadka Mussolini był skutecznym zarządcą państwa, w którym przestały się spóźniać pociągi. Informuje, że zjazdy sympatyków najsłynniejszego obywatela Predappio odbywają się w każdą rocznicę marszu na Rzym, w dniu stracenia i pogrzebu Mussoliniego.

Pytam o knajpy – mój pierwotny zamiar to wejść do miejscowego lokalu, zamówić wino z podobizną Duce na etykietce, czekać na reakcje, spróbować rozmowy. Nic z tego, bary są puste. Nie wiem jeszcze, że toast za Duce odłożony zostaje tylko na godzinę.

Krypta

Chcę dotrzeć do grobu, zanim zapadnie zmrok i zamkną cmentarz.

„Jest, otwarty", oznajmia wreszcie kierowca, który na granicy dnia, światła i deszczu stracił na chwilę orientację w terenie. Prowadzi mnie, cmentarz jest prawie pusty. Za bramą skręcamy w lewo, w stronę dwóch starszych kobiet we wdowich ubraniach. Przychodzi mi do głowy myśl, że także tutaj mężczyźni umierają wcześniej. Jedna z pań bardzo ochoczo pokazuje mi drogę. Idziemy pomiędzy kolombariami, które pokrywają westchnienia, modlitwy, nazwiska, fotografie.

„Tam!", woła w końcu kobieta. Na wprost wyrasta miejsce pochówku, nazywane kryptą. Jest tylko strażniczka grobu, około siedemdziesięcioletnia kobieta, o nieustępliwym, nieufnym wyrazie twarzy, ubrana w czarną suknię. Z jakiegoś powodu przypomina mi pasoliniańską Medeę graną przez Marię Callas.

Kiedy pytam, czy mogę wejść, zgadza się bez wahania. Czy coś płacę? Odpowiada mi chłodnym „nie". Czy mogę robić zdjęcia? Tak. Czy mogę zajrzeć do księgi gości? Tak. Czy mogę sfotografować podpisy? Nie. Składam swój podpis, z głupim dopiskiem „piszę reportaż".

Nie chcę, żeby po latach badacz podpisów uznał, że jestem tu z wdzięczności i miłości, o której zaświadczają szarfy pod łysokamienną głową Duce.

Medea, która zeszła za mną do krypty, przez cały czas patrzy na mnie. Onieśmielony, rozglądam się po komnatce z członkami rodziny Wodza. Wszystko jest mi tutaj obce, ani mnie ziębi, ani grzeje. Ktoś napisał „Grazie, Duce", to napisał. Nie oburza mnie to, nie dziwi. Czuję się tylko ograniczony w ruchach. Uświadamiam sobie, że na każdym cmentarzu odnoszę się jakoś do grobów: pochylam głowę, zginam kolana, dotykam płyty przegubem, żeby wpuścić w siebie światło i ciemność pieczary... Tu – nic. Najżywsze uczucia budzi we mnie ta kobieta w czerni. Niewzruszona, monolityczna jak śmierć.

– Czy jest pani jedyną opiekunką miejsca? – pytam w końcu.

– Nie. Jestem jedną z wolontariuszek.

Chciałbym spytać, czy jest rodziną, czy się czuje faszystką, czy śmierć także w jej oczach zrównuje ludzi, młodziutką partyzantkę Iris Versani, powieszoną na lampie na placu w Forli', 39-letniego już na wieki socjalistę Giacomo Matteottiego, zamordowanego przez faszystowskich bojówkarzy po tym, jak jego krytykę wobec siebie Duce skomentował „"sam na siebie bierze odpowiedzialność za wszystko, co się stało". Ale nie pytam.

Kiedy wychodzę, przychodzi mi do głowy, żeby spytać dwóch pań, które wskazały mi drogę, czy nigdy nie miały ochoty zabrać swoich bliskich z cmentarza, na którym leży Mussolini. Albo zostawić mężów, a wyrzucić Mussoliniego.

Ale ich już nie ma. Jest inna kobieta, do której podchodzę i zadaję pytanie, które zamierzyłem zadać. Najpierw wydaje mi się przestraszona spotkaniem z cudzoziemcem na bezludziu cmentarza. Po chwili widzę, że ona po prostu nie rozumie pytania. Długo mówi o mężu, prowadzi do pieczary, kilkakrotnie powtarza jego imię i zapewnia, że przychodzi tutaj codziennie.

Wracam do kierowcy, który – orientuję się dopiero teraz – idzie moim śladem. „To jedźmy – mówię – do domu żony Duce, jeżeli wciąż jest tam Muzeum Mussolinich. Taksówkarz sprawdza w telefonie, w internecie.

– Otwarte jeszcze przez godzinę.

„Jeżeli po drodze – proszę – napotkamy na otwarty sklep z pamiątkami, zatrzymajmy się".

Taksówkarz parkuje po czterech minutach, wchodzę do sklepu.

„Proszę", woła ekspedientka, kiedy staję w progu. Wita mnie także siedzący za ladą mężczyzna, w jej wieku.

Moja wizyta zaczyna się serdecznie. Kobieta bez pytania nalewa mi wina do plastikowego kubeczka. Jestem w otoczeniu setek butelek z etykietkami ze znajomą twarzą lub całą sylwetką: Benito z ręką wyciągniętą w rzymskim pozdrowieniu, Benito z założonymi na piersi rękami. Piję z plastikowego kubeczka. Nie łapię smaku, nie umiałbym opisać. Wino jest raczej mocne, jednowymiarowe.

– Co to za szczep? – pytam z udawaną nonszalancją.

– Sangiovese", obwieszcza sprzedawca. Pytam, czy mogę robić zdjęcia, pozwala. Ale po chwili mówi, żeby zdjęć już nie robić. Czymś się zdradziłem. Jakąś miną, może obsesyjnym spojrzeniem, z jakim zastygam przed filiżanką z Hitlerem, przed śliniaczkiem z motywem chłopczyka z wyciągniętym ramieniem i napisem „uczmy ich od małego". Co zaskoczyło go na mojej twarzy? Uśmiech czy grymas?

Żeby zyskać na czasie, kupuję za 15 euro flakon z uniwersalną wodą toaletową o znaczącej nazwie „Nostalgia". Wącham próbkę. Jest kwiatowa, dusząca. Przypomina wszystkie wody i perfumy, które znam, zmieszane w jakiś jeden, powszechny

• **Rodzina Mussolinich**
FOT. AMICHITO/C.C.3.0

eprasa.pl ab36aaa8da

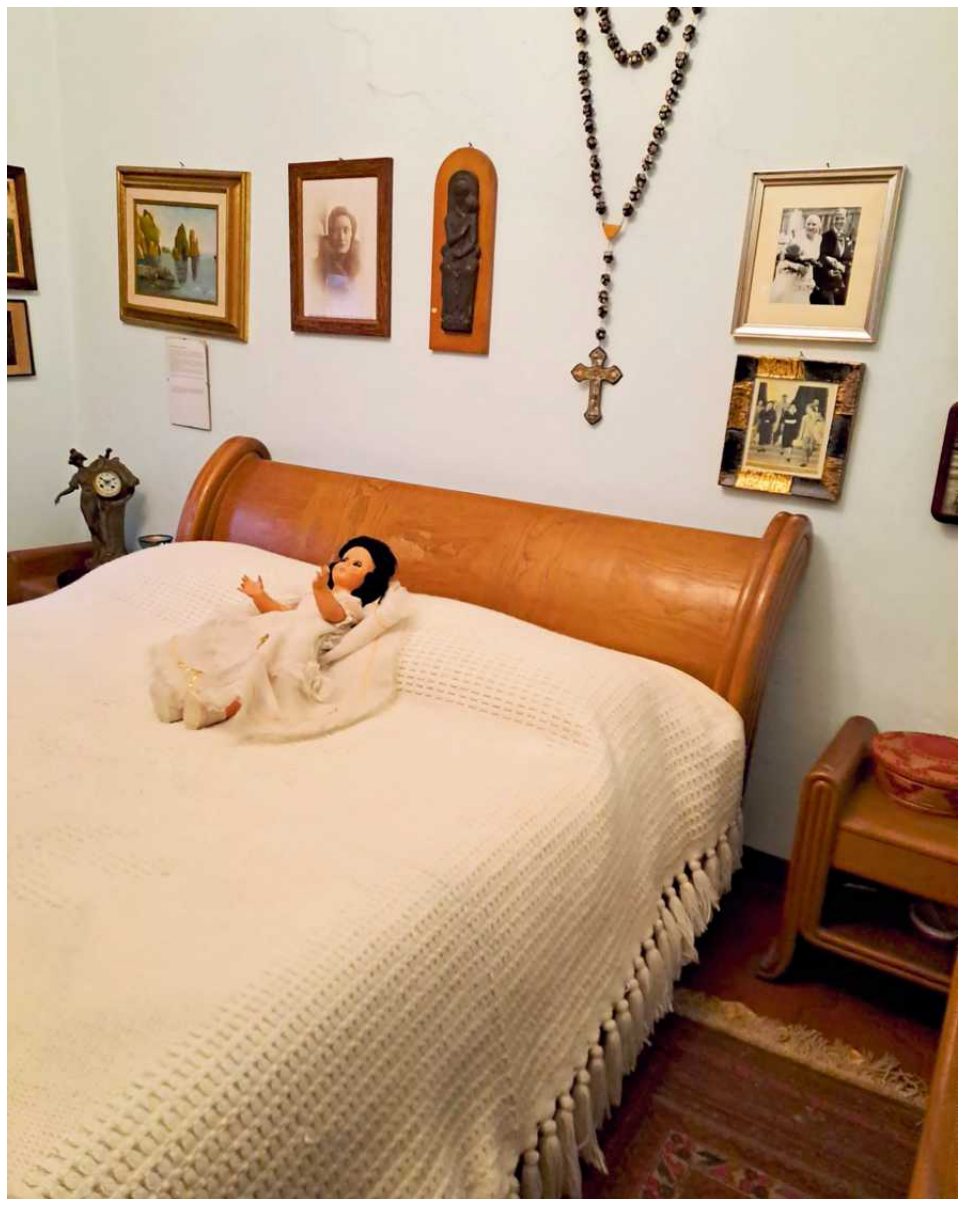

• Pokój córki Mussoliniego

• Przyrządy do golenia

Mdli mnie organiczność oglądanych pamiątek. Brzytwy Mussoliniego, na których czuję krem, pot i krew, resztki zarostu. Prawidła do oficerskich butów

i uniwersalny zapach. Nie daje się zwieść, swój zakaz powtarza jeszcze trzykrotnie, za każdym razem kiedy przymierzam się do fotografii.

„Skąd jesteś?", pyta mnie starszy mężczyzna, który wyszedł właśnie z sąsiedniego domu.

„Z Polski".

„Polki to najlepsze opiekunki – informuje z uśmiechem. – Jedna opiekowała się kiedyś moją chorą siostrą. Teraz mam dwie, Ukrainkę i Rumunkę, ale chętnie bym je wywalił, gdybyś znalazł mi jakąś Polkę".

Kiedy wracam do auta po drugiej stronie drogi, podbiegają dwaj chłopcy.

„Jesteś Polakiem?", gardłuje pierwszy, jakby młodszy.

Potwierdzam.

„To powiedz co to znaczy twoja matka jest kurwa?"

Drugi patrzy na mnie błagalnie i krzyczy „Nie mów, nie mów!"

„Jesteś Polakiem?", pytam.

„Tak".

„Jak masz na imię?"

„Karol".

Chłopcy, Polak i Włoch, mają może 12 i 10 lat. Mówię „cześć" po polsku i włosku, proszę kierowcę, żeby już jechał.

Dar cesarza Hirohito

Zatrzymujemy się przed ogrodem, który otula niemały, mroczny dom. Na furtce biała tablica z napisem „Villa Mussolini – Casa dei ricordi", Dom wspomnień.

Wstęp – 15 euro.

Na siatce tabliczka z głową wilczura i ostrzeżeniem „Uwaga – pies".

Na porcelanowym kafelku, wśród kolorowych kwiatków, nazwa domu: Villa Carpena.

Kiedy dzwonię, po dłuższej chwili do furtki z wnętrza ogrodu podchodzi około siedemdziesięcioletnia kobieta, przedstawia się z entuzjazmem jako Adele, prosi żeby zaczekać, bo musi pożegnać dwoje Niemców. Mijam sympatyczną niemiecką parę, podaję rękę, wchodzę do sklepiku z pamiątkami i książkami na parterze domu, kupuję bilet. Czekam.

Przed sklepem widzę tablicę „Aleja Benita Mussoliniego" i plakat z informacją:

Martina Mussolini, prawnuczka Duce, w następstwie badań prowadzonych przez 6 lat napisała książkę, która przywraca po raz pierwszy CAŁĄ PRAWDĘ O DWUDZIESTOLECIU. „Faszyzm. Państwo społeczne czy dyktatura".

Poniżej – wstęga we włoskich barwach narodowych.

Podchodzę do miniaturowej, kamiennej konstrukcji przypominającej skarbonkę na szeroko rozstawionych nogach pod rozłożystym dachem. Obok informacja: „Świątynka – dar cesarza Hirochito zawierająca wiekuiste światło".

Podchodzi pani Adele, pochyla się nad sporym kawałkiem skały podobnej do skały Dantego we Florencji i skały „Okręt Wojenny", na której, zgodnie z informacją, którą jako dziecko odnajdywałem w gablocie północnokoreańskiej ambasady, „towarzysz Kim Ir Sen bawił się w wojnę przeciwko japońskim imperialistom". Pani Adele pochyla się nad płaszczyzną kamienia z rozpostartymi dłońmi, mówi że z wnętrza bije ciepło.

Też się pochylam, ale ciepła nie czuję. „To fragment Fudżijamy", informuje pani Adele. I zaczyna podróż po mrocznym i chłodnym domu, która układa się

Nie pamiętam, kiedy zdecydowałem o wycieczce do miasta Mussoliniego. Czy gdy przeczytałem, że w Turynie chłopiec noszący jarmułkę, usłyszał od kolegów: „szkoda, że minęły te czasy kiedy moglibyśmy cię spalić"?

• Katalog: ulotka z ofertą sklepu z pamiątkami w Predappio

1 RP

eprasa.pl ab36aaa8da

• Dar dla Duce od cesarza Hirochito

• Wina z faszystowską etykietą

w wieloraki koszmar. Na upiorność wizyty składa się po pierwsze wymuszony rytm zwiedzania, przymus obejrzenia każdego szczegółu, narzucony przez nieznoszący sprzeciwu głos pani Adele, „historia to historia, i nie można w niej niczego pominąć”.

Pani Adele jest jak kapłanka, która jako jedyna posiada jakąś najwyższą prawdę i uważa, że ta najwyższa prawda, źródło wtajemniczenia, być może schowana w najciemniejszy kącik Villa Carpena, zmieni świat, a jej odkrycie to tylko kwestia mojej wrażliwości, umiejętności widzenia ponad krzywdząco złą sławą mieszkańca. Dobry jest Duce, wspaniała była jego żona Rachele, wyposażona w cechy, które pani Adele ewidentnie wielbi. W jej opisie jest drobnej konstrukcji, ale silnego charakteru. Dobrzy są wszyscy członkowie rodziny w pokoleniu dzieci.

Potem korzystna opinia o potomkach kruszeje. Zaczepiam o Alessandrę Mussolini, wnuczkę i aktywną polityczkę, ale pani Adele macha ręką w geście rozczarowania. Widać, że zainteresowanie wnuczki dziadkiem jest dla niej błahe i niewystarczające. Instrumentalne? Tak czuję. Postacią krystalicznie pozytywną jest dla niej natomiast Martina, wspomniana prawnuczka Duce, autora książki reklamowanej przy wejściu do ogrodu, skarbczyka prawdziwej wiedzy i interpretacji faszyzmu.

Benito Mussolini – mówi żarliwie Pani Adele – był nie tylko politykiem i przywódcą, lecz również budowniczym.

Kiedy zaprojektował most łączący wenecką lagunę ze stałym lądem, ten most służy ludziom do dziś... A most w Genui? Runął i już”. Mussolini zwalczał bluźnierstwa. Budował tamy. Osuszał bagna. Karmił naród chlebem i słowem. „Proszę wziąć ten wiersz Mussoliniego o chlebie”. Wręcza mi egzemplarz, mówi, że to prezent.

Przeczytam potem, w taksówce, bo pani Adele znów ma to powracające wrażenie, że czegoś mi nie pokazała, że jest jeszcze coś, co mnie przekona. Bo ona nie wie, czy ja jestem już przekonany, czy... Nie, to niemożliwe. To nie mieściłoby się jej w głowie – czy przyszedłem tu jak do galerii faszystowskich kuriozów. Lub na reporterskie przeszpiegi.

WŁOSI!... Wiersz Duce zaczyna się jak odezwa lub rozkaz... A oto już czysta wersja. Czysta poezja:

KOCHAJCIE CHLEB
Serce domu
Zapach stołu
Radość ognisk domowych
SZANUJCIE CHLEB
Pot czół
Dumę pracy
Poemat poświęcenia
CZCIJCIE CHLEB
Chwałę pól
Woń ziemi
Święto życia
NIE TRWOŃCIE CHLEBA
Bogactwa ojczyzny
Najdelikatniejszego daru Boga
Najświętszej nagrody
dla ludzkiego trudu
Rzym, 10 stycznia 1928 – Rok VI

I strzeliste, wygładzone na szczytach fale podpisu.

Mussolini.

Brzytwa

Od samego początku jest we mnie obrzydzenie. I od razu wiem, o co chodzi: mdli mnie organiczność oglądanych pamiątek i eksponatów. Brzytwy Mussoliniego, na których czuję krem, pot i krew, resztki zarostu. Prawidła do oficerskich butów Mussoliniego, który po ranie poniesionej na wojnie musiał zadbać o wygodę dla nóg, by jego chód wyrażał legionową dziarskość. Największe wrażenie robi na mnie może pokój małej Eddy, późniejszej żony Galeazza Ciano, ministra spraw zagranicznych, który, nie zważając na to, że stał się członkiem rodziny, zostanie skazany na śmierć za zdradę.

Na szerokim łóżku położona jest lalka. A raczej rozłożona, w niewinnej bieli, z rozchylonymi nóżkami. Nad łóżkiem wisi różaniec, wielki jak narzędzie narodowo-katolickiej tortury.

To może w tym pokoiku rodzi się mdłość, ssanie w żołądku, z którym niebawem (ale kiedy?...) opuszczę ten dom. Nie takie, jak w kościołach na widok relikwii. Relikwie kościelne są jakoś zneutralizowane przez intencjonalność miejsca. Tutaj siła sugestii nasącza dziecięcy pokoik. Pokoik małej Eddy, której ojciec straci jej męża. Jest w całej tej instalacji coś z dziecięcej sadopornografii.

Atak prawie wymiotny zaskoczy mnie w pokoju z pościelonym czyściutko łóżkiem małżeńskim. „To łóżko pani Racheli” – objaśnia pani Adele. Patrząc na sufit, leżała po lewej stronie. Duce po prawej. Tam, po drugiej stronie.

Okulary Mussoliniego, pióro Mussoliniego, fotel Mussoliniego, centralka telefoniczna, przez którą rozmawiał z samym Hitlerem. Z SAMYM HITLEREM. „To nie jest ideologia, to historia. A historia to historia”.

Pytam, czy przyjeżdżają tu wycieczki szkolne. Pani Adele z żywą pogardą zaprzecza ruchem głowy. „A przecież powinny! – konkluduje z triumfującym wzburzeniem. – Bo przecież to sama historia. A historia to historia”.

Biurko

Mam w sobie coś, co teraz, kiedy o tym myślę, upokarza mnie i boli. Bo kiedy z zadziwionym wstrętem oglądam prywatność Mussolinich, pani Adele dostrzega we mnie coś, co sprawia, że uważa mnie za człowieka myślącego i godnego zaufania. „Proszę za mną”, dopowiada, staje przy biurku Duce i każe usiąść. Tak – każe. W jej myślach, w tej chwili tam jest moje miejsce. To ja, z tym moim obrzydzeniem, którego ona nie dostrzega, lub bierze je za niemy podziw, jestem w tej chwili materiałem na Duce. Jego sobowtórem. Namiestnikiem. Podróbką.

Nigdy nie miałyście ochoty zabrać swoich bliskich z cmentarza, na którym leży Mussolini. Albo zostawić mężów, a wyrzucić Mussoliniego?

Siadam, śmieszny w mojej kolorowej kurtce z naszytym misiem za wielkim blatem, wśród portretów Hitlerów, Mussolinich, Hirohitów, rękopisów, wierszy o chlebie, i sam nie wierzę, że to robię. Ale reporter chyba tak musi. Musi spojrzeć na świat z tej drugiej perspektywy. A z tamtej strony świat jest chyba mniejszy. Mniej realny. Ukształtowany nie przez historię, nie przez naturę czy architekturę, tylko przez umysł bohatera.

Idziemy dalej. Widzę eksponaty, które nie tylko mnie brzydzą, często zastanawiają. Na przykład skrzypce, na których gospodarz domu grał zawsze po powrocie do domu. Od razu po przekroczeniu progu. Albo gazety otwarte na portrecie Jana Pawła II nie przez Mussoliniego przecież, rzecz jasna, lecz przez jego syna.

Najbardziej może – odręczny list Duce adresowany do Ojca Pio, zakończony pozdrowieniem „od faszysty do faszysty”. „Ojciec Pio był straszny”, komentuje pani Adele. Używając słowa „terribile”, które może wskazywać na „potworność”, lecz również „potężność”, siłę godną podziwu. Coś jak Rez tremenae majestatis, które chóry Bogu śpiewają w Requiem. Najpierw z przerażeniem, potem z miłością. Z przerażeniem, które obraca się w miłość.

Pawie

Pani Adele pyta jeszcze, czy chcę dokładniej zobaczyć ogród, bo zaraz będzie zamykać. Zanim wyjdę, zmęczony, w ciemniejącym świetle moją omdlewającą uwagę wybudza widok trzech białych pawi, które skaczą po drzewie. ●

eprasa.pl ab36aaa8da

WYBIERZMY NASZĄ EUROPĘ

Lider niemieckiej opozycji:

KANCLERZ WAHA SIĘ W KWESTII UKRAINY. TO GORZEJ NIŻ BŁĄD

• **Merz: – Kiedy ważny polityk SPD nagle mówi o „zamrożeniu" wojny, to ciągłe wahanie Scholza w sprawie militarnego wspierania Ukrainy nabiera zupełnie innego znaczenia**
FOT. REUTERS/YVES HERMAN

– Czołowi historycy w naszym kraju mówili politykom SPD w ostatnich dniach: ta wojna się skończy, kiedy Rosja zda sobie sprawę z bezcelowości dalszych działań militarnych. Zgadzam się z tym – mówi lider CDU Friedrich Merz, prawdopodobnie następny kanclerz Niemiec.

Nikolaus Doll
Jacques Schuster

WELT

Kiedy Europa obchodziła święta, Rosja zintensyfikowała naloty na ukraińską infrastrukturę energetyczną. Czy Ukraina przegra tę wojnę?
FRIEDRICH MERZ: Niebezpieczeństwo, że tak się stanie, rośnie. Patrzę na wydarzenia na Ukrainie z rosnącym niepokojem.

W swoim ostatnim oświadczeniu kanclerz Olaf Scholz powiedział, że „Rosja wcale nie jest tak silna, jak ludzie teraz myślą". Podziela pan tę opinię?
– Wbrew początkowym oczekiwaniom, Putin i jego reżim nie osiągnęli żadnego ze swoich celów wojennych. Jednak Rosja zdołała przełączyć całą swoją gospodarkę w tryb wojenny – i już produkuje broń i amunicję w ilościach przekraczających jej obecne potrzeby. Innymi słowy, Rosja masowo się dozbraja, znacznie bardziej niż wymagałaby tego jej sytuacja w wojnie przeciwko Ukrainie. To musi dawać nam do myślenia.

W jakim stopniu można obarczyć niemiecki rząd za częściową odpowiedzialność za obecną słabość Ukrainy?
– Zachód jako całość nie pomógł Ukrainie wystarczająco szybko i skutecznie na początku rosyjskiej inwazji. Efekt jest taki, że wojna trwa już ponad dwa lata i nie wygląda na to, by pokój miał nadejść w najbliższym czasie.

Jest pan, w przeciwieństwie do kanclerza Scholza, zwolennikiem przekazania Ukrainie pocisków manewrujących Taurus. Ponieważ to jest ta broń, która odwróci losy wojny? A może jest to raczej wewnętrzna broń polityczna, za pomocą której można jeszcze bardziej pogłębić rozłam w koalicji SPD, Zielonych i FDP?
– Wewnętrzne aspekty polityczne nie odgrywają dla nas roli w tej kwestii. Gdyby było inaczej, uważniej przyjrzelibyśmy się sondażom, z których wynika, że wielu Niemców jest bardzo sceptycznie nastawionych do przekazywania taurusów.

Te pociski manewrujące nie są żadną cudowną bronią – ale Ukraina może ich użyć, aby mocno uderzyć w linie zaopatrzeniowe rosyjskiej armii. A to ma ogromne znaczenie dla skutecznej samoobrony Ukrainy – a więc leży w naszym interesie.

Czyli kanclerz Scholz nie ma racji, mówiąc, że takie dostawy zwiększają ryzyko wciągnięcia Niemiec w wojnę? Zakładając zwłaszcza, że niemieccy żołnierze są potrzebni do rozmieszczenia tej broni na terytorium Ukrainy.
– Z pewnością rozważyliśmy ten argument, ale doszliśmy do innego wniosku. Zarówno producent, jak i kluczowi dowódcy Bundeswehry stwierdzili, że system Taurus może być używany bez udziału niemieckiej obsługi, a Niemcy nie staną się stroną w wojnie. Ale to kanclerz decyduje w tej kwestii – i to jest jego odpowiedzialność.

Ok. 190 tys. Ukraińców zdolnych do służby wojskowej przebywa w samych Niemczech, a brakuje ich w obronie kraju przed rosyjskimi agresorami. Czy należy ich odesłać?
– Nonsens, przecież nie możemy wypychać tych ludzi z powrotem na pogrążoną w wojnie Ukrainę. Podlegają oni europejskiej dyrektywie o masowym uchodźstwie z terenu niebezpiecznego, co oznacza, że są traktowani jak osoby ubiegające się o azyl. Decyzja o tym, czy pracują dla przyszłości Ukrainy tutaj, czy służą w swoim kraju, jest kwestią ich sumienia. Nie każdy jest stworzony do walki, każdy musi sam podjąć taką decyzję.

Czy dojdzie do ataków na inne kraje, jeśli armia rosyjska odniesie sukces na Ukrainie?
– Tak. Obawiam się, że Mołdawia będzie kolejnym celem Putina. Zdajemy sobie sprawę, że działa on w separatystycznym Naddniestrzu w taki sam sposób, jak dziesięć lat temu we wschodniej Ukrainie. Rosja będzie również nadal próbowała podzielić i zdestabilizować Unię Europejską. Codziennie doświadczamy ataków na nasze systemy danych, widzimy, że fake newsy są systematycznie rozpowszechniane w celu niepokojenia naszych społeczeństw i ich polaryzacji. Rosja nie dąży do militarnego ataku na Niemcy, ale na pewno chce osłabić nasz system i wywołać konflikty w UE. Chętnym pomocnikiem Kremla w Niemczech jest ewidentnie partia AfD.

Był pan zbulwersowany inicjatywą lidera grupy parlamentarnej SPD Rolfa Mützenicha, który zasugerował on, że konflikt w Ukrainie powinien zostać zamrożony. Co w tym takiego nagannego? Jeśli sprawy potoczą się w miarę dobrze dla Ukrainy, to pewnie właśnie tak się ostatecznie stanie.
– Ja krytykuję takie podejście. Lider największej rządowej grupy parlamentarnej ma oczywiście prawo mieć taki pogląd i argumenty za nim przemawiające. Ale wyrażanie tego w ten sposób ujawnia fundamentalną różnicę zdań w rządzie, czyli w trójpartyjnej koalicji, a ponadto my w Berlinie nie mamy prawa narzucać rządowi w Kijowie żadnych rozwiązań.

Natomiast pragnę zauważyć, że kiedy Rolf Mützenich mówi o „zamrożeniu", to ciągłe wahanie kanclerza w sprawie militarnego wspierania Ukrainy nabiera zupełnie innego znaczenia.

Zgadzam się z tym, co czołowi historycy w naszym kraju mówili SPD w ostatnich dniach: ta wojna się skończy, kiedy Rosja zda sobie sprawę z bezcelowości dalszych działań militarnych.

Niedawno w Bundestagu ponownie wezwał pan do zwiększenia budżetu obronnego. Jaka suma by pana satysfakcjonowała?
– NATO zobowiązuje nas do co najmniej 2 proc. PKB. Ale biorąc pod uwagę obecny stan Bundeswehry i skalę rosnących szybko wyzwań, prawdopodobnie to nie wystarczy. Regularny budżet obronny w tym roku wynosi niespełna 52 miliardów euro. Ministerstwo obrony zakłada całkowite zapotrzebowanie na 107,8 mld euro do 2028 r. Daje nam to wyobrażenie o tym, jak duże są teraz zadania w polityce obronnej.

Podczas zimnej wojny Niemcom w republice federalnej udało się uniknąć sporów o dystrybucję PKB pomimo znacznych wydatków na obronę. Teraz będzie inaczej?
– Te spory tlą się od dłuższego czasu. Tego lata koalicja będzie spierać się o budżet federalny na 2025 r. w bardzo fundamentalny sposób, a nie tylko w kosmetycznych detalach.

Gdyby pan stanął na czele rządu, napotkałby zapewne podobne trudności.
– Nie bez powodu CDU zaproponowała w zeszłym tygodniu zniesienie obecnego tzw. podstawowego dochodu obywatelskiego. Powinniśmy po prostu szczerze przyznać: nie stać nas już na 40 miliardów euro na dochód obywatelski w czasach takich, jak obecne. Zwłaszcza że dobra połowa beneficjentów tego dochodu obywatelskiego jest w wieku produkcyjnym, a liczba wolnych miejsc pracy jest w kraju wprost niewyczerpana.

Jako CDU/CSU rozpoczniemy federalną kampanię wyborczą z przesłaniem: jeśli sytuacja ma pewnego dnia się poprawić, nie będzie to możliwe przy coraz mniejszej ilości wykonywanej przez Niemców pracy, tylko właśnie przy większej ilości pracy i większej liczbie pracujących. Przy czym uważamy, że praca może dostarczać ludziom satysfakcji i być po prostu przyjemnym, a nie tylko nieodzownym aspektem naszego życia.

Uważa pan, że koalicja przetrwa spory o następny budżet?
– Szczerze mówiąc, coraz mniej sobie to wyobrażam. Bieguny poglądów koalicji są coraz daleko od siebie. Mam wrażenie, że liberalna FDP szuka pretekstu do wyjścia z koalicji – i może go znaleźć właśnie w sporze o budżet.

Co się wtedy stanie?
– Wtedy prawdopodobnie przez pewien czas funkcjonowałby rząd mniejszościowy pod kierownictwem SPD. To nic niezwykłego w dzisiejszych czasach w Europie. W pewnym momencie kanclerz musiałaby ogłosić wotum zaufania. Wtedy do gry wkroczyłby prezydent.

Czy do końca kadencji CDU/CSU może zaoferować się SPD jako „młodszy partner" w wybranych głosowaniach?
– CDU/CSU jako młodszy partner? Partia z 34-proc. poparciem jako pomocnik partii z poparciem 15-proc.? Nie rozumiem, jak to można w ogóle rozważać.

Czy naprawdę wierzy pan, że ludzie wybiorą CDU, jeśli rozpoczniecie kampanię wyborczą z przesłaniem, że wszyscy powinni więcej pracować?
– Nie, nasze przesłanie brzmi: Niemcy stać na więcej i możemy sprawić, by nasz kraj znów był pod każdym względem sprawny i skuteczny. Jestem przekonany, że ludzie chcą takiego komunikatu, bo w głębi duszy większość wie, jak radzi sobie kraj.

Przywództwo w polityce polega na robieniu właściwych rzeczy, a następnie walce o poparcie większości dla nich, a nie przyjmowaniu sondaży za pewnik i robieniu tego, co jest wygodne.

To jest m.in. to dziedzictwo, które pozostawił nam Wolfgang Schäuble.

Innym jego dawnym pomysłem było nadanie Trójkątowi Weimarskiemu – złożonemu

eprasa.pl ab36aaa8da

WYBIERZMY NASZĄ EUROPĘ

z Francji, Polski i Niemiec – komponentu wojskowego, nad którym Francuzi rozciągają swój parasol nuklearny. Czy podpisałby się pan pod tą koncepcją?
– To dobrze i słusznie, że kanclerz Scholz spotkał się z prezydentem Francji i polskim premierem w Berlinie. Byłem jednak całkowicie zaskoczony, gdy kilka tygodni temu główna kandydatka SPD w wyborach europejskich Katarina Barley nagle wysunęła pomysł „europejskiej bomby atomowej". Naszym zdaniem to kompletny absurd.

Ale owszem, w szczególności z Francją powinniśmy przedyskutować kwestię, czy możemy bardziej uczestniczyć w odstraszaniu nuklearnym. Co moglibyśmy osiągnąć, gdybyśmy nawiązali strategiczny dialog z Francją, Polską, a może nawet Wielką Brytanią na temat nowych form współpracy w zakresie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Moim zdaniem w tym zakresie dzieje się zbyt mało, nie ma dostatecznej debaty politycznej.

A dokąd ta współpraca powinna prowadzić? Do nowej formy Europejskiej Wspólnoty Obronnej?
– To zostało zablokowane wiele dekad temu we francuskim parlamencie. Ale ściślejsza współpraca w zakresie obrony naszego kontynentu jest po prostu niezbędna w nadchodzących latach – przynajmniej jeśli poważnie myślimy o obronie naszej wolności, naszego bezpieczeństwa i ostatecznie naszego dobrobytu.

Być może wszystko pójdzie znacznie szybciej, jeśli Donald Trump zostanie ponownie prezydentem USA.
– USA są naszym najważniejszym sojusznikiem. Nasze relacje będą kontynuowane zgodnie z tym założeniem, niezależnie od tego, kto będzie w Białym Domu. Dobrze jest odpowiednio dostosować realizację naszych interesów do rzeczywistości. Pod rządami Joe Bidena relacje transatlantyckie z pewnością pozostałyby retorycznie bardziej otwarte niż, ale dla nas, Europejczyków, sprawy po ewentualnym zwycięstwie Trumpa nie zmieniłyby się tak zasadniczo.

Decydujące jest to, że musimy zrobić więcej dla naszego bezpieczeństwa. Powiedziałem to w Bundestagu w zeszłym tygodniu: państwa członkowskie Unii Europejskiej, które są również członkami NATO, mają teraz wkład do budżetu NATO na poziomie zaledwie 23 proc., podczas gdy Amerykanie płacą 67 proc. Tak dłużej być nie może. ●

Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPĘ finansowany jest ze środków UE wspierających instytucje społeczeństwa obywatelskiego w działaniach na rzecz edukacji oraz promocji uczestnictwa w wyborach do Parlamentu Europejskiego 2024. Teksty przedstawiają poglądy ich autorów. PE nie odpowiada za ich treść.

1 RP

Nowa propaganda, ale metody KGB

„Sobowtór" Putina łapie nas w sieć

Po śmierci Jewgienija Prigożyna zarządzana przez niego przez lata kremlowska machina dezinformacyjna została zdecentralizowana. Ale metody pozostały te same: tanie, proste i szokująco skuteczne.

Robert Stefanicki

Kiedy brytyjska rodzina królewska zaliczyła ostatnią wizerunkową wpadkę z zatajeniem choroby księżnej Kate i publikacją jej retuszowanego zdjęcia, rosyjskie MSZ zgromiło „zgniły charakter establishmentu politycznego Wielkiej Brytanii", który „manipuluje środkami masowego przekazu".

Przekaz podchwyciły dziesiątki kont w mediach społecznościowych – wszystkie zostały utworzone w tym samym czasie, miały podobne nazwy, niewielu obserwujących i zajmowały się tylko dwoma tematami: księżną Kate oraz Ukrainą. Eksperci ocenili, że ten sposób działania jest charakterystyczny dla „Doppelgängera".

Doppelgänger to zły duch bliźniak żyjącej osoby. Tak urzędnicy UE nazwali najnowszą, rozpoczętą po inwazji na Ukrainę, operację dezinformacyjną Kremla. Ze złowrogim „sobowtórem" skojarzyło się im podrabianie stron internetowych znanych mediów, gdzie Rosjanie umieszczają fake newsy mające zniechęcić do pomocy Ukrainie – np. rzekomą zapowiedź opodatkowania przez rząd Francji każdej transakcji pieniężnej, by zdobyć środki dla Kijowa.

Operacje wpływu

Wcześniej głównym macherem od siania dezinformacji był Jewgienij Prigożyn, długo człowiek-orkiestra do zadań specjalnych Putina. To on kierował petersburską farmą trolli, która przed wyborami w USA w 2016 r. zalała Amerykanów wysyłanymi z tysięcy kont w social mediach wiadomościami skrojonymi tak, aby wspierać szanse Trumpa i promować radykalne, antypaństwowe idee. Odciski palców Kremla odkryto też w wielu innych miejscach: od kampanii referendalnej w sprawie brexitu, przez wybory w kilku krajach europejskich, po kampanie antyzachodnie w Afryce i Azji.

Po inwazji na Ukrainę Prigożyn zajął się budowaniem sił paramilitarnych, a potem się zbuntował i położył głowę pod topór Putina. Ale operacje wpływu są dziś Rosji potrzebne jak nigdy – i tylko przybrały na intensywności.

W lipcu 2023 w wykazie obywateli Rosji objętych sankcjami UE pojawiło się nazwisko Ilji Gambaszydze. Uznano go za kluczową postać rosyjskiej kampanii dezinformacyjnej wymierzonej w Ukrainę i kraje Zachodu.

Dyskretny technokrata Gambaszydze wydaje się odwrotnością Prigożyna, bandyty z pochodzenia, wyglądu i zachowania. Zidentyfikowano go jako założyciela dwóch firm: Agencji Projektowania Społecznego oraz Narodowych Technologii Struktura. Wiadomo, że jest zaufanym Siergieja Kirijenki, byłego premiera, obecnie w administracji Putina.

W dokumentach, które wyciekły z Moskwy, Gambaszydze jawi się jako doradca „Innej Ukrainy", czyli operacji propagandowej wymierzonej w Wołodymyra Zełenskiego. Departament Stanu USA wymienił go jako zaangażowanego w szerzenie dezinformacji w Ameryce Łacińskiej. Viginum, francuska agencja rządowa ds. cyberbezpieczeństwa, oskarżyła jego agencję o próbę wzmocnienia nastrojów antysemickich poprzez rozpowszechniania przy pomocy botów zdjęć Gwiazdy Dawida, jakie ktoś – agenci Rosji, zdaniem francuskiej prokuratury – malował na budynkach w Paryżu.

Jednak w opinii kilku ekspertów cytowanych w portalu France24, wpływy Gambaszydze są znacznie mniejsze niż Prigożyna. Za panowania „kucharza Putina" operacje dezinformacyjne były sterowane centralnie, lecz potem zostały zrestrukturyzowane na kształt sieci. Gambaszydze jest tylko jednym z tzw. technologów politycznych, którzy zasilają ją swoimi pomysłami i siłą roboczą.

> *Rosjanie stawiają na treści mające zachęcić Amerykanów do izolacjonizmu*

Większość technologów koncentruje się na polityce wewnętrznej Rosji i dba o to, by wyniki wyborów lokalnych były po myśli Kremla. Według Andriej Percewa, dziennikarza niezależnego rosyjskiego portalu Meduza, Gambaszydze też się tym parał, ale bez sukcesów. Dlaczego więc powierzono mu zagraniczny odcinek frontu propagandowego? Zdaniem Percewa: lepsi od niego nie chcą ryzykować wpisania na listy sankcyjne.

Zachodnia skrajna prawica wpisuje się w plan Kremla

Ale też na Zachodzie Kreml nie potrzebuje wyrafinowanych metod. Proste, bardzo tanie środki zostały już przetestowane i łatwo można je powielać przy użyciu sieci lokalnych „wolontariuszy", w szczególności polityków i propagandystów skrajnej prawicy.

W ostatnich dniach dwóch ważnych Republikanów w Kongresie – przewodniczący Komisji ds. Wywiadu Izby Reprezentantów Mike Turner i szef Komisji Spraw Zagranicznych Michael McCaul – przyznało publicznie, że rosyjska propaganda przedostała się do USA i zainfekowała znaczną część bazy ich partii.

Rosyjskie operacje dezinformacyjne siłą rzeczy koncentrują się na USA. Raz – że to kraj kluczowy w kwestii w pomocy wojskowej dla Ukrainy, dwa – że za pół roku odbędą się tam wybory, które, jeśli wygra Trump, mogą mocno przechylić szalę geopolityczną na stronę Rosji.

Czym się różni obecna sytuacja od tej z 2016 r.? Z jednej strony manipulantom jest trudniej, bo administracja Bidena i trzeźwiejsza część opinii publicznej już mają świadomość rosyjskiego zagrożenia. Z drugiej strony Kreml może grać w bardziej otwarte karty, bo okazało się, że wielu Amerykanom to nie przeszkadza. Rosyjscy propagandyści otwarcie wznoszą modły o wygraną Trumpa, a trumpiści w USA jawnie adorują Putina, czego najbardziej żenującym przejawem był czołobitny wywiad z rosyjskim dyktatorem w wykonaniu Tuckera Carlsona, byłego prezentera Fox News.

Tematyka, którą „należy wzmocnić"

Poza tym – po staremu. Jak wynika z dokumentów Kremla świeżo pozyskanych przez europejskie służby wywiadowcze i zweryfikowanych m.in. przez „Washington Post", Rosjanie taśmowo produkują treści mające podsycić nastroje antyukraińskie, zachęcić Amerykanów do izolacjonizmu, wzbudzić strach przed wojną z Rosją.

„Należy wzmocnić tematykę powszechnego ubóstwa, rekordowej inflacji, zatrzymania wzrostu gospodarczego" oraz ryzyko utraty pracy przez białych Amerykanów, krzywdzonych przywilejami dla „kolorowych, degeneratów i inwalidów", głoszą zalecenia dla pracowników farm trolli. Np. mają się oni wcielić w mediach społecznościowych w mieszkańca przedmieścia dużego miasta, który „nie wspiera pomocy wojskowej dla Ukrainy i uważa, że te pieniądze należy wydać na obronę granic Ameryki, bowiem widzi, że polityka Bidena prowadzi USA do upadku".

Rosjanie usiłują też przekonać opinię publiczną na Zachodzie, że pomoc dla Ukrainy jest rozkradana. „Ogarnia mnie złość, gdy na moich oczach kolejny ukraiński pakiet pomocowy trafia do kieszeni urzędników amerykańskich i ukraińskich. Doprawdy trudno zrozumieć takie gesty, gdy nasi bezdomni śpią pod mostami", frasuje się rosyjski troll w masce Amerykanina.

Francuski dziennikarz Sebastian Sieibt zauważył, że strategia dezinformacyjna Kremla przypomina wojskową na Ukrainie: wysyłanie kolejnych fal żołnierzy w nadziei, że obrona wroga upadnie pod naporem ich liczebności.

Czy jest to skuteczne? Przekazy skrojono pod wyborców prawicowych, a ci są podatni na rosyjską narrację, bo ta potwierdza ich poglądy. Clint Watts, szef Centrum Analiz Zagrożeń firmy Microsoft powiedział, że Rosja „mówi odbiorcom 80 proc. tego, co już skądinąd słyszą, i 20 proc. tego, co chcą usłyszeć".

Patrząc na olbrzymie różnice w poparciu dla udzielania pomocy Ukrainie w elektoratach obu partii w USA można założyć, że częściowo jest to efekt wysiłków moskiewskich technologów. Oraz tych miejscowych.

Rosyjskie trolle produkują nie tylko fejki. Nagłaśniają każdą autentyczną wypowiedź, która jest po myśli Rosji, następnie proputinowscy politycy i propagandyści czerpią z tego zasobu, co pozwala na nowo ich zacytować – i tak machina żywi się sama sobą. Przykładem fałszywka, jakoby Zełenski kupił dwa jachty za pieniądze z amerykańskiej pomocy, ochoczo powielana przez kongresmenkę Marjorie Taylor Greene, słynną z propagowania najdzikszych teorii spiskowych.

Nie chodzi tylko o kształtowanie opinii, ale o praktyczne decyzje. Jeden z proukraińskich senatorów republikańskich, Thom Tillis, powiedział CNN, że debata w Kongresie na temat pomocy dla Ukrainy została wstrzymana częściowo właśnie dlatego, że niektórzy politycy wyrazili zaniepokojenie, że za te pieniądze będą „kupować jachty".

Kreml sięga po te same metody, co w czasach sowieckich – zmieniły się tylko kanały dystrybucji. Na początku lat 80. szef KGB Jurij Andropow poinstruował swoich agentów w USA, aby starali się osłabić szanse na reelekcję Reagana za pomocą hasła, że „Reagan oznacza wojnę". A dzisiaj „Biden oznacza wojnę".

Również teorie spiskowe promowane przez Moskwę w celu osłabienia zaufania do rządów – o szkodliwości szczepionek czy sieci 5G – mają sowieckie korzenie. To w Moskwie nakręcano histerię, że wprowadzona na Zachodzie po II wojnie fluoryzacja bieżącej wody jest spiskiem rządowym mającym na celu kontrolę umysłu i populacji. Ta teoria nadal ma rzesze wyznawców.

W 1983 r. Rosjanie zaczęli przekonywać, że AIDS wynaleziono w tajnym laboratorium broni biologicznej w Fort Detrick. Działali tak, jak i dzisiaj: wpierw teoria z powołaniem na „znanego naukowca" pojawiła się w publikacji zagranicznej (w Indiach), następnie była nagłaśniana wszelkimi kanałami. Radio Moskwa ogłosiło, że Afrykanów zarażano celowo wirusem ukrytym w szczepionkach. Sondaż zrobiony ponad dwie dekady później wykazał, że połowa ankietowanych Afroamerykanów naprawdę uważa, że AIDS jest wirusem stworzonym przez człowieka.

Jak widać, skutki fake newsów nie znikają wraz z ich zniknięciem z ekranów, ale infekują umysły na pokolenia. ●

eprasa.pl ab36aaa8da

RURYTANIA Z GWIAZDĄ

Azja Środkowa, Europa Środkowa – wszystko się twórcom „Reżimu" pomyliło, ale mnie też się to zawsze myli.

Ziemowit Szczerek

Serial „Reżim", który można obejrzeć na HBO nie jest, co prawda, serialem genialnym, jest to za to tak ciekawa wariacja na temat Rurytanii, wymyślonego państwa w Europie Środkowo-Wschodniej, że oglądałem go z wypiekami na twarzy i gorączkowo robiąc notatki.

Jak widać, nadal nie wyrosłem ze wschodnioeuropejskiego kompleksu polegającego na tym, że ciekawi mnie sposób, w jaki Zachód postrzega mnie i mój region. Który to region przecież sam się lubi czuć częścią Zachodu. Tak. Tyle razy buńczucznie ogłaszałem, że mam tę zachodnią perspektywę gdzieś, że jestem dorosły i niepodległy, a tu proszę: ledwie się coś w ten deseń pojawia na streamingach – ja od razu wypieki i notesik.

Przyjdzie Mordor i nas zje

Ach, Rurytania, Rurytania, kraina zagubiona gdzieś na granicy Europy A i Europy B. Wyobrażana sobie przez zachodnią popkulturę od 1894 roku, od czasu, gdy syn anglikańskiego proboszcza i w sumie mający więcej szczęścia niż talentu pisarz Anthony Hope pisząc powieść „Więzień na zamku Zenda" stworzył gatunek, który nazwano „rurytańskim romansem" i który stał się jednym z literackich kanonów.

Rurytania u Anthony'ego Hope'a była mniej więcej tym samym, co Mars u Edgara Rice'a Burroughsa czy Bliski Wschód dla Lawrence'a z Arabii: mniej lub bardziej egzotycznym miejscem, w którym dzielny człowiek Zachodu przeżywa swoje mniej lub bardziej egzotyczne przygody. Sam zresztą z rozkoszą napisałem parodię takiego „rurytańskiego romansu", którym była książka „Przyjdzie Mordor i nas zje". Za Rurytanię robiła tam Ukraina, a przeżywającymi tam przygody „ludźmi Zachodu" byli Polacy. Którym ta rola, nie ma co mówić, bardzo się podobała. Mimo, że wiedzieli przecież, że w oczach jeszcze bardziej zachodniego Zachodu oni sami też są częścią tej Rurytanii. Albo Mordoru. Innego jeszcze wymyślonego przez Zachód kraju leżącego na wschodzie Europy.

Tych wymyślonych krajów na wschodzie Europy zresztą było mnóstwo i fascynują mnie od zawsze: zamordystyczna Borduria z „Tin Tina", disneyowska „Brutopia" łącząca w sobie cechy peryferyjnego autokratyzmu zarówno wschodniego, jak i latynoskiego typu (ciekawa hybryda), obsyfiała „Molvania" z „Przewodnika po Molvanii, kraju nietkniętym przez nowoczesną dentystykę", błotnisto-brodata Elbonia z „Dilberta", niestabilna politycznie i właściwie ledwie istniejąca Krakozja z „Terminalu" Stevena Spielberga i tak dalej.

Cechą charakterystyczną wszelkiego typu tych Rurytanii jest to, że z biegiem lat przenoszą się – albo przenosiły – coraz bardziej na Wschód. Pierwsza Rurytania, ta z Hope'a, położona na zachodzie Europy Środkowej: pomiędzy Bohemią (Czechami), Śląskiem a Saksonią była, właściwie, wariacją na temat Austro-Węgier z ich elitami o niemiecko brzmiących nazwiskach oraz plebsem posługującym się jakimś nieokreślonym, wschodnim narzeczem. Słowiańskim, tatarskim, huńskim, jeden czort.

Jednak już kolejne odsłony tej „Rurytanii" przesuwają się coraz dalej na wschód: w końcu z biegiem czasu Zachód wiedział coraz więcej o krajach leżących na wschód od Alp i Łaby i trudniej mu było umieszczać między nimi nieistniejące krainy. Borduria leży więc już mniej więcej pomiędzy Bałkanami a Europą Środkową, Molvania, Krakozja i Elbonia gdzieś na pograniczu Rumunii i Mołdawii, a Kazachstan z Borata – bo nie miejmy wątpliwości, to kolejna Rurytania, a nie żadna realna odsłona prawdziwego Kazachstanu – wywaliło aż do Azji Środkowej. Do Heartlandu. Dalej już się nie dało. Dalej już jest inny świat: Chiny, Daleki Wschód, Azja Południowa. Innego rodzaju Orient.

Putinowski pięciometrowy stół

Od jakiegoś jednak czasu Rurytania wróciła na dawne miejsce. Na granicę Europ: wschodniej i zachodniej. Tylko, że to już jest inna Rurytania. Posmodernistyczna. Bawiąca się własnym, klasycznym wizerunkiem. Była nią na przykład Zubrowka z „Grand Budapest Hotel" o ewidentnie posthabsburskiej estetyce. Czy bezimienne państwo z serialu „Reżim", którym rządzi Elena Vernham (Kate Winslet grająca tak, że vuczicie chodzą po plecach). Ono też ewidentnie leży gdzieś na zachodzie Europy Środkowej. W naszych rejonach.

Co prawda symbolika tej Rurytanii z „Reżimu", serialu HBO stworzonego przez Willa Tracy a wyreżyserowanego przez Jessicę Hobbs i Stephena Frearsa – pantera w okrągłej tarczy – bardziej się kojarzy z jakąś Persją czy którąś z Osetii, niż Europą Środkową, ale jest to niewątpliwie Rurytania. Przełom wschodu i zachodu Europy. Z jednej strony pojawia się tu mit Karola Wielkiego, a z drugiej – Lecha, Czecha i Rusa. I „czwartego brata", który ani nie poszedł, jak Lech – na północ, ani na południe, jak Czech, ani na wschód, jak Rus, tylko na zachód: i dał początek naszej bezimiennej Rurytanii z „Reżimu". Leżącej właśnie tam, gdzie leżała pierwsza Rurytania – między Czechami, Śląskiem a Saksonią.

FOT. HBO MAX

• Kate Winslet jako dyktatorka Elena z „Reżimu", serialu HBO

Poza tym pojawia się w „Reżimie" cały zestaw wątków kojarzących się ze wschodnią częścią Europy. Pochodzących z różnych krajów, i wrzuconych w jedną, symbolizującą pół subkontynentu, bezimienną Rurytanię.

Mamy tu więc Putinowski pięciometrowy stół i tajne więzienia CIA z Polski czasów Leszka Millera. Mamy „problemy z wolnością słowa i cenzurą prasy" z zimną niechęcią tolerowane przez Zachód, charakterystyczne dla co najmniej kilku państw Europy Środkowej i Wschodniej oraz kolejkę do NATO i UE. Pojawia się awantura o „niesprawiedliwie odebrane ziemie", czymś, z czym nasza część Europy kojarzy się jak żadna – od Kosowa przez Krym po – powiedzmy – Śląsk Cieszyński, zresztą sama nazwa tej „niesłusznie utraconej" części naszej „Rurytanii" – „Korytarz Fergański" kojarzy się z „Korytarzem" o który szarpali się Niemcy z Polakami przed wojną. I mniejsza już, że również z Doliną Fergany, która leży pomiędzy Uzbekistanem a Kirgistanem. Azja Środkowa, Europa Środkowa – mnie też się to zawsze myli.

Hugh Grant, grający opozycjonistę wtrąconego do więzienia przez Elenę Vernham (i w nim zabitego) to również „stała polityczna" naszego regionu. A sama postać dyktatorki Eleny (jej mąż ma na imię Nick) to dość jasne nawiązanie do Eleny Ceaucescu, żony ostatniego komunistycznego dyktatora Rumunii Nicolae Ceaucescu, która do samego rozstrzelania przez zbuntowane wojsko, które przeszło na stronę rewolucjonistów, opowiadała o swojej miłości do swojego narodu i o tym, jak bardzo ten naród jest jej za tę miłość winien wdzięczność.

Postać dyktatorki Eleny (jej mąż ma na imię Nick) to dość jasne nawiązanie do Eleny Ceaucescu, żony ostatniego komunistycznego dyktatora Rumunii Nicolae Ceaucescu

Zresztą również historia ucieczki serialowej dyktatorki Eleny z pałacu obleganego przez rewolucjonistów bardzo mocno przypomina historię ostatniej podróży małżeństwa Ceaucescu. Natomiast prywatny batalion lobbysty i oligarchy Bartosa przypomina jednostki wojskowe uzbrojone przez ukraińskiego oligarchę Ihora Kołomojskiego. A i sam Bartos, szczerze mówiąc, też jest do Kołomojskiego dość podobny.

Westplaining – wszystko dla ludu

Jeśli chodzi o sposób, w jaki przedstawione zostały w tym amerykańskim serialu realia, wymyślonej czy nie, Europy Środkowej, to można tu, oczywiście, postawić twórcom „Reżimu" zarzut „westplainingu".

Pomijając mocno ustereotypizowaną rzeczywistość Europy Środkowej można, na przykład, czepić się, że sposób w jaki przedstawiony jest, powiedzmy, przeciętny blok mieszkalny czy mieszkanie w Europie Środkowej jest tak samo obraźliwy dla Środkowoeuropejczyków, jak dla Meksykanina byłoby założenie, że mieszka w czymś, co byłoby połączeniem zapuszczonego pueblo i faveli. Tylko że trochę męczące jest już to ciągłe zarzucanie orientalizacji komu się da i z której się da strony. Gdyby używać tego zarzutu zawsze i wszędzie, to nie dałoby się już w żaden sposób skarykaturalizować kogokolwiek innego. Nie wspominając już o jakimkolwiek rodzaju krytyki.

Zabawne jest więc, że choć w przedstawianiu Europy Środkowej w „Reżimie" nie stosuje się żadnej polityczno-poprawnościowej ulgi (a takie ulgi stosuje się wobec innych części świata) – być może po prostu dlatego, że Zachód nie traktuje Europy Środkowej jako czegoś wystarczająco odmiennego od siebie, by traktować ją z wyjątkową grzecznością, to w innych sprawach polityczna poprawność jest jak najbardziej stosowana. I choć w rzeczywistych krajach Europy Środkowej rzadko można spotkać czarnoskórych ministrów czy przywódców związkowych (nie to, że w ogóle ich nie ma), to dywersyfikacja rasowa społeczeństwa naszej „Rurytanii" jest podkreślana.

Mimo wszystko – gdyby jednak się uprzeć i zapolować na elementy westplainingu w „Reżimie" – sporo by się tego nazbierało. Mniej lub bardziej na siłę. Na przykład konstatacja, że Rurytania, którą kieruje Elena jest stabilna wtedy i tylko wtedy, gdy dyktatorka robi interesy z Amerykanami i nie bardzo się im sprzeciwia (a jej mężem jest poczciwy Francuz), a stacza się w chaos, gdy wdaje się w ognisty romans z własnym ludem, który ciągnie ją ku samobójczej implozji. Czyli histerycznej, populistycznej polityki, w ramach której wszystko dzieje się „dla ludu".

To „dla ludu" wprowadza się tu zamordyzm, „dla ludu" niszczy się całą swoją międzynarodową pozycję w imię własnych mocarstwowych paranoi, „dla ludu" wywołuje się wojny, „dla ludu" tłucze się elity, „dla ludu" zrywa się więzi z mocarstwami demokratycznymi i wiąże się z kapryśnymi dyktaturami. Pozostając, oczywiście, od tego „ludu" chronicznie odklejonym. Aż w końcu ten cały romans „z ludem" robiony „dla ludu" kończy się powstaniem tego ludu przeciwko władzy. I znów trzeba wchodzić w grzeczne deale z Amerykanami i związek małżeński z Francuzem.

O tak, serial „Reżim" w dość bezczelny sposób pokazuje „dwoistą" naturę Europy Środkowej – z jednej strony Karol Wielki, a z drugiej – Lech, Czech, Rus i romans z dziką autokracją, Chinami i wąsatym kapralem (Matthias Schoenaerts w roli symbolizującego „lud" bieda-Rasputina – Herberta Zubaka)

Jeśli więc szukać tu orientalizacji Europy Wschodniej i jej stereotypizacji – to, owszem, proszę bardzo, jak najbardziej i bez problemu można ją znaleźć.

„Pogubiłam się" – mówi Elena, gdy już po groźnym dla niej buncie wraca na swój kanclerski fotel, zginając znów kolano przed Amerykanami i poświęcając wąsatego kaprala, będącego przyczyną jej chwilowego populistycznego szaleństwa. Oraz wracając do poczciwego i przewidywalnego męża – Francuza.

Tylko że jeśli ktokolwiek zacząłby szukać tu stereotypizacji, to musiałby również zauważyć, że Zachód sam się również w tym serialu autostereotypizuje i poddaje samokrytyce: jesteśmy cyniczni i bardziej niż o demokrację w strefie Pax Americana chodzi nam o stabilność. Słowem: na zachodnich peryferiach, proszę bardzo, mogą nadal sobie rządzić skurwysyny. Byleby to były „nasze skurwysyny".

A przy okazji „Reżim" przypomina nam to samo, co Zagłoba uświadomił uciekającej przed Bohunem Helenie, gdy zapytała, dlaczego miałaby mu zaufać.

– A masz co lepszego? – odpowiedział jej stary szlachcic. ●

1 RP

eprasa.pl ab36aaa8da

Adam Michnik poleca

KOSTIUMY MARKA HŁASKI

Janusz Anderman

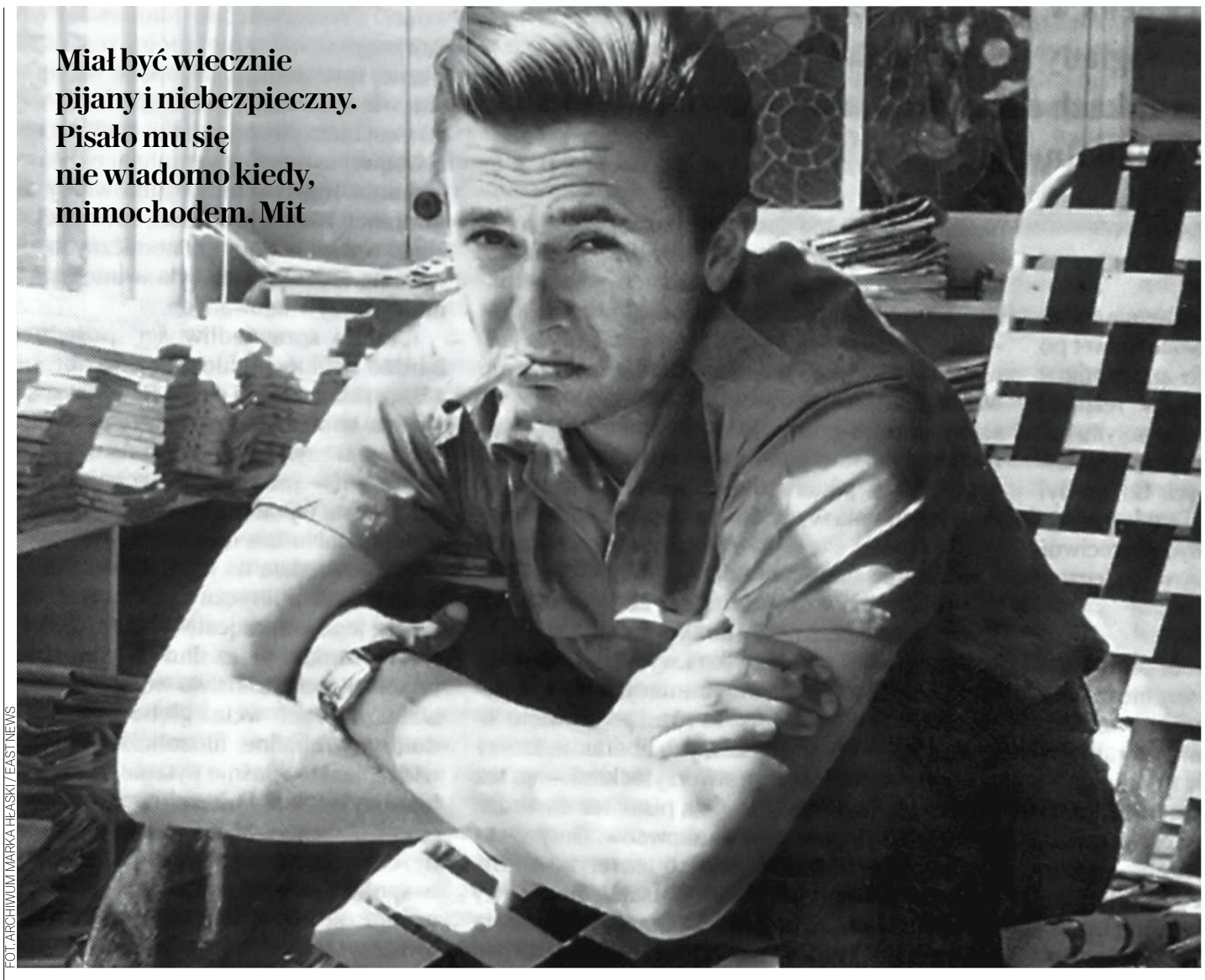

FOT. ARCHIWUM MARKA HŁASKI / EAST NEWS

Miał być wiecznie pijany i niebezpieczny. Pisało mu się nie wiadomo kiedy, mimochodem. Mit

Dwudziestego ósmego lipca 2023 r. Sejm ustanowił rok 2024 między innymi Rokiem Marka Hłaski. Trudno zgadnąć, dlaczego przeciwko był jeden poseł Polski 2050, a dwóch wolnościowców i jeden z Konfederacji ostrożnie wstrzymało się od głosu. Ale bez większego ryzyka pomyłki można stwierdzić, że większość posłów o takim pisarzu w ogóle nie słyszała. Bo, co prawda, w tym roku przypada 90. rocznica urodzin Hłaski, ale nie żyje on już od lat prawie 55.

Bohater filmu dokumentalnego z roku 2009 „Co ja tu robię? Tadeusz Konwicki" rozważa kwestę krótkiego żywota nawet wybitnej literatury. O ile wspaniałe malarstwo zyskuje z wiekiem, a muzyce czas przydaje nowych walorów, literatura odchodzi szybko. Hłasko, bez wątpienia wyjątkowy talent pisarski, przez lata znany był niewielu czytelnikom, tylko tym, którzy mieli dostęp do wydawnictw emigracyjnych lub, później, do ograniczonych nakładowo książek drugiego, pozacenzuralnego obiegu. Ale żył w legendzie, przeważnie zresztą fałszywej, choć w części wykreowanej przez niego samego.

To paradoks, że kiedy zaczęto go wydawać w Polsce oficjalnie – pierwsze czterotomowe „Utwory wybrane", oczywiście bez najbardziej niecenzuralnych „Pięknych dwudziestoletnich", Czytelnik wprowadził na rynek już w roku 1986 – zainteresowanie twórczością Hłaski powoli, ale nieuchronnie, zaczęło więdnąć. 20 lat później to nazwisko nie mówiło nic wielu kandydatom na studia polonistyczne.

•

Hłasko był wybitnie uzdolniony, a wielkim wyrobieniem dramatycznym wykazał się już w wieku dwóch lat, podczas swoich chrzcin w warszawskim kościele Zbawiciela, kiedy z racji wieku sam mógł odpowiadać na pytania księdza. I na pytanie: „Czy wyrzekasz się złego ducha?" zdecydowanie odpowiedział: „Nie!".

O tym, że się złego ducha jednak wyrzekł, świadczy jego twórczość, ale ten trop pojawia się jeszcze w pierwszej zachowanej kartce pocztowej dziesięciolatka do kuzyna Andrzeja Czyżewskiego: „Piekielnie się ucieszyłem z twojego listu i jestem Piekielnie ucieszony z twoich Piekielnie miłych kolegów. Jest mi Piekielnie nudno". Tak, złego ducha się wyrzekł, ale temat zła był jego tematem głównym.

Miał też niezwykłą wyobraźnię. Książka „Piękni dwudziestoletni", powszechnie uważana za autobiografię, to kreacja autorska z wykorzystaniem wątków biograficznych. Tak zwane prawdziwe zmyślenie, co tylko dziełu przydaje siły.

Oceny jego wczesnej twórczości zostawmy badaczom, ale przytoczmy tylko trzy opinie.

Wybitny i bardzo wymagający krytyk literacki Andrzej Kijowski pisał o „Pierwszym kroku w chmurach": „Jest to debiut z rzędu tych, które rozpoczynają nową literaturę, ponieważ w sposób doskonały reprezentują pokolenie, rozpoczynające nową epokę".

Twórca Instytutu Literackiego, paryskiej „Kultury", wydawca Hłaski Jerzy Giedroyc: „Po Miłoszu może to drugie nazwisko o renomie światowej".

Gustaw Herling-Grudziński: „I oto nareszcie narodził się w Kraju nowy nieprzeciętny talent literacki".

•

Zmyśleń na temat Hłaski funkcjonowało przez lata mnóstwo. Były trwałe, bo często świetnie skonstruowane.

Choćby mit o jego karierze kierowcy, którą opisał w powieści „Następny do raju" (pierwotny tytuł: „Głupcy wierzą w poranek"), sfilmowanej przez Czesława Petelskiego jako „Baza ludzi umarłych". Książka opowiada o losach szoferów, którzy w Sudetach rozpadającymi się samochodami z demobilu zwożą z gór kłody wyciętych drzew. Niektórzy tracą życie, a kiedy w ich bazie pojawia się kobieta, żona jednego z nich, marząca o ucieczce do miasta z którymkolwiek chętnym, rozpętuje się piekło. „Jeśli w piekle znajdzie się kobieta – mówił mechanik Apostoł – to wychodzi z tego jeszcze gorsze piekło". Hłasko niby jest jednym z bohaterów tej powieści.

Owszem, pracował w Bazie Transportowej w Bystrzycy Kłodzkiej, ale tylko przez półtora miesiąca. Miał 16 lat i był pomocnikiem kierowcy. A pracować musiał, bo się nie uczył, więc obowiązywał go nakaz zatrudnienia. Czym zajmuje się taki pomocnik? Pucuje kabinę, pompuje koła, podgrzewa palnikiem zamarzniętą miskę olejową i kręci korbą, by silnik mógł zaskoczyć. Z pewnością nie jest jednym z tych twardzieli. Ale ma niezwykły dar obserwacji oraz słuch i pamięć do dialogów.

•

Jeden z najpopularniejszych mitów na temat Hłaski w czasach warszawskich: kiedy jest już młodą gwiazdą literatury, każdy w środowisku i poza nim marzy, by go poznać, zamienić dwa słowa, a choćby i dostać od niego w dziób w Kameralnej. Hłasko to ktoś, kto szaleje z tabunami kobiet, jest wiecznie pijany i niebezpieczny. Papierosa jara tak, jakby go nie wyjmował z ust nawet podczas snu, a pisze mu się nie wiadomo kiedy, mimochodem.

Owszem, Hłasko sam kreował się na mocnego faceta. Skąd się to wzięło? Dlaczego odchodził ze szkół, przerywając naukę? Częściowych odpowiedzi możemy szukać w jego rozpaczliwych listach do matki, które słał z kolejnych internatów: „Jakie ja ostatnio w bursie przeszedłem piekło, to nawet nie przypuszczasz. Odkryli we mnie to, co ja najstaranniej ukrywałem. Nazywali mnie dziewczyną, małochujkiem, hermafrodytą itd. Nie wierzyli, że jestem chłopcem. Mamo, ja naprawdę dłużej nie mogłem wytrzymać. Mamo, zrób coś z tymi zastrzykami".

Jak wspomina Andrzej Czyżewski w „Pięknym dwudziestoletnim": „Problemem Marka było to, że w wieku 15 lat wciąż był dzieckiem, a nie mężczyzną. Miał po-

Wyrobieniem dramatycznym wykazał się już w wieku dwóch lat, podczas swoich chrzcin. „Czy wyrzekasz się złego ducha?". Zdecydowanie odpowiedział: „Nie!"

eprasa.pl ab36aaa8da

za tym bardzo dziecinny, wręcz dziewczęcy wygląd. Zastrzyki, o których mowa, mogły być najprawdopodobniej kuracją hormonalną, mającą przyspieszyć dojrzewanie. Sprawa tych zastrzyków, ich zdobywania, skuteczności, ciągnie się jeszcze przez parę następnych lat".

Trzy lata później 18-letni Hłasko pisze do matki: „Poszedłem do lekarza i wiesz, o co chodzi. Muszę wziąć aż 40 szt. zastrzyków, a jeden kosztuje 40 zł. Więc nie żrę, nigdzie nie chodzę, tylko biorę te zastrzyki, które jednak są konieczne".

A mit nieustannego pijaństwa? Bo według licznych przekazów Hłasko w zasadzie nie trzeźwiał.

Odpowiedź jest prosta: żył krótko, zaledwie 35 lat. Napisał wiele. Gdyby tak pił, jak z podziwem powtarzali kibice, nie zostawiłby po sobie w literaturze tak wyraźnych śladów. Nikt nigdy w stanie nietrzeźwości nie stworzył niczego precyzyjnego, a pisanie wymaga precyzji i dyscypliny. Smutnym efektem pijaństwa może być najwyżej średnio rozgarnięty potomek.

Hłasko pisał z mozołem, bo dążył do jak najlepszych rezultatów. Tworzył wiele wersji swoich utworów i wielokrotnie je – nawet książki – przepisywał w całości.

Z listu 30-letniego Hłaski do Jerzego Giedroycia: „Drogi i Kochany Panie Jerzy, dziwna jest rzecz. Ja kiedy piszę, to nigdy – nigdy w życiu – nie piję. Ale po skończeniu każdego opowiadania – zwłaszcza ostatnich dwóch – ogarnia mnie tego rodzaju depresja, że nie odchodzę od stołu biesiadnego".

A tak pisał w 1965 r., cztery lata przed śmiercią, do Jana Nowaka-Jeziorańskiego, sugerując mu swą chęć współpracy z Radiem Wolna Europa. Dyrektor Nowak, karmiony legendami, wcześniej dał Hłasce do zrozumienia, że taka praca wymaga żelaznej dyscypliny.

„Co do pracy redakcyjnej – nie wiem, czy Pan nie przecenia mojej niesubordynacji. Pracowałem w »Po Prostu«, gdzie byłem kierownikiem działu prozy tego pisma, pracowałem potem w piśmie »Europa«, gdzie byłem kierownikiem działu recenzji filmowych [pismo to pod redakcją Jerzego Andrzejewskiego po wielomiesięcznej szarpaninie nie uzyskało zgody władz partyjnych na wydawanie]. Nie pamiętam, abym miał tam jakiekolwiek zatargi z przełożonymi, dotyczące niesubordynacji z mojej strony. (...)

Wiem, że ludzie uważają mnie za człowieka niezdolnego do narzucenia sobie dyscypliny, za improwizatora i ciągle – ku mojemu zdumieniu – za nieznośne dziecko. Ale – zaufajmy faktom. Wróciłem z Izraela do Europy w roku 1960. W Izraelu pisać nie mogłem. Teraz policzmy, ile ja w ciągu tych pięciu lat, zmieniając ze względu na swoją żonę [popularna niemiecka aktorka Sonja Ziemann] bezustannie miejsce swojego zamieszkania – napisałem:

1. W dzień śmierci jego. 2. Brudne czyny. 3. Wszyscy byli odwróceni. 4. Drugie zabicie psa. 5. Sowa, córka piekarza – to ta nowa książka. 6. Miesiąc Matki Boskiej. 7. Amor 43. 8. Stacja. 9. Powiedz im, kim byłem. 10. Piękni dwudziestoletni.

Do tego jeden scenariusz telewizyjny. Dwa scenariusze filmowe.

Proszę mi, Kochany Panie Dyrektorze, pokazać drugiego pisarza emigracyjnego, który napisał tyle – objętościowo – na przestrzeni pięciu lat. Widzi Pan – za mną ciągnie się moja mołojecka sława z Polski i gdybym nawet co tydzień pisał »Wojnę i pokój« – nic mi nie pomoże. Ludziom łatwiej przychodzi sądzenie człowieka z tej strony, od której człowieka widzą, czy inaczej – od której chcieliby mnie widzieć. Jeśli ja pójdę raz na miesiąc czy raz na tydzień zabawić się do nocnego lokalu – widzi mnie przy tym 50 osób. Ale nikt mnie nie widzi w czasie tych godzin, w których samotnie siedzę i usiłuję pracować".

•

Krytyka literacka dla wygody zaliczyła grupę młodych autorów publikujących we „Współczesności" do pokolenia „Współczesności". Pierwszy tak ich określił Jan Błoński, zarzucając jednocześnie w słynnej „Zmianie watry" bezideowość, a nawet zakłamywanie rzeczywistości.

To fakt, że niektórzy z tych pisarzy, jak Hłasko, Nowakowski czy Brycht, których rzekomo wiele łączyło, poruszali się w podobnych rejonach, ale wspólnoty nie stanowili. Ale czy byli bezideowi? Czy zakłamywali rzeczywistość? Wprost przeciwnie. Jedynie Brycht, który z czasem dojrzał, gdzie stoją konfitury, stał się królem cyników. Inni nie poruszali się w ramach jednej wspólnotowej poetyki i nikt nikogo nie próbował naśladować. Zwłaszcza Hłasko, który był nie do podrobienia. Gdzieś, czasem, można się było natknąć na jakiś ślad, ale to były rzadkie wyjątki.

W opowiadaniach Jana Himilsbacha z wczesnych lat 60. mamy próbki postaw i dialogów hłaskowskich, ale autor szybko tych tropów poniechał.

„– Powiedz coś ciekawego – poprosił.

Długo się zastanawiałem nad tym, co by go mogło zainteresować.

– Nie wiem nic ciekawego – powiedziałem wymijająco.

– Tak, rzeczywiście. Na tym świecie nie ma nic ciekawego – zgodził się. – Nawet mi nie żal umierać. Jak umrę, weźmiesz moje książki.

– Spadek?

– Coś takiego.

– Dobrze, będę je szanował.

– Że też nie mogę nic zabrać ze sobą.

– À propos spadek. Jakaś rodzina otrzymała po wuju z Ameryki milion dolarów.

– I co z tego?

– Nic.

– A...

– Starczy im do końca życia.

– Okradną ich".

Himilsbach szybko o takich sztuczkach zapomniał. Uczcił Hłaskę w ten sposób, że jako kamieniarz z zawodu wykuł napisy na jego płycie nagrobnej na Powązkach, gdzie po długich staraniach i zabiegach matki 18 listopada 1975 r. odbył się powtórny pochówek Hłaski.

A człowiek gołębiego serca, Marek Nowakowski, który po wódce pokazowo brutalizował? Kiedyś do Jarosława Iwaszkiewicza, którego szanował i u którego w „Twórczości" stale drukował: – Ty, stary kolaborancie, skocz na Piwną po pół litra, bo się, kurwa, chcemy z panem Andermanem napić!

Iwacha nie skakał, bo takie gierki znał, i tylko żartobliwie groził sękatą lagą, którą się podpierał.

Ale obciach był.

•

A jak było z moim pokoleniem? Na początku lat 70. na Hłaskę lepiej lub gorzej ucharakteryzowany był co drugi młody i szanujący się prozaik. Jego twórczość znali słabo, czasem wcale, ale żyli legendą.

Ubierali się niedbale, wielu twierdziło, że przed oddaniem się mozołowi pisarskiemu byli robotnikami. A teraz chcieli być brutalni jak ich mistrz, o którym słyszeli cuda.

Początkujący, lecz rozwojowy prozaik, który potem gdzieś się bezpowrotnie rozpłynął, chodził po mieście w kufajce i w gumofilcach, by podkreślić swoje szlachetne pochodzenie oraz fakt, że ręce zdążył już urobić w jakiejś hucie. Też próbował budować legendę pod Hłaskę.

Pewnego dnia wszedł do Kameralnej i zobaczył przy barze Iredyńskiego i Nowakowskiego. Podszedł i bez słowa walnął Iredyńskiego w zęby. I ten Iredyński, który zręby swojej legendy też od dawna wznosił, leżał teraz na podłodze, na którą spadł ze stołka, i bezradnie wzywał milicję. Czy takie frajerstwo budowało legendę rozwojowego prozaika, zwłaszcza że o względy i Iredyńskiego, i Nowakowskiego pracowicie zabiegał? Jakąś tam jej karykaturę budowało, skoro jako świadek wspominam zdarzenie sprzed pół wieku. A nawet jeśli nie budowało, to utrwalało w pamięci.

Kiedyś za kulisami teatru polskiego w Londynie witałem się z właśnie poznaną Marią Wachowiak-Holoubek, która na tej scenie akurat coś reżyserowała.

– Ja pańskiego chamstwa nie zapomnę do końca życia – powiedziała, z obrzydzeniem podając mi dwa palce. – I prostactwa.

– Widzę panią pierwszy raz, ale niech będzie.

– Tak? A kto dziesięć lat temu w Warszawie przylazł do mnie do radia, w kufajce, wywalił mi giry w gumofilcach na biurko i zaczął chlać tanie wińsko z butelki?

Takie bywały moce legend Hłasków Mniejszych.

Na Hłaskę ucharakteryzowany był co drugi młody i szanujący się prozaik. Ubierali się niedbale, wielu twierdziło, że wcześniej byli robotnikami. Chcieli być brutalni jak mistrz

•

A czy dawni kumple z okolic „Współczesności" w jakiś inny sposób naśladowali Hłaskę, próbując się do niego upodobnić? Powiedzmy, że kiedy już wyjechał z Polski, niektórzy małpowali go od czasu do czasu, wznosząc własne legendy.

Człowiek delikatny z natury i liryczny, Ireneusz Iredyński, odgrywał bandziora, wdawał się w bójki i robił wiele, by uchodzić za potwora i człowieka, który się z nikim nie liczy. I z czasem, ku jego uciesze, zaczęto się go obawiać, a lubił to w popisach przed młodszymi kolegami wykorzystywać. Kiedyś w kawiarni Związku Literatów Polskich kiwnął palcem na dawnego stalinowskiego ministra kultury, który w odpowiednim czasie wprowadzał w Polsce socrealizm, Włodzimierza Sokorskiego: – Skocz nam, kulwa – nie wymawiał „r" – po fajki, bo chcemy z panem Andermanem zajarać, a się, kulwa, nam skończyły!

I złowrogi Sokorski skakał.

•

Ale bywali też młodsi koledzy, którzy z czasem psychicznie się z Hłaską jednoczyli i święcie w te nierozerwalne związki wierzyli.

W latach 70. na jednym z licznych wtedy zjazdów młodych prozaików ci młodzi byli robotnicy i twarde sztuki już od rana drżącymi rękami podawali do oceny Wiesławowi Myśliwskiemu próby swojej robociarskiej prozy, a wieczorami grzmocili gorzałę i patrzyli spode łba na innych, tak samo jak oni, wzorem Hłaski trzymających papierosy w kącikach.

I kiedyś rozkręcił się prozaik, bywalec krainy baśniowej, i zaczął z takim ogniem opowiadać, że Henrykowi Berezie, który całe życie Hłaskę platonicznie kochał, z poruszenia rozjarzyły się w oczach łzy.

– No więc, kurwa go ma, chlaliśmy z Mareczkiem we dwóch przez tę całą feralną noc. On był, kurwa go ma, zasępiony, jakby już przeczuwał, że noga jego już nigdy nie postanie na ojczystej ziemi... Jakby już przeczuwał. I z nikim się nie chciał widzieć tej ostatniej nocy, bo nikomu nie wierzył. We dwóch tylko chlaliśmy do spodu. A rano odwiozłem go na Okęcie... Tylko się za mną obejrzał bez słowa... I, o tak, podniósł rękę... Bo samo spojrzenie wystarczyło... – i opowiadającemu potoczyły się po policzkach ślozy, które niecierpliwie rozgniótł kułakiem, a Henryk Bereza już nie potrafił powstrzymać łkania.

I wtedy, wiedziony paskudną przekorą, ten piękny i świąteczny nastrój zdeptałem.

– Ty miałeś łeb... – odezwałem się z podziwem. – Ale że ten potwór Hłasko pozwolił pić takiemu szczylowi całą noc? Przecież wtedy byłeś tylko ośmiolatkiem...

Bywalec krainy baśniowej bardzo chciał też pić tak, jak legenda kazała pić Hłasce. I zamarzł na parkowej ławce.

A młody prozaik liryczny, z przejęciem przedstawiający towarzystwu swą znacznie starszą partnerkę?

– Kiedyś posuwał ją Hłasko!

•

Jednak najbardziej zdumiewający mit na temat Hłaski na własny użytek stworzyła władza, zamykając mu drogę powrotu do kraju. Nie dowiemy się, dlaczego komuniści aż tak się go obawiali. Czym okrzepłemu już ustrojowi zagrażał?

Hłasko wyjechał do Paryża w lutym 1958 r. Na przełomie marca i kwietnia Jerzy Giedroyc wydaje mu w jednym tomie „Cmentarze" i „Następnych do raju". Już 5 kwietnia w „Trybunie Ludu" niejaki Skiz, czyli Zbigniew Wasilewski, ogłasza artykuł „Primadonna jednego tygodnia?". Tekst zainicjował ohydną kampanię przeciwko Hłasce.

Co wyczytał Skiz w „Cmentarzach"? „Warszawa zarzyganych pijaków w rynsztokach, prostytutek wabiących z bram przechodniów, nędznych zastraszonych ludzi przemykających się między patrolami wojska i milicji, kłamliwych plakatów na parkanach. Warszawa ponurego bezuśmiechu i błota, błota lepkiego, wsysającego błota, oświetlona jednym krwawym neonem »Sztandaru Młodych« – wykrzyknikiem beznadziejności i grozy. Tak widzi Hłasko swoje miasto. A Polska? Polska to strach, podłość, oszustwo, terror, nienawiść i obłuda, rozpacz i pijaństwo, ruiny domów i ludzi, pustynie uczuć, c m e n t a r z e zaufania. (...) Tak widzi Hłasko swój kraj i naród. To już jest paszkwil, nie tylko na ustrój, lecz na społeczeństwo".

Hłasko chce się rozejrzeć po świecie, ale ważność paszportu powoli dobiega końca. Urzędnicy konsularni doradzają, by przedłużył dokument, ale już po powrocie do Warszawy. W końcu doradzają mu, by sprawę załatwił w Berlinie Zachodnim. To pułapka. Z nieważnym paszportem z Berlina nie da się wyjechać, bo otrzymanie wizy innego państwa jest niemożliwe. Hłasko prosi o azyl polityczny i dostaje go, choć obywatelstwo polskie zachował do końca życia.

Kiedy szybko pojął, że emigracja wyjaławia go pisarsko, rozpoczął starania o zgodę na powrót. Odwiedzał polskie placówki konsularne, listownie prosił o pomoc ówczesnego prezesa ZLP Antoniego Słonimskiego i Marię Dąbrowską.

Działy się rzeczy zdumiewające. Choć władza chętnie wpuszczała do kraju emigrantów, nawet takich, z którymi miała później niemałe problemy – jak były premier rządu londyńskiego Stanisław Cat-Mackiewicz czy Melchior Wańkowicz, Hłasce odmawiano prawa powrotu kategorycznie. Z każdej wizyty w polskiej placówce sporzą-

eprasa.pl ab36aaa8da

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Lidija Dimkovska*

Narodowa dusza

Odkąd mój brat powiesił się na kablu telefonicznym
mogę z nim przez telefon rozmawiać godzinami.
Przycisk jest stale włączony na „Voice”
żeby miał wolne ręce i mógł
rozlepiać plakaty na bożych słupach
i pokrzykiwać podczas zajadłych debat na temat:
Czy dusza jest narodowa?
Badając tę sprawę obydwoje trzęsiemy się z nerwów,
ja na tym, on na tamtym świecie.
Nauka wykazała że np. rosyjskiej duszy już nie ma,
że ten, komu śnią się anioły, po śmierci przechodzi przez nie jak cień.
Może turecka dusza istnieje, chrypi w słuchawce głos brata,
który co rano słyszy chlupot czajnika Nazima Hikmeta,
zanim dopchnie wózek z obwarzankami
do bram Ziemi. Kupię od ciebie jeden, dla duszy.
Lecz on milczy zdyszany. Duszy macedońskiej szukamy
na tablicach rejestracyjnych, na bożostradzie Wschód-Zachód,
w kartonowych pudłach z napisem „Nie otwierać! Geny!”,
załadowanych na plecy przezroczystych nieboszczyków.
A na zmarłych nie można się oprzeć.
Zmarli są jak nielegalni emigranci,
z opuchniętymi narządami przedzierają się do obcych krajów,
przez otwory swoich jam, szpicami swoich kości
kopią sobie ostatnie już groby.
Wywołują ostatnią bójkę
o narodowe niebiosa
i o duszę której już nie mają.
Coraz większa jest liczba ludzi bez duszy i dusz bez imienia.
W autobusie miejsca nie ustępują, każdy sam jedzie, daleko.
Szukają się przez pośredników, ale nie znajdują.
Narody rządzą się ogonem a głowa błądzi.
Brat mój rozpacza. Ja się staję A.-narodowa.
Kabel telefoniczny który nas łączy
wyślizguje mi się ze spoconej ręki,
przyciska aparat do ściany i wycofuje się do wtyczki.
Dlaczego dla nieszczęśników na tym świecie
nie uruchamia się bezpłatnej linii SOS?
Dlaczego nie wiem jak zatrzymać kogoś na drodze do śmierci?
Ja też jak mój brat od urodzenia szukam dziury w całym,
objawienia za wszelką cenę, odkrycia sensu.
A dusze ludzi którzy szukają dziury w całym
mogą skończyć w trojaki sposób: powieszone na kablu telefonicznym,
w ciałach poetów albo jedno i drugie.

***Lidija Dimkovska** – ur. w 1971 r., macedońska tłumaczka, literaturoznawczyni, prozaiczka i poetka. Jej utwory są przekładane na liczne języki. Po polsku ukazał się m.in. jej debiut prozatorski, powieść „Ukryta kamera”. W 2016 r. nominowana do Nagrody Literackiej Miasta Gdańska Europejski Poeta Wolności za tom „pH neutralna wobec życia i śmierci” (przeł. Danuta Cirlić-Straszyńska, wyd. słowo/obraz terytoria, Instytut Kultury Miejskiej w Gdańsku 2015). Z niego pochodzi publikowany przez nas wiersz.

FOT. TIHOMIR PINTER/CC BY-SA 4.0

dzany był szczegółowy i tajny raport, który w zaszyfrowanej formie wysyłano do rąk kilkunastu najważniejszych dygnitarzy w państwie, poczynając od premiera Cyrankiewicza, przewodniczącego Rady Państwa Zawadzkiego (odpowiednika dzisiejszego prezydenta) czy ministra spraw zagranicznych.

Oto przykład: „Hłasko zjawił się dzisiaj w poselstwie, prosząc o kilkuminutową rozmowę ze mną. Przyjął go Tomczyk. H. płakał. Napisał w obecności Tomczyka list adresowany do mnie: »Proszę przyjąć mój list jako prośbę człowieka zrozpaczonego i potrzebującego pomocy. Chcę wrócić do Polski, ponieważ tylko tam mogę być szczęśliwy, ponieważ tylko tam mogę pracować i pisać, ponieważ tylko tam moje życie może mieć jakiś sens i cel«” – raportowano z placówki w Tel Awiwie.

Na plenum Komitetu Centralnego partii Leon Kruczkowski z goryczą wyłożył towarzyszom istotę rzeczy: „Jak widzimy, towarzysze, niedługa jest droga od pierwszego kroku w chmurach... do ostatniego kroku w bagno imperialistycznego wywiadu”.

I zapadła wieloletnia cisza. Dopiero po śmierci Hłaski w 1969 r. czytelnicy „Expressu Wieczornego” mogli wyczytać: „Jak wiadomo, Marek Hłasko, autor wielu opowiadań szkalujących Polskę Ludową, zdradził w 1958 Ojczyznę i zbiegł do Berlina Zachodniego”.

•

I pomyśleć tylko... Gdyby nie jeden głos sprzeciwu i trzy wstrzymujące się, Sejm jednomyślnie by ogłosił rok 2024 Rokiem Marka Hłaski. Ale widocznie zwłaszcza poseł Polski 2050 miał jakieś poważne zastrzeżenia i dokładnie wiedział, przed jakimi zagrożeniami chce nas uchronić. ●

„Ostatnia wojna Putina” Grzegorza Przebindy

Pisarze i zbrodniarze

Czy można oskarżać ofiarę stalinowskich represji o udział w budowie systemu, który zaatakował Ukrainę?

Michał Olszewski

„Ostatnia wojna Putina” to dziennik od pierwszych do ostatnich zdań wywrotowy i pisany wbrew trendowi, jaki w sposób nieunikniony narzuciła inwazja Rosji na Ukrainę. Nieunikniony, ponieważ opór przed reżimem rosyjskim zmienił się również w niechęć (a czasami nienawiść) do wszystkiego co rosyjskie.

Artyści rosyjscy a priori są odpowiedzialni za rzeź w Buczy i powinni znaleźć się na indeksie ksiąg zakazanych, niezależnie od tego, czy są żywi czy martwi, czy protestowali przeciwko Putinowi, czy też wspierali budowę imperium – tak obecnie na kulturę rosyjską patrzą Ukraińcy, takie spojrzenie przyjęła po wybuchu wojny Polska, solidaryzując się z Ukrainą.

I przeciwko takiemu spojrzeniu Grzegorz Przebinda, znakomity rusycysta, współautor m.in. nowego tłumaczenia „Mistrza i Małgorzaty”, żarliwie protestuje, nie dlatego jednak, żeby w jakikolwiek sposób rozwadniać odpowiedzialność i winę.

Przebinda, naukowiec drobiazgowy i obdarzony znakomitą pamięcią faktów, przestrzega jedynie przed powielaniem typowo wojennej retoryki, która wszystkich Rosjan, bez względu na grzechy i zasługi, ustawia w jednym szeregu ze zbrodniarzami. Zamiast wojennej retoryki proponuje, włożony w ramy dziennika pierwszego roku wojny, szereg skomplikowanych, detalicznych i uczciwych rozróżnień, które w czarno-białym świecie wojny nie mają racji bytu.

•

Dobrym przykładem tej metody są fragmenty poświęcone Josifowi Brodskiemu. Spiżowa postać noblisty doczekała się wreszcie bardziej szczegółowego spojrzenia, które zawiera opowieść o skandalicznym wierszu „Na niepodległość Ukrainy”, traktującym Ukraińców jak rasę niższą i zawierającym propozycję „Niech was teraz Szwaby z Lachami/ wezmą w lepiance od tylca” (przekład Stanisława Barańczaka).

Zamiast gumkować, Przebinda buduje szeroki i szczegółowy kontekst biograficzny, rekonstruując krok po kroku okoliczności powstania tekstu oraz jego recepcję. Nie unika przy tym jednoznacznej oceny wiersza. Cytuje np. Miłosza, który w późnym liście do Giedroycia napisał: „Brodski miał wszelkie cechy Rosjanina, a żadna siła nie zmusi Rosjanina do tego, żeby uznał Ukraińców za odrębną narodowość. Najbardziej nawet liberalni, jak choćby Isaiah Berlin, uważają ukraiński nie za język, a za dialekt rosyjskiego”.

Na tym nie koniec: cytuje wspomnienia przyjaciela Brodskiego, które pozwalają przypuszczać, że wiersz był czymś poważniejszym niż jednorazowy wyskok. Wspomina mniej znany wiersz „Na pertraktacje w Kabulu”, napisany w tym samym czasie co „Na niepodległość Ukrainy” i równie mocarstwowo pogardliwy w stosunku do Afgańczyków jak do Ukraińców. Nie zmienia to faktu, że pozostałą, lwią część twórczości autora „Elegii rzymskich” uważa za wybitną i przekreślać jej nie zamierza.

•

Unosi się nad „Ostatnią wojną Putina” pytanie o odpowiedzialność zbiorową. Czy można oskarżać Mandelsztama, ofiarę stalinowskich represji, o udział w budowie systemu, który w 2022 r. zaatakował Ukrainę? Mówił po rosyjsku, marzył mu się w młodości Trzeci Rzym, do którego tak chętnie odwołują się dzisiejsi zbrodniarze. A krytykowany od lat przez Ukraińców Bułhakow, który kawałek życia spędził w Buczy? A Sołżenicyn z jego traktatem „Jak odbudować Rosję”, który, traktowany wybiórczo, może być odczytywany jako zapowiedź restauracji mocarstwa?

Odpowiedź Przebindy jest tyle jednoznaczna, co drobiazgowa. Zbrodniarze pozostają zbrodniarzami, mordercy muszą ponieść karę, ale nie można sądzić pisarza za przestępstwa, których nie popełnił – dowodzi. A jeśli już chcemy taki proces przeprowadzić, powinien on być rzetelny i szczegółowy. Dostojewski, owszem, był przesiąknięty mocarstwowym myśleniem, ale obarczanie Dostojewskiego odpowiedzialnością za zbrodnie Putina jest według filologa nieporozumieniem.

•

Jest „Ostatnia wojna Putina” bardzo osobistym, chwilami chyba zbyt rozgadanym zapisem jednego z najtragiczniejszych momentów w historii Europy po 1945 r. Zapisem niezwykle wartościowym, bo Przebinda porusza się sprawnie na dwóch poziomach jednocześnie: rejestruje postępy wojny, nadstawia ucha na wieści z Moskwy, wymienia nazwiska tych nielicznych Rosjan, którzy protestują przeciwko reżimowi, a jednocześnie opowiada o głębinach rosyjskiej, ukraińskiej i polskiej historii. Czyni to bez taryfy ulgowej, bez rozgrzeszenia, ale też bez przekonania, że każdy Rosjanin jest mordercą bądź piewcą imperialnej Rosji.

Przebinda nie ma problemu z jasnymi ocenami moralnymi, ale jednocześnie ma odwagę, by jasno stwierdzić, że stawianie w jednym rzędzie Zachara Prilepina i Władimira Sorokina jest niedopuszczalnym nawet w czasie wojny nadużyciem.

Nie można głosić, że każdy Rosjanin jest mordercą bądź piewcą imperialnej Rosji

Nie ukrywam, że zazdroszczę mu wiary w inną, lepszą Rosję i przekonania, że taka zmiana wcześniej czy później nastąpi. Moim zdaniem jest to wiara rozpaczliwa i nie widać na horyzoncie żadnych zapowiedzi zmiany.

Z drugiej strony „lawina bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach”. Nie wątpię, że Grzegorz Przebinda będzie jednym z pierwszych, którzy dostrzegą, jak rusza w stronę kremlowskich murów. ●

Grzegorz Przebinda, **„Ostatnia wojna Putina”**, Znak, Kraków 2024

eprasa.pl ab36aaa8da

TAM NIGDY NIE BĘDZIE DWÓCH PAŃSTW

Izrael to ostatni zachodni kraj gnębiący niezachodni naród

Marta Urzędowska

Koncepcja dwóch państw umarła i została pogrzebana. To, co powstanie, narodzi się z chaosu i na zawsze pozostanie nieprzewidywalne – Shlomo Ben-Ami, izraelski historyk, były szef izraelskiej dyplomacji i negocjator z Camp David w ponurych barwach rysuje przyszłość konfliktu izraelsko-palestyńskiego.

„Nekrolog – oto jak powinna być czytana ta książka. Historia Camp David i wszystkich późniejszych prób doprowadzenia do izraelsko-palestyńskiego pokoju musi być czytana jako ostateczna porażka założenia, że powstaną dwa państwa" – przekonuje Ben-Ami w nowej książce „Prophets without honor". – Ta rutynowo klepana formułka, nadal pokutująca w światowym dyskursie na temat Palestyny, dawno umarła i została pogrzebana, dlatego najwyższy czas zainteresować się innymi scenariuszami – mniej lub bardziej złowieszczymi – dodaje. Lecz nie zgrywa optymisty. Trudno by mu zresztą było, skoro opisuje przypominającą domino serię porażek, błędów i przeszkód na drodze do pokoju.

•

Ben-Ami jak mało kto ma prawo opisywać izraelsko-palestyński konflikt i spotkanie, które przeszło do historii jako Camp David II, bo osobiście w nim uczestniczył jako szef izraelskiej dyplomacji i jeden z głównych negocjatorów.

Jako dyplomata drobiazgowo relacjonuje spotkanie, w którym w 2000 r. wzięli udział izraelski premier Ehud Barak, palestyński przywódca Jaser Arafat i prezydent USA Bill Clinton. Łącząc umiejętności historyka z doświadczeniem dyplomaty, przybliża nam główne postaci dramatu, opisuje przeszkody, których nigdy nie udało się przezwyciężyć i pokazuje, jak ważną lekcją historii stała się tamta porażka.

Jako historyk barwnie przybliża „dziką wojnę o pokój", „historię obietnic i kłamstw" i „działania wbrew logice", jakie towarzyszyły Izraelczykom i Palestyńczykom na przestrzeni dekad, podczas rozpaczliwych rób rozwiązania najbardziej nierozwiązywalnego konfliktu świata.

Szuka, choć nie daje odpowiedzi na pytanie, czy konflikt bliskowschodni ma szansę na zakończenie. Zauważa, że obu stronom coraz trudniej się dziś dogadać – w Izraelu do władzy doszły środowiska skrajnie prawicowe, w Strefie Gazy rząd dusz przejął radykalny islamski Hamas, kraje arabskie dawno przestały się przejmować losem Palestyńczyków, a świat bardziej zajmują inne kryzysy.

•

Ben-Ami już w 2006 r. w „Scars of War, Wounds of Peace: The Israeli-Arab Tragedy" analizował wieloletnie próby rozwiązania kryzysu. Teraz nie tylko analizuje to, co nie wyszło, ale też bezlitośnie punktuje dalekosiężne skutki tamtych porażek, jakie Żydzi i Arabowie odczuwają nieustannie przez ostatnie dwie dekady.

Z wypiekami czyta się jego opis wydarzeń w letniej rezydencji prezydentów USA. Choć prowadzone tam rozmowy miały być ostatnim etapem procesu pokojowego rozpoczętego porozumieniami z Oslo, podpisanymi między Icchakiem Rabinem a Jaserem Arafatem, okazały się chybione – mimo faktu, że Clinton, któremu akurat kończyła się kadencja, bardzo chciał dopisać sobie do CV rozwiązanie konfliktu palestyńsko-izraelskiego.

Choć były momenty, kiedy uczestnicy byli blisko porozumienia, wszyscy popełniali rażące błędy. Clinton nie umiał skutecznie mediować. Barak, którego rząd mocno się chwiał i który liczył się z rychłą przegraną z Arielem Szaronem, negocjował niechętnie i nieudolnie. A Arafat nieustannie kombinował, jak wymusić na Izraelczykach jak największe ustępstwa, ciągle dorzucając nowe żądania – zawsze znacznie większe, niż to, co mogli mu dać.

Ben-Ami daje fascynujący wgląd w ludzi, o których na co dzień czytamy w książkach historycznych, a które on dobrze poznał i których wady zaważyły na sprawach życia i śmierci.

•

Ben-Ami ze swadą pisze o „wadach charakterologicznych Baraka, nieudolnym przywództwie Clintona i nierealistycznych poglądach całego jego zespołu". „Barakowi zabrało masę czasu zrozumienie, na jak głębokie ustępstwa należało pójść. Próbowaliśmy zawrzeć pokój, jednocześnie niszcząc zaufanie Palestyńczyków, rozbudowując osiedla i nie dotrzymując żadnej z obietnic dobrej woli".

„Barak był człowiekiem wybitnym, o szerokim rozumieniu strategicznym i niezbędnej odwadze do podejmowania trudnych decyzji. Miał otwarty umysł, był responsywny, czasem ironiczny, zawsze dowcipny i zabawny. Jednak kiedy miał do kogoś dotrzeć, jego wady stawały się ogromną przeszkodą – brakowało mu intuicji, wyczucia, które są konieczne u wielkich polityków" – ocenia Ben-Ami swojego ówczesnego szefa.

Zauważa, że izraelski przywódca „uparcie zakładał, że jeśli on sam uznaje coś za rozsądne porozumienie, musi ono takie być dla każdego, nawet dla historycznego przywódcy wydziedziczonego narodu, którego ukształtowały lata walki i niezłomności".

No właśnie, Arafat. Najsłynniejszy z palestyńskich przywódców „w palestyńskiej ikonografii uznawany był za postać niemal mityczną, za ojca ojczyzny niemal pozbawionego ludzkich cech. Zresztą on sam, w swoim nienasyconym apetycie na pochlebstwa, uważał się za wcielenie Saladyna, wybawiciela Jerozolimy spod jarzma niewiernych krzyżowców.

Oczywiście jednocześnie był chytrym, podstępnym politykiem, zawsze zdolnym

eprasa.pl ab36aaa8da

• **24 marca, Hebron na Zachodnim Brzegu, przebrani żydowscy osadnicy świętują Purim pod ochroną wojska** FOT. ALEXI J. ROSENFELD/GETTY IMAGES

odrodzić się jak feniks z popiołów niezliczonych porażek i niepowodzeń. Rzeczywiście zasługiwał na podziw swojego narodu, w końcu uwolnił palestyński ruch narodowościowy z łap cynicznych arabskich władców, nadał mu sens i cel, zmienił w jedną z najsilniej rezonujących w świecie kwestii narodowych naszych czasów".

•

Ale „Prophets without honor" to nie tylko sprawozdanie z Camp David. Ben-Ami obszernie relacjonuje, co działo się później. Opowiada o nieustannych wysiłkach, by przełamać pat, o drugiej intifadzie, która wybuchła w Jerozolimie, błyskawicznie rozlewając na Zachodni Brzeg i Strefę Gazy, o kolejnych krokach, które ostatecznie doprowadziły do „dealu stulecia" Donalda Trumpa, który – choć upierał się, że rozwiąże izraelsko-palestyński konflikt – dolał oliwy do ognia.

Ben-Ami tłumaczy, co skłoniło go do zajęcia się tak beznadziejnym tematem. „Historia nie powinna być tym, co sami chcemy pamiętać. Stąd rada Henry'ego Davida Thoreau, że zawsze potrzeba dwóch, by powiedzieć prawdę, jest tak ważna w historycznych badaniach. Moje liczne wady jako polityka wzięły się z obsesji, by nie porzucać mojego powołania jako adepta historii – opowiada. – Dlatego robię, co mogę, by stosować się do słów Alberta Camus, że rolą intelektualisty nie jest usprawiedliwianie przemocy jednej strony i potępianie przemocy tej drugiej".

•

Ben-Ami nie bez powodu przypomina czytelnikom „smutną prawdę" głoszoną przez Winstona Churchilla, że „niczego w historii nie udało się załatwić inaczej, niż poprzez wojnę". Zauważa, że „państwa rodzą się wśród dramatu krwi i poświęceń", a i to bywa za mało. „Spytajcie Kurdów, Czeczenów, Tybetańczyków albo Palestyńczyków" – proponuje z wyraźną goryczą.

Konflikt izraelsko-palestyński opiera się logice zakładającej, że wojna i pokój to naczynia połączone, że każda wojna musi w końcu zakończyć się pokojem. „Ten obustronny pat albo nie jest wystarczająco nie do zniesienia dla żadnej ze stron, albo – co bardziej prawdopodobne – obie strony wolą płacić cenę wojny, niż choć na jotę zrezygnować ze swoich narodowych mrzonek, które są w oczywisty sposób nie do pogodzenia".

Dyplomata podkreśla wyjątkowość konfliktu izraelsko-palestyńskiego na tle innych światowych wojen. „Przecież nie chodzi tu tylko o awanturę o terytorium, czy banalną dysputę o granice – to wielkie zderzenie praw i pamięci. Tęsknota za tym samym krajobrazem, sprzeczne roszczenia dotyczące religijnych miejsc i symboli, wreszcie etos wypędzenia po obu stronach. To wszystko sprawia, że narracje narodowe obu stron wzajemnie się wykluczają, a Izraelczycy i Palestyńczycy, choć są jak lustrzane odbicie, nieustannie ścigają się o monopol na bycie ofiarą, na »wygnanie«, na »holocaust«, na »powrót«".

•

Choć podkreśla, że reprezentuje jedną ze stron, nie szczędzi Izraelczykom gorzkich słów. „Izrael nie może wykorzystywać wad swoich krytyków jako przykrywki dla własnych błędów. Nie każdy atak na jego naganne działania to antysemityzm. Podobnie wspominanie Holocaustu, nadużywane przez izraelskich przywódców, nie może służyć wybielaniu represyjnej polityki Izraela na palestyńskich terytoriach" – przekonuje. I zauważa, że „Izrael to ostatni zachodni kraj gnębiący niezachodni naród". Wylicza, że inne dzisiejsze konflikty – w Kolumbii, Somalii, Kongo, Sudanie, Iraku czy Afganistanie – to wojny domowe, a nie historie okupacji.

Ben-Ami nie zostawia suchej nitki na obecnym izraelskim premierze, Benjaminie Netanjahu. Wyjaśnia, że „ten cyniczny, polityczny manipulator" przetrwał tyle lat u władzy, bo dwa filary jego strategii – wojna z mocarstwowymi ambicjami Iranu i chęć zniszczenia palestyńskiego ruchu narodowego – podziela zdecydowana większość Izraelczyków".

Jednocześnie nie szczędzi krytyki Palestyńczykom. „Muszą przejść głęboki proces narodowej odnowy i politycznej refleksji. Bo wielokrotne odrzucanie przez nich rozsądnych planów pokojowych pokazuje trwałe wady całego ruchu narodowego, ich desperacką nieumiejętność obracania historycznego stanu rzeczy w szansę. Palestyńscy przywódcy nie rozumieją, że gniew nie jest strategią i zbyt często pogrążają się w mrzonkach.

Ben-Ami nie pozostawia złudzeń: „Jakiekolwiek rozwiązanie uda się w przyszłości wypracować, nie będą to klasyczne dwa państwa, z uporządkowanym problemem uchodźców i drobiazgowo wyliczonym podziałem ziemi. Będzie to coś, co narodzi się z chaosu, z ogromnych regionalnych tarć. Co na zawsze pozostanie z natury całkowicie nieprzewidywalne".

Pisząc o „prorokach", sam okazał się jednym z nich. Nieprzewidywalny, bestialski atak Hamasu na Izrael z 7 października zeszłego roku rozpętał kolejną, wyjątkowo krwawą odsłonę konfliktu, stał się kolejnym gwoździem do trumny procesu pokojowego, jeszcze głębiej pogrzebał nadzieje Palestyńczyków na własne państwo. A Bliski Wschód z dnia na dzień postawił na krawędzi wielkiej regionalnej wojny. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

REKLAMA

Kraj/34310610

1 RP

eprasa.pl ab36aaa8da

• **Pod tagiem #Japaneseboooks na TikToku króluje Toshikazu Kawaguchi.**

FOT. JOEL SAGET/AFP/EAST NEWS

JAPOŃSKA KAWA NIE STYGNIE

W przeciwieństwie do dawnego pokolenia twórców, którzy dzielili się z czytelnikami traumatycznymi przeżyciami, **pokolenie pisarzy „tiktokowych" chce opowiadać przyjemne historie.**

Wojciech Szot

W 2023 r. wśród 30 najpopularniejszych zagranicznych pisarzy w Wielkiej Brytanii aż 17 to reprezentanci Japonii, podaje firma badawcza Nielsen BookScan.

W Polsce „Zanim wystygnie kawa" Toshikazu Kawaguchiego, ochrzczonego mianem „japońskiego Paulo Coelho", sprzedała się w ponad 100 tysiącach egzemplarzy. Cała trzytomowa seria została przełożona na ponad 30 języków. Sprzedaż na świecie przekroczyła trzy miliony egzemplarzy. W Polsce – ćwierć miliona.

Królowie mang

Najbardziej popularnymi Japończykami literatury są mangacy, czyli twórcy japońskich komiksów.

Liderem brytyjskiego zestawienia jest zmarły przed trzema laty Kentarō Miura, twórca serii „Berserk". Od 1989 do 2023 r. do czytelników trafiło ponad 60 milionów egzemplarzy tomów tej mangi. Seria jest kontynuowana mimo śmierci autora.

To jednak nic w porównaniu z serią „One Piece" Eiichiro Ody, której sprzedaż na całym świecie – od 1987 r. – przekroczyła 500 milionów egzemplarzy. Oda w zestawieniu Nielsena za 2023 r. znalazł się na piątym miejscu. Niemal 100 tysięcy egzemplarzy „One Piece'a" znalazło nabywców.

Spośród mangaków na liście są także Koyoharu Gotouge (seria „Miecz zabójcy demonów: Kimetsu no Yaiba"), autor kultowego „Uzumaki" Junji Itō, Tatsuki Fujimoto („Chainsaw Man") i Gege Akutami („Jujutsu Kaisen"). Zmarły w tym roku Akira Toriyama, twórca „Dragon Balla", znalazł się dopiero na 15. miejscu.

Wszyscy oni od lat znani są też polskim czytelnikom. Zainteresowanie mangą i anime w Polsce zaczęło się w połowie lat 90., gdy na Polsat emitował „Czarodziejkę z Księżyca". W 1996 r. powstało Japonica Polonica Fantastica, największe dziś polskie wydawnictwo specjalizujące się w mandze. O skali ich popularności świadczy fakt, że publikują ponad 80 tytułów rocznie.

Pisarka z TikToka i Bookera

Choć japońską literaturę najliczniej reprezentują mangacy, to coraz popularniejsi stają się również japońscy pisarze i pisarki. A to dzięki TikTokowi.

Ten portal społecznościowy ma na rynku książki wielką moc sprawczą.

Gdyby nie popularność hasła „stoicyzm" na TikToku, rzymski cesarz Marek Aureliusz, nie zostały bestsellerowym autorem niemal dwa tysiące lat po swojej śmierci. W 2023 r. jego książki sprzedały się w Wielkiej Brytanii w ponad 92 tysiącach egzemplarzy. Autor „Rozmyślań" był popularniejszy od norweskiego mistrza kryminałów Jo Nesbø.

Skoro udało się Markowi Aureliuszowi, to tym bardziej musiało się udać Mieko Kawakami. Dlaczego? Otóż jest wyrazista, ma przesłanie, a z bohaterkami jej powieści mogą identyfikować się zarówno starsi czytelnicy, jak i licealiści.

Kawakami, rocznik 1976, w 2008 r. po opublikowaniu opowiadania „Piersi i ja-

eprasa.pl ab36aaa8da

jeczka” (tłum. Anna Horikoshi) i otrzymaniu za nie prestiżowej nagrody im. Akutagawy, stała się jedną z najpopularniejszych, ale też wzbudzających kontrowersje japońskich pisarek. Feministyczne opowiadanie zirytowało tradycjonalistów tym, że bez upiększeń i zbędnych metafor opisuje życie kobiet. Liberalniej nastawieni czytelnicy, a zwłaszcza czytelniczki, były zachwycone.

Pisarka niemal z dnia na dzień stała się w Japonii ikoną feminizmu.

Jeszcze większą sławę zyskała po tym, gdy w 2017 r. przeprowadziła wywiad z legendą literatury japońskiej Harukim Murakamim. Pisarz zawsze pochlebnie wypowiadał się o jej twórczości, więc nikt nie spodziewał się, że Kawakami zada mu pytania krytyczne wobec jego twórczości. Tymczasem zarzuciła Murakamiemu m.in. faworyzowanie mężczyzn jako głównych bohaterów powieści. Autor „Kronik ptaka nakręcacza” próbował się tłumaczyć, mówiąc, że nie interesuje go postać, a to jak wchodzi w interakcje ze światem, ale to było za mało.

Popularność Kawakami rosła także w Europie. W 2020 r. po angielsku ukazały się „Piersi i jajeczka”, rok później „Heaven”, która to powieść otrzymała nominację do Międzynarodowego Bookera. Od nominacji do sukcesu u czytelników droga bywa daleka, ale nie w tym przypadku.

Czytelnicy pokochali „Heaven”, powieść o dwójce 14-latków – chłopcu i dziewczynie – którzy nawiązują przyjaźń opartą na wspólnych doświadczeniach i traumie nieustannego bycia prześladowanymi w szkole. Z taką historią utożsamiają się (nie tylko) młodzi czytelnicy, nic więc dziwnego, że tysiące użytkowników i użytkowniczek TikToka z zachwytem opowiadało o tej powieści, nagrywając setki filmów. Obie książki ukazały się po polsku w przekładzie Anny Horikoshi („Heaven” z angielskim tytułem).

Błędne koło TikToka

TikTok nie lubi niczego co pośrodku. Albo jesteś viralem i doskonale „się klikasz”, albo nikt cię nie zna, nawet jak się bardzo starasz. Dla książek oznacza to, że tylko kilka z nich ma szansę na zostanie bestsellerem Booktoka, jak nazywa się społeczność czytelnicza. Algorytmy wspierają to, co się klika. Trochę błędne koło. Ale coś sprawiło, że Japończycy pokonali upiora algorytmu. I na półkach księgarń – także w Polsce – bez trudu znajdziemy japońskich autorów i autorki.

Adam Freudenheim, dyrektor brytyjskiego wydawnictwa Pushkin Press, w rozmowie z KyodoNews mówił, że fala popularności japońskiej literatury rozpoczęła się wraz z powieścią „Dziewczyna z konbini” Sayaki Muraty, która ukazała się po angielsku w 2018 r., a rok później po polsku w przekładzie Dariusza Latosia.

To opowieść o 36-letniej kobiecie, która pracuje w konbini, jednym z sieciowych sklepów wielobranżowych. Bohaterka nie chce się dopasować do społecznych wymogów, lubi korporacyjny styl pracy w konbini, a jej poukładane życie zmienia się wraz z pojawieniem się w sklepie Shiraha, podobnego do niej mężczyzny.

Taka postać musiała podbić serca czytelników. Kto nie czuje się trochę wyobcowany? Kto nie czuje, że potrzebuje wielkich zmian? I kto nie chce poznać tajemnic pracy w konbini?

Murata oferuje też wysoką jakość literacką. To z pewnością pomogło w sukcesie tej książki, ale nie było decydujące.

„Bananomania”

Z Freudenheimem nie zgodzą się ci, co pamiętają „Kuchnię” Banany Yoshimoto (tłum. Anna Zielińska-Elliott), wspaniałą, dopieszczoną pod każdym względem opowieść o Mikage, która radzi sobie z żałobą dzięki pomocy poznanego przypadkiem chłopaka i jego transpłciowej matki. Książka ukazała się w Japonii w 1988 r. i odniosła olbrzymi sukces. Mówiło się wręcz o „bananomanii”.

Freudenheim zauważył również, że atrakcyjność japońskich powieści polega nie tylko na tym, że oferują „obcość lub dziwność, ale też są krótkie”. Tu trudno się z nim nie zgodzić. Powieść Muraty liczy w polskim wydaniu zaledwie 144 strony. Podobnie „Kuchnia” Yoshimoto i dziesiątki innych japońskich dzieł.

FOT. SHUTTERSTOCK

Gdyby nie popularność hasła „stoicyzm” na TikToku, Marek Aureliusz nie zostałby bestsellerowym autorem niemal dwa tysiące lat po swojej śmierci

Murata otworzyła rynek angielski dla innych pisarek z Japonii, m.in. dla Yoko Ogawy i jej „Podziemie pamięci” (tłum. Anna Karpiuk), które było nominowane m.in. do Międzynarodowego Bookera w 2020 r. i znalazło się w finale National Book Award w kategorii przekładu. Inną autorką, na którą warto zwrócić uwagę jest, Hiroko Oyamada, której zbiór opowiadań „Ogród” (tłum. Anna Wołcyrz) również ukazał się niedawno po polsku.

Ogawa i Oyamada to pisarki mające ambicje artystyczne.

Jednak większość „japońskiej fali” to książki o mniejszych ambicjach. Pod tagiem #Japanesebooks na TikToku króluje Toshikazu Kawaguchi.

O co chodzi z tą kawą?

Nie chciał pisać powieści. Marzyło mu się bycie mangaką. Mówi o tym w każdym wywiadzie. Jednak zainteresowanie wydawców mangami Kawahuchiego było zbyt słabe, by mógł się utrzymać z ich tworzenia.

– Gdy miałem 22 lata, zacząłem pisać sztuki teatralne. Robię to do dziś – opowiadał podczas pobytu we Francji.

W 2013 r. jego sztuka „Zanim kawa wystygnie” wygrała ważny konkurs dramaturgiczny. Kawaguchi: – Znajoma redaktorka zaproponowała mi, żebym na jej podstawie napisał powieść.

Sześć lat później, w 2018 r., sprzedano w Japonii milionowy egzemplarz powieści, a reżyserka Ayuko Tsukahara przeniosła ją na ekran. Ekranizacja również była sukcesem, zarabiając w japońskich kinach ponad miliard jenów (sześć milionów dolarów). Kawaguchi dyskontował sukces, pisząc kolejne części powieści, oparte o ten sam motyw – podróż w czasie.

„Gdybyś mógł cofnąć się w czasie, z kim chciałbyś się spotkać?” – brzmi motto powieści Kawaguchiego przełożonej przez Joannę Dżdżę). Pisarz opowiada historię osobliwej kawiarni, która oferuje niezwykłą usługę – pozwala klientom podróżować w czasie. Jest tylko jedna zasada – muszą wrócić, zanim wystygnie kawa. W pierwszym tomie poznajemy czterech podróżników, którzy postanawiają załatwić przeszłe sprawy.

Japoński Coelho? Czyli o „cosy fiction”

Krytyka nie zawsze jest przychylna Kawaguchiemu. Izabella Adamczewska pisała w „Książkach. Magazynie do czytania”, że „wątłe opisy sprawiają wrażenie rozbudowanych didaskaliów, a bohaterowie są papierowi”. Ian J. Battaglia z „Chicago Review of Books” był łagodniejszy i pisał w recenzji, że „pomimo sporadycznych niezdarności, narracja jest głęboko poruszająca”.

Czytelników na całym świecie poruszyło, więc opinie krytyków są tylko tłem do niezwykłej popularności japońskiego pisarza, który lubi podróże nie tylko w czasie. W tym roku odwiedzi Polskę już po raz drugi. W 2023 r. pisarz wygrał w plebiscycie portalu Lubimyczytac.pl w kategorii „literatura piękna”.

Kawaguchi jest najbardziej znanym pisarzem z Japonii tworzącym „cosy fiction”, czyli powieści po prostu przyjemne. W przeciwieństwie do dawnego pokolenia twórców, którzy jak Yukio Mishima, Osamu Dazai czy Yasunari Kawabata, dzielili się z czytelnikami traumatycznymi przeżyciami, pokolenie pisarzy „tiktokowych” chce opowiadać przyjemne historie.

Uwaga! Wbrew temu, co może czytelnik tego tekstu pomyśleć, nie mamy do czynienia z ludźmi w wieku tuż-po-studenckim. Większość twórców japońskiego „cosy crime” to 50-latkowie.

Przyjemne historie opowiada Hiro Arikawa w „Kronikach kota podróżnika” (tłum. Anna Horikoshi) reklamowanym w Polsce hasłem „najbardziej wzruszająca opowieść od czasu «Oscara i pani Róży«”, czyli kiczowatej, acz bardzo popularnej powiastki Érica-Emmanuela Schmitta.

Wśród gwiazd tej nowej japońskiej specjalności jest też Michiko Aoyama, której „Wszystko, czego szukasz, znajdziesz w bibliotece” (Andrzej Świrkowski) ukaże się po polsku w maju. Nie można zapomnieć o Sōsuke Natsukawie z „O kocie, który ratował książki” (tłum. Anna Zalewska) i Mai Mochizuki, której „Kawiarnia Pod Pełnym Księżycem” (tłum. Barbara Słomka) ociera się o nieudaną parodię Kawaguchiego – znikająca herbaciarnia, kelnerujące koty i „magiczna atmosfera”. Autorka przez trzy lata od japońskiej premiery książki zdążyła już napisać cztery tomy kontynuacji.

Odrobinę wyższy poziom prezentuje „Moje miejsce w antykwariacie Morisaki” Satoshiego Yagisawy (tłum. Dariusz Latoś), również międzynarodowy hit.

Co przed (i za) nami?

Tajemnica nowego boomu na japońską literaturę tkwi w „dziwności”, kiedyś zwanej egzotyką. Media społecznościowe uwielbiają oryginalność. Ale jedynie, gdy jest to oryginalność, którą rozumiemy. Nie przyciągnie dziwaczna oryginalność. A literatura japońska, zwłaszcza najnowsza, wciąż zachowuje odrębność od europejskiej czy amerykańskiej tradycji, jednocześnie doskonale się do niej adaptując.

O tym, że warto jednak sięgać też po starsze japońskie książki, przekonali się brytyjscy miłośnicy kryminałów.

Hitem ostatnich miesięcy jest powieść autora, który nie żyje od ponad 40 lat. Seishi Yokomizo łączy – ponoć – „japońskie podejście” z tradycyjnym brytyjskim kryminałem w stylu Agathy Christie. Jak mówi Freudenheim: „jest zarówno znajomy, jak i inny jednocześnie”.

Wydany po angielsku w 2019 roku „The Honjin Murders”, pierwszy tom serii przygód detektywa Kosuke Kindachiego, do dzisiaj sprzedał się w nakładzie ponad 200 tys. egzemplarzy. To fakt tym bardziej zaskakujący, że mowa o książce opublikowanej oryginalnie w 1947 r. Pushkin Press wydało już sześć powieści Yokomizo. Jak pisał recenzent „Los Angeles Review of Books”, powieści japońskiego twórcy to „doskonałe antidotum na przewidywalność powieści kryminalnych”.

Czyżby w japońskiej literaturze tkwiło antidotum na europejską i amerykańską przewidywalność? A może już za chwile boom wygaśnie, podobnie jak stało się to ze „skandynawami”?

Jeśli zaś chcecie sięgnąć po jakąś japońską książkę, to poza kilkoma tu wymienionymi warto odwiedzić antykwariat w poszukiwaniu „Krainy śniegu” Yasunariego Kawabaty (tłum. Wiesław Kotański). To książka o nieprawdopodobnym wręcz zagęszczeniu poetyckiej frazy i symboliki. Otwiera ją jedno z najpiękniejszych pierwszych zdań w historii literatury: „Z długiego tunelu przecinającego granicę dwu okręgów wjechało się w krainę śniegu”. Gdybym mógł cofnąć się w czasie, chciałbym się spotkać z Kawabatą. I mogę pić wtedy nawet chłodną kawę. ●

Japoński boom w polskich księgarniach. Po co sięgnąć?

- Wszystkie wymienione tytuły mang ukazały się po polsku. Paweł „Rep” Dybała przełożył „One Piece” i „Uzumaki”, Rafał „Kabura” Rzepka „Dragon Ball”, a pozostałe Wojciech Gęszczak.
- Przy wszystkich przełożonych tytułach powieści podałem nazwiska tłumaczek i tłumaczy. A co warto przeczytać z japońskich nowości?
- Michiko Aoyama, „Wszystko, czego szukasz, znajdziesz w bibliotece”, tłum. Andrzej Świrkowski, wyd. Relacja, premiera 15 maja 2024 r.
- Mieko Kawakami, „Piersi i jajeczka”, tłum. Anna Horikoshi, wyd. Mova
- Toshikazu Kawaguchi, „Zanim wystygnie kawa” (trzy części), tłum. Joanna Dżdża, wyd. Relacja
- Mai Mochizuki, „Kawiarnia Pod Pełnym Księżycem”, tłum. Barbara Słomka, wyd. W.A.B.
- Satoshi Yagisawa, „Moje miejsce w antykwariacie Morisaki”, tłum. Dariusz Latoś wyd. Kwiaty Orientu

eprasa.pl ab36aaa8da

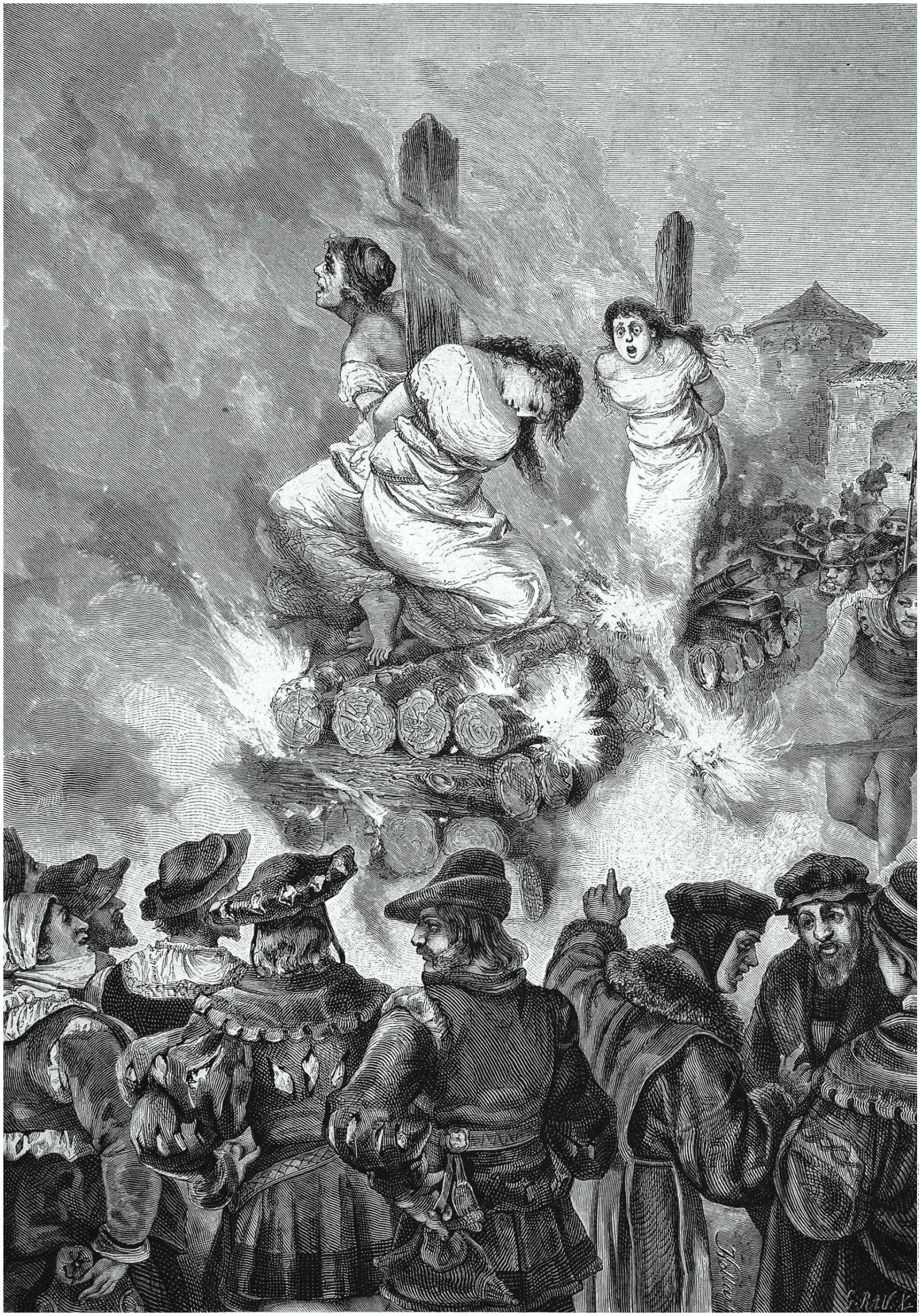

FOT. SUNNY CELESTE / ALAMY STOCK PHOTO

1 RP

eprasa.pl ab36aaa8da

DEMONOLOGIA SĄSIEDZKA

Niestety nie jesteśmy wyłącznie córkami czarownic, których nie udało się spalić.
Jesteśmy także córkami ich sąsiadek, które na nie donosiły

Anna Brzezińska

W grudniu 1608 r. młoda kobieta, Maria de Ximildegui, wróciła do baskijskiej wioski Zugarramurdi. Poprzednich kilka lat spędziła na służbie po drugiej stronie granicy, we francuskiej Baskonii, skąd pochodzili jej rodzice. Niebawem zaczęła opowiadać o swoim życiu we Francji. Wspominała, jak wprowadzono ją na sabat, gdzie wyrzekła się wiary chrześcijańskiej i Boga. Twierdziła, że tutaj także odbywają się sabaty i bywają na nich inni mieszkańcy Zugarramurdi, a ona zna ich wszystkich. Jako pierwszą wskazała inną młodą kobietę – Marię de Jureteguia.

Jej opowieści były tak sugestywne, że przestraszeni wieśniacy zaczęli naciskać na Marię de Jureteguia, by się przyznała. Na wieść, że właśnie została czarownicą, Maria de Jureteguia zemdlała ze strachu. Ale kiedy się ocknęła, przyznała, że Maria de Ximildegui mówi prawdę o czarach i sabatach, zaś ją samą diabelskich sztuk nauczyła ciotka. Wskazała kolejne dwie dziewczyny jako wspólniczki diabła, ale była przerażona, że porwą ją czarownice, które wszak zdradziła, i diabeł znów nią zawładnie.

Wobec tego jej mąż zorganizował grupę sąsiadów, by nocami strzegła ich domu. Obrońcy Marii de Jureteguia twierdzili potem, że widywali diabła i czarownice podkradające się pod postacią psów, kotów i świń. Wdarły się nawet do domu i uciekły dopiero wtedy, gdy Maria uniosła różaniec nad głowę i oznajmiła, że wróciła do Boga. Rano okazało się, że czarownice zniszczyły dobytek jej teścia.

Po tym wydarzeniu w Zugarramurdi wieśniacy zaczęli włamywać się do domów sąsiadów w poszukiwaniu dowodów czarów. Podejrzanych wleczono do księdza, grożąc im torturami, jeśli się nie przyznają. Ze strachu rzekome czarownice – płci obojga – wskazywały wspólników. Nim minął miesiąc, co najmniej 10 mieszkańców Zugarramurdi wyznało w kościele parafialnym, że są czarownicami, błagając o wybaczenie za wyrządzone krzywdy.

Zugarramurdi należało do opactwa norbertanów z Urdax. Prawdopodobnie to właśnie mnisi zawiadomili trybunał inkwizycyjny w Logroño, że wśród bogobojnych baskijskich pasterzy, rybaków i rolników raptem ulęgła się sekta czarownic. Inkwizytorzy z Logroño wysłali więc w teren swoich urzędników, żeby przesłuchali świadków. Po zebraniu zeznań wezwano cztery podejrzane kobiety. Kolejnych wieśniaków – trzy kobiety i trzech mężczyzn – z własnej inicjatywy wynajęło przewodnika i ruszyło do Logroño, by się oczyścić z zarzutów. Zgodnie twierdzili, że nie są żadnymi czarownicami, a przyznali się tylko z powodu fałszywych oskarżeń i presji sąsiadów. Wszyscy trafili do więzienia inkwizycji.

Strach w służbie monarchii

Hiszpańska inkwizycja nie była przyjazną instytucją. Zajmowała się zwalczaniem herezji, ale ściganie czarownic nie stanowiło jej priorytetu. Została powołana pod koniec XV wieku i początkowo zajmowała się głównie prześladowaniem tzw. nowych chrześcijan, czyli konwertytów żydowskich, których wpływy stare elity chciały ograniczyć. Z czasem zaczęła ścigać również herezje i występki moralne starych chrześcijan, od humanistycznego wolnomyślicielstwa po zoofilię.

Po wystąpieniu Marcina Lutra ze szczególną zajadłością występowała przeciwko protestantom, nic więc dziwnego, że pod piórem protestanckich autorów już w XVI wieku stała się synonimem okrucieństwa, obskuranctwa i religijnego fanatyzmu. Choć była instytucją kościelną, nie podlegała papieżowi, tylko monarchii, więc w przypadku sporów z papiestwem – co nie zdarzało się często – stawała raczej po stronie hiszpańskiego władcy i współpracowała z nią na tyle lojalnie, że w buntujących się niderlandzkich prowincjach czy w Anglii uważano ją za narzędzie habsburskiego absolutyzmu i terroru.

Niemniej działalność inkwizycji, zwłaszcza na początku swojej historii, budziła opór także w Hiszpanii. Oburzała sekretność postępowania inkwizycyjnego, konfiskowanie majątków skazanych oraz obarczanie dzieci konsekwencjami grzechów rodziców, gdyż potomkom zatwardziałych heretyków ograniczano dostęp do urzędów i kariery w Kościele. Przede wszystkim jednak strach budziły tajemnica spowijająca działania inkwizytorów, sekretne cele, w których można się było znaleźć wskutek donosu, publiczne auto-da-fe skazanych za herezję. Inkwizycja świadomie wykorzystywała ten strach i bywał on niezmiernie skutecznym narzędziem przymusu.

Ze względu na niekompletność źródeł trudno dzisiaj oszacować liczbę ofiar hiszpańskiej inkwizycji. Najczęściej przyjmuje się obecnie, że na podstawie jej wyroków stracono 3 000 osób, z czego 2 000 przed 1530 r., choć zdarzają się też szacunki dwukrotnie wyższe. Rzekome czarownice stanowiły znikomą ich część. Szacuje się, że w Hiszpanii inkwizycja skazała na śmierć kilkadziesiąt rzekomych czarownic. Starano się je raczej edukować i nakłaniać do skruchy niż palić.

Heretyk spotyka czarownicę

Europejskie średniowiecze było pełne magii. Ludzie wiedzieli, że zaklęciami, magicznymi remediami, woskowymi figurkami, amuletami, napojami czy kąpielami można kogoś przyprawić o chorobę, wyszukać zgubę, wzniecić miłość bądź nienawiść, zaskarbić sobie przyjaciół albo szczęście w grze w kości, przewidzieć przyszłość, zniszczyć plony lub inwentarz, przywołać burzę, uzdrowić czy zabić. Chrześcijaństwo wprawdzie zdemonizowało magię i powiązało z demonami i diabłem, ale ludzie powszechnie się do niej uciekali. Praktyki magiczne i zabobony splatały się z wiedzą i wiarą. Księża czytali magiczne księgi i zaklinali demony, by wskazały im skarby i objawiły przyszłość, pobożni ludzie nosili amulety i podkradali sakramentalia, żeby zapewnić sobie zdrowie, płodność i urodzaj, a uzdrowicielki uważały się za bogobojne chrześcijanki.

> Inkwizytorzy nie wierzyli w kobiece czary, kościelne elity były sceptyczne, nocne loty i wizyty diabła uważano za złudzenie senne

Ale średniowieczny diabeł pozostawał – zgodnie ze słowami ewangelii – kłamcą i ojcem kłamstwa, co wzbudzało wśród kościelnych elit sceptycyzm wobec wyczynów czarownic. Wprawdzie potępiano kobiety, które nocami wędrują po niebie w orszaku bogini Diany albo Herodiady, ale same nocne loty uważano za złudzenie senne, nie zaś rzeczywistość. Przekonanie to, zapisane w Canon Episcopi, niezmiernie wpływowym tekście, który od X wieku był włączany do zbiorów prawa kanonicznego, przez wiele stuleci stanowiło dowód słabości diabła, który odgrywał swoją rolę w wielkim planie stworzenia i mógł skutecznie mamić i przywodzić do grzechu, lecz pozostawał słabszy od Boga. Od jego ofiar, zwiedzionych przez diabła czarowników i czarownic, oczekiwano skruchy, pokuty i nawrócenia.

Wbrew popularnym dzisiaj przekonaniom w średniowieczu nie palono czarownic. Dopiero w XIV i XV w. diabeł i jego sługi zaczęli budzić coraz większy lęk. Spore zasługi pod przyszłe polowanie położył papież Jan XXII, który zezwolił inkwizytorom, by sądzili oskarżonych o praktyki magiczne zgodnie z procedurami i zasadami wypracowanymi wobec heretyków. Zmiana procedury sądowej była niezmiernie istotna. Dotychczas praktykujący magię co do zasady stawali przed sądem wówczas, gdy ktoś z ich powodu poczuł się skrzywdzony i wniósł oskarżenie. Jeśli nie potrafił go dowieść, sam mógł stać się oskarżonym – o zniesławienie, ponieważ nazwanie kogoś czarownicą stanowiło dotkliwą obelgę.

Nowy typ procesu

Tymczasem proces inkwizycyjny zdejmował z oskarżyciela odpowiedzialność i traktował czary jak szczególne przestępstwo, które, jak herezję, można było ścigać niejako z urzędu, na podstawie donosu albo wręcz złej sławy. Zarazem jednak postępowanie było poddane wielu rygorom. Oskarżonemu przydzielano obrońcę, zaś wyrok opierano przede wszystkim na zeznaniach oskarżonych. Za koronę dowodów uchodziło przyznanie się do winy, a żeby je uzyskać, dopuszczano tortury, choć podlegały one ograniczeniom i nie mogły doprowadzić do trwałego okaleczenia czy śmierci więźniów.

Żeby wszystko bardziej skomplikować, elementy procedury inkwizycyjnej przeniknęły do postępowań sądów świeckich, acz nadal też zdarzały się procesy z oskarżenia osoby skrzywdzonej czarami. Zwyczajnych ludzi mniej bowiem interesowały herezje, apostazja czy kult diabła, bardziej zaś praktyczny i codzienny wymiar czarów: nagła śmierć dziecka, choroba inwentarza, nieurodzaj, bezpłodność, impotencja. Czarownictwo pozostawało więc przestępstwem mieszanym i bywało sądzone w różnych jurysdykcjach, przed sądami kościelnymi i świeckimi.

W XVII-wiecznej Hiszpanii inkwizycja miała prawo sądzić czarownice jako heretyczki. Inkwizytorzy byli przekonani, że oskarżenia o herezję są ważniejsze niż o szkody wyrządzone bliźnim, a więc to oni mają pierwszeństwo w sądzeniu czarownic. Poza tym uważali, że dysponują znacznie lepszymi procedurami i sposobami dochodzenia do prawdy. Wbrew pozorom nie były to tortury. Hiszpańska inkwizycja uciekała się do nich rzadziej niż sądy świeckie.

Sekta czcicielek diabła

Czarownice z Zugarramurdi osadzono w inkwizycyjnym więzieniu w Logroño, ale z początku inkwizytorzy nie bardzo wiedzieli, jak z nimi postępować. Ostatni proces czarownic odbył się tutaj w 1596 r., lecz rezydujący obecnie w Logroño główny inkwizytor Alonso Becerra Holguin i jego pomocnik Juan de Valle Alvarado nie brali w nim udziału. W miesiąc po uwięzieniu pierwszych czarownic powiadomili więc Supremę, czyli radę inkwizycyjną pod kierownictwem generalnego inkwizytora, o swoich odkryciach i czekali na instrukcje Hiszpańska inkwizycja była bowiem scentralizowaną, biurokratyczną instytucją i Suprema nadzorowała pracę terenowych trybunałów, takich jak ten w Logroño, wyrażała zgodę na wszczęcie śledztw, przyznawała fundusze i autoryzowała wyroki.

Zgodnie z tradycją średniowiecznego sceptycyzmu instrukcje Supremy z 1526 i 1555 nakazywały inkwizytorom przede wszystkim sprawdzać, czy wyczyny na sabacie się oskarżonym nie przyśniły.

eprasa.pl ab36aaa8da

Lecz rada inkwizycyjna miała świadomość, że w XV wieku ustaliła się nowa koncepcja czarów, którą uosabiał osławiony „Młot na czarownice", traktat niemieckiego inkwizytora Heinricha Kramera (współautorstwo Jakoba Sprengera jest obecnie mocno kwestionowane), wydany po raz pierwszy w 1487 r. i wielokrotnie wznawiany. Heinrich Kramer – i wielu innych autorów traktatów o czarownicach – nie ośmielił się otwarcie zakwestionować wcześniejszej tradycji kanonicznej, ale argumentował, że Canon Episcopi dotyczy innego zjawiska, podczas gdy on sam pisze o realnej obecności diabła w fizycznym świecie i prawdziwych czarach, wyrządzających prawdziwe krzywdy.

Nowa teoria czarów opierała się na przekonaniu, że czary są prawdą, nie zaś złudzeniem czy snem, a czarownice – heretycką sektą, której członkowie świadomie wyrzekają się Boga i zawierają pakt z diabłem, ten zaś użycza im swojej mocy, by mogły naprawdę szkodzić pobożnym chrześcijanom za pomocą magii. Uznano, że czarownice rzeczywiście latają na sabaty, by odprawiać czarne msze i oddawać cześć diabłu, uprawiają perwersyjny seks z diabłem lub demonami, dokonują kanibalizmu i popełniają rozliczne nikczemności. Słowem, wykorzystano elementy znane z wcześniejszego stereotypu heretyckich sekt oraz tradycję literacką sięgającą czasów antyku, kiedy pogańscy pisarze z pogardą opisywali nową żydowską sektę, chowającą się w katakumbach, by sekretnie mordować dzieci i popełniać najpotworniejsze nieprawości – czyli chrześcijan.

Nową koncepcję czarów stworzyli intelektualiści, którzy, nawet jeśli byli duchownymi, świetnie znali wcześniejsze literackie tradycje, poczynając od Kirke, która zmieniła towarzyszy Odyseusza w zwierzęta i stała się symbolem niebezpieczeństw czyhających na porządnych mężczyzn, jeśli zanadto owładną nimi namiętności.

Renesans z lubością sięgał po materię antyczną, a więc i po czarownice z pism dawnych mistrzów. Także „Młot na czarownice" jest naszpikowany odniesieniami do Cycerona, Terencjusza, Katona czy Seneki. Literatura splatała się z rzeczywistością. Jean Bodin, francuski prawnik i autorytet demonologiczny, stawiał przykłady z literatury klasycznej na równi ze współczesnymi relacjami o zbrodniach czarownic. Skoro bowiem całkiem prości ludzie i stare kobiety, które nie czytały Plutarcha, Herodota czy Flawiusza Filostrata ani nie rozmawiały z czarownicami z Niemiec czy Włoch, tak się z nimi we wszystkim zgadzają, pisał, czyż nie jest to najlepszy dowód na prawdziwość czarów?

Renesans i reformacja oświetlone stosami

Traktaty demonologiczne pisane przez teologów, inkwizytorów, prawników, lekarzy utorowały drogę polowaniu na czarownice. Wyzwalaczem było zrównanie czarów z herezją, uznanie ich za super-przestępstwo i ustalenie nowej ścieżki prawnej, czyli procesu inkwizycyjnego. Ale stworzona wśród elit nowa teoria czarów na różne sposoby wchodziła w dialog z kulturą ludową, pełną zabobonów, magicznych wierzeń i lęku przed czarownicami. Znaczną rolę w spopularyzowaniu nowej koncepcji czarów odegrały zakony żebracze i wędrowni kaznodzieje rozpowszechniający opowieści o czarownicach, które są bezwzględnie posłuszne diabłu, mordują niemowlęta i sycą trucicielskie dekokty.

Najczęściej przyjmuje się, że polowanie na czarownice rozpoczęło się w Alpach i stamtąd rozpowszechniło się dalej, od Włoch po Finlandię. W XIX wieku liczbę jego ofiar szacowano nawet na 9 milionów, lecz dekady badań historycznych bardzo mocno ograniczyły tę liczbę. Obecnie najczęściej przyjmuje się, że w latach 1400-1775 o czarownictwo w Europie i kolonialnej Ameryce oskarżono ok. 100 000 – 110 000 osób, z czego stracono ok. 50 000 osób. Najwięcej czarownic, ponad połowę wszystkich ofiar, zabito w krajach niemieckojęzycznych, głównie cesarstwie, co należy tłumaczyć rozproszoną naturą tamtejszej władzy i słabym systemem apelacyjnym. Wiele najgorszych, najbardziej krwawych polowań wydarzyło się w małych kościelnych państewkach, w Ellwangen, Würzburgu czy Bambergu, ale zarówno katolicy, jak i protestanci żarliwie wierzyli w czarownice i równie zajadle starali się ich pozbyć.

Sąsiedzi

Zdecydowaną większość – szacuje się, że 75 do 80 proc. – ofiar polowania na czarownice stanowiły kobiety, stąd też wielu badaczy traktuje polowanie na czarownice jako fundamentalnie kobiecy fenomen, identyfikując się z ofiarami, zaś w czarownicach widząc figurę budzącej strach, monstrualnej kobiecości. Twórcy nowej teorii czarownictwa oczywiście byli mizoginistami w tymi znaczeniu, że odziedziczyli wielowiekową tradycję uprzedzeń przeciwko kobietom, poczynając od Arystotelesa, który uważał kobietę za niedoskonałego mężczyzny, poprzez Biblię z kobietami jako córkami Ewy, bardziej podatnymi na grzech, aż po tradycje pogańskie, w których czary uważano za typowe kobiece zajęcie. Bez wątpienia byli przekonani, że kobiety są słabsze intelektualnie i moralnie, toteż łatwiej ulegają diabłu, także poprzez swoją seksualność, której nie potrafią kontrolować. Jednakże opisując nowożytne polowanie na czarownice w kategoriach kobiet-ofiar i mężczyzn-prześladowców, drastycznie je upraszczamy. Istniały regiony, chociażby Normandia, Estonia czy Islandia, gdzie zdecydowaną większość czarownic stanowili mężczyźni. Natomiast kobiety, choć z racji płci nie pełniły funkcji w instytucjach sądowniczych i nie wydawały wyroków, z taką samą gorliwością, co mężczyźni, inicjowały polowania, donosiły na sąsiadów, zeznawały o krzywdach wyrządzonych przez rzekome czarownice i uczestniczyły w samosądach.

Polowanie na czarownice nie było bowiem – jak się je niekiedy wciąż przedstawia – wyłącznie skutkiem bigoterii i nietolerancji Kościoła, inkwizytorów, sędziów czy demonologów. Odpowiadało na oczekiwania zwyczajnych ludzi, którzy wiedzieli, że czarownice istnieją i szkodzą innym. Ochoczo inicjowali postępowania, donosili i zeznawali na swoich sąsiadów, gorliwie wcielając w życie biblijny nakaz „Nie pozwolisz żyć czarownicy". Większość oskarżeń powstawało na poziomie lokalnym, a proces często stanowił zwieńczenie lat konfliktów sąsiedzkich, zadawnionych urazów i krzywd. Postawa społeczności była kluczowa, bo opinia, jaką się cieszyli oskarżeni, miała wartość dowodową. Jeżeli oskarżeni cieszyli się poważaniem i sympatią, byli w stanie mobilizowali swoich sąsiadów, którzy zaświadczali o ich moralności, pisali petycje i docierali do notabli, by utrącić postępowanie sądowe.

Równie istotna było nastawienie władz, które musiały wziąć serio oskarżenia. Niekiedy polowania na czarownice były rządzącym na rękę, jak na przykład w Salsburgu, od 1675 r. przez ładnych parę lat ścigano Zaubererjackla, młodego czarodzieja-włóczęgę, który jakoby wędrował po Alpach w towarzystwie młodych żebraków, których przyuczał do czarnoksięstwa. Nigdy go nie znaleziono, lecz stracono ponad 130 osób, w tym co najmniej 56 chłopców w wieku od 9 do 16 lat, co stanowiło część krucjaty władz miejskich przeciwko włóczęgostwu. Ale zdarzało się też, że władze usiłowały powściągnąć polowanie na czarownice, widząc jego głębokie negatywne skutki dla społeczeństw. Na przykład w Rothenburgu władze tak zażarcie ścigały pomówienia o czarownictwo, że obywatele nie kwapili się donosić na sąsiadów.

Nie wierzcie we wszystko, co napisano w „Młocie na czarownice"!

Hiszpańska inkwizycja z założenia pozostawała instytucją konserwatywną: powołano ją wszak do walki z herezjami, które były niebezpiecznymi nowinkami. Pomimo wysypu traktatów demonologicznych Suprema powątpiewała w realność czarów i istnienie sekty czarownic. W 1526 r. z inkwizytor generalny Alonso de Manrique zwołał w Grenadzie specjalny komitet teologów i kanonistów, którzy nad tym debatowali, czy czarownice naprawdę popełniają przypisywane im ohydne występki, czy też są zwodzone przez diabła, tak by myślały, że ich czary są prawdziwe. Minimalną większością głosów, przy 6 głosach „za", przy 4 „przeciw", uznano realność czarów, lecz zwykle czarownicom wymierzano łagodne kary.

W 1538 r. Suprema wręcz napominała swoich terenowych funkcjonariuszy w Nawarze, żeby nie wierzyli we wszystko, co jest napisane w „Młocie na czarownice". Przypominała, że „Młot" mówi o czarach tak, jakby były realne, podczas gdy jest to taka materia, że można zostać oszukanym. Innymi słowy, nawet wyznanie czarownicy nie było wystarczające, by ją skazać, bo i czarownica mogła zostać oszukana i zwiedziona przez diabła.

Suprema starała się ograniczać i kontrolować procesy czarownic. Jedna z większych egzekucji odbyła się w Katalonii w 1549 r., kiedy po wyroku inkwizycji spalono 7 kobiet. Po egzekucji Suprema wysłała inkwizytora Francisco Vacę, który po zbadaniu śledztwa nakazał uwolnić pozostałych uwięzionych i zwrócić skonfiskowany majątek. W raporcie do rady inkwizycyjnej skwitował, że jego zdaniem większość spraw o czary jest równie śmieszna jak ta. Po tym wydarzeniu w Katalonii nie odbyła się już żadna egzekucja czarownicy.

Wobec rewelacji wieśniaczek z Zugarramurdi Suprema również przyjęła zachowawczą postawę. Przesłała bardzo szczegółowy kwestionariusz i nakazała inkwizytorom z Logroño, by dokonali wizytacji, czyli ruszyli w teren. Pomimo to żaden z tamtejszych inkwizytorów się nie kwapił do podróży i związanych z nią niewygód. Przy kolejnych ponagleniach tłumaczyli się, że mają tak strasznie dużo pracy z aresztowanymi czarownicami, że muszą pracować w niedziele i święta. Ostatecznie dopiero we wrześniu 1609 r. Valle niechętnie wyruszył na wizytację.

Diabeł pochodzi z Francji

Na miejscu opat norbertanów z Urdax zapewnił go, że cała okolica roi się od czarownic, a po francuskiej stronie granicy jest ich jeszcze więcej i od kilku miesięcy trwa tam w tej sprawie śledztwo. Valle skontaktował się z francuskimi łowcami czarownic, ci zaś przekonywali o potędze czarownic, które uciekając przed francuskim wymiarem sprawiedliwości, dokonują prawdziwej inwazji na spokojne baskijskie wioski i oddają cześć diabły. Francuscy urzędnicy domagali się nawet wydania zbiegłych francuskich czarownic, ale Suprema nie wyraziła na to zgody, zauważywszy przytomnie, że zbiegłe kobiety nie dopuściły się na terenie Hiszpanii żadnych przestępstw i nie wiadomo, czy w ogóle są czarownicami, a jeśli popełniły przestępstwa przeciwko hiszpańskim poddanym, to niech się nimi zajmuje władza świecka, ale miejscowa, nie francuska.

Wioski pełne czarownic

Valle nie znalazł żadnych materialnych dowodów czarownictwa, żadnych wiedźmich pomocników pod postacią ropuch czy jaszczurek, żadnych magicznych dekoktów czy maści pozwalających latać. Ale przesłuchiwani potwierdzali zeznania uwięzionych w Logroño. Informował więc Supremę, że baskijskie czarownice zawierają pakt z diabłem i czczą go jako swojego pana, wyrzekając się chrześcijaństwa i sprzeniewierzając się własnemu chrztowi. Sabat stanowił całkowite odwrócenie chrześcijańskich norm. Jedzono tam ciała martwych ludzi, w tym dzieci, i spółkowano ze sobą bez względu na płeć. Diabeł królujący na sabacie był szpetny i miał trzy rogi, w tym jeden skierowany do przodu, który strzelał płomieniami. Uprawiał seks – zwyczajnie i „jak sodomita" – z królową czarownic, zaś po biesiadzie odprawiał bluźnierczą mszę, czarownice prosiły o odpuszczenie win i rozdawano im czarne opłatki.

Z zebranych przez inkwizytorów zeznań wynikało, że czarownice mogły się zmieniać w zwierzęta i posiadały zdolność lotu. Zatruwały uprawy, ściągały burze i sztormy, truły sąsiadów, zabijały ludzi i zwierzęta, ale najchętniej prześladowały dzieci. Dusiły je w łóżkach, karmiły zatrutymi jabłkami i wykorzystywały ich zwłoki, by warzyć trucizny. Starsze czarownice podstępem porywały dzieci na sabaty, by je włączyć do diabelskiej sekty. Dzieci dostawały ropuchy – także po francuskiej stronie granicy, co skrupulatnie opisał de Lancre – odziane w ludzkie ubranka i miały o nie dbać, a czasami także smagać je, żeby się nadymały i wydzielały zielony płyn, który potem wykorzystywano w czarodziejskich balsamach i truciznach.

Wobec tych rewelacji Valle wezwał do pomocy kler parafialny. Niebawem kościoły w baskijskich wioskach zaczęły rozbrzmiewać kazaniach o potwornościach popełnianych na sabatach. W wioskach narastała panika. Wieśniacy, pasterze i rybacy dziesiątkami przyznawali się do czarów i wskazywali sąsiadów, których widywali na sabatach. Dzieci były jeszcze bardziej rozmowne: pewien 12-letni żebrak Juanico de Aguirre wydał aż 147 czarownic, póki nie przyznał się do kłamstwa. Pod koniec 1609 r. w więzieniu w Logroño przetrzymywano już 53 osoby, a z baskijskich wiosek napływały budzące grozę informacje o kulcie diabła. Sytuacja stawała się tak trudna, że inkwizycja poprosiła króla o wysłanie w góry duszpasterzy, bo okoliczni wieśniacy ewidentnie nie mieli pojęcia o wyznawanej wierze, toteż z wielką łatwością padali ofiarą czarta.

Dzieci porywane na sabaty

Koncentrując się na perspektywie ofiar, zapominamy, że w tragedii rozgrywającej się w Nawarze, było wielu aktorów. Uwzględnienie perspektywy tych, którzy wiedzieli, że czarownice są prawdziwe i niebezpieczne, jest niezbędne, byśmy zrozumieli rzeczywistość, w jakiej żyły i rzekome czarownice, i ich rzekome ofiary. Rodzice i bliscy dzieci, które skarżyły się, że czarownice uprowadzają je na sabaty, doświadczali niewyobrażalnego dla nas strachu, także o dusze dzieci, którym groziło wieczne potępienie. Żeby uchronić je przed porwaniem na sabat i odstraszyć czarownice, pilnowano ich całymi nocami, kazano się modlić przez długie godziny, powstrzymywać się od snu, przywiązywano je do łóżek lub zamykano w kościele. Najgorsze, że nawet jeśli rodzice przez całą noc widzieli dzieci w łóżkach, rano mówiły, że były na sabacie w towarzystwie diabła. Niektóre z tych dzieci całymi tygodniami z płaczem opowiadały, jak bardzo chcia-

> Istniały regiony, chociażby Normandia, Estonia czy Islandia, gdzie zdecydowaną większość czarownic stanowili mężczyźni

eprasa.pl ab36aaa8da

łyby uwolnić się od diabła i uratować swoją duszę, ale nie mogą. Skarżyły się, że czarownice biją je, chłoszczą i straszą otruciem.

Zarówno rodzice, jak i sąsiedzi oraz inkwizycja postrzegali te dzieci jako ofiary. W ówczesnej Europie nie było to normą. Pod koniec XVI w. Peter Binsfeld, biskup pomocniczy Trewiru, gdzie podczas polowania na czarownice ujawniono wiele dzieci-czarownic, twierdził, że należy zastosować wyjątkowe środki do zwalczania czarownic, dopuszczać zeznania dzieci przeciwko dorosłym oraz stosować wobec dzieci poniżej 14 roku życia tortury. Wkrótce rozpowszechniło się przekonanie, że czary są niejako super-zbrodnią, którą należy ścigać wszelkimi sposobami, nawet torturując dzieci. Nie znalazło to jednak uznania w oczach hiszpańskiej inkwizycji. Inkwizytorzy nie prowadzili postępowań przeciwko dziewczętom poniżej 12 r. i chłopcom poniżej 14 r. życia. Ponadto zgodnie z instrukcją z 1561 r. każdy oskarżony poniżej 25 r. życia wymagał reprezentanta prawnego. Inkwizytorzy konsekwentnie postrzegali dzieci i nastolatki jako ofiary i nie ścigali ich za czary.

Natomiast świadectwa dzieci o sabatach uznawano za wiarygodne i to nawet wtedy, gdy one same były również winne czarownictwa. Miało to ogromne znaczenie, ponieważ dziecka nie można było pozwać o zniesławienie, nie istniał żaden mechanizm prawny, pozwalający bronić się ofiarom dziecięcych donosów. Dzieci stanowiły więc idealne narzędzie zemsty oraz sąsiedzkich i rodzinnych porachunków.

Oskarżenia o czary i strach niszczyły wspólnotę. Rodzice dzieci porywanych na sabaty nachodzili wskazywane przez nie czarownice i zmuszali je do wyznania win. Jakaś kobieta tłumaczyła potem, że skłamała, że jest czarownicą, bo wszyscy w wiosce w to wierzyli, a jej mąż i córka byli przerażeni, że zabiorą im dom – i mąż, który, nigdy nie płakał, z płaczem prosił ją, by się przyznała. Inna młoda służąca przyznała się, bo pracodawcy grozili jej, że jeśli się nie przyzna, utopią ją w studni. Jakaś 13-latka przyznała się, bo ojciec ją zbił i nastraszył, że inkwizycja spali ją żywcem, jeśli się nie przyzna.

Gorliwi franciszkanie, sceptyczni jezuici

Śledztwo inkwizycyjne trwało, tymczasem duszpasterze i kaznodzieje ruszyli do Kraju Basków z misją chrystianizacyjną. Franciszkanie z wielką żarliwością wygłaszali kazania przeciwko czarownicom i wiele osób nakłonili, by się przyznały i wskazały swoich wspólników. Jezuici natomiast stawali się coraz bardziej sceptyczni. Jeden z nich, Hernando de Solarte, napisał wręcz raport, że rzekomym czarownicom nie pozwala się uczestniczyć we mszy i przystępować do sakramentu pokuty, co uznał za „niebezpieczną innowację. Stwierdził, że dzieci denuncjujące czarownice były do tego przymuszane lub przekupywane, a same czarownice plątały się w zeznaniach. Informował też, że miejscowi urzędnicy pozwalali obrzucać kamieniami domy podejrzanych i ukrywali zniszczenia. Opisał narastającą przemoc, samosądy i zastraszanie przy milczącym wsparciu terenowych funkcjonariuszy inkwizycji.

Kiedy raport Solarte trafił do inkwizytorów z Logroño, na wszelkie sposoby starali się go zdyskredytować. Stwierdzili, że jezuici podważają autorytet inkwizycji, a sam Solarte „robi diabelską robotę". Zdecydowanie przesadza co do nielegalnych tortur i wymuszeń w wioskach. Poza tym chętnie sami go przesłuchają.

Ale w góry wyruszył również biskup Pampeluny, który sam był niegdyś inkwizytorem i teraz postanowił naocznie się przekonać, czy w jego diecezji naprawdę zaroiło się od czarownic. Nie miał żadnej władzy nad inkwizytorami z Logroño, lecz nie wierzył w wykrytą przez nich sektę czarownic. Księża z jego orszaku pozwalali sobie w obecności duchowieństwa parafialnego na uwagi, że jest niedorzecznością wierzyć w te wszystkie brednie. Co istotniejsze, sąd biskupi zaczął rozpatrywać skargi rzekomych czarownic na wymuszenia i nadużycia popełniane przez kler parafialny.

Auto-da-fe

Tymczasem inkwizytorzy z Logroño nadal byli szczerze przekonani, że baskijscy wieśniacy oddają cześć diabłu. Poza tym największe śledztwo przeciwko czarownicom w dziejach hiszpańskiej inkwizycji dowartościowało ich prowincjonalny i niedofinansowany trybunał. Jego rezydentów rozpierała duma. Posunęli się nawet do tego, że – z pominięciem Supremy, co było niebywałe – poinformowali o swoich sukcesach w walce z czartem monarchę. Wobec oskarżonych postępowali z maksymalną surowością i opóźniali ogłoszenie tzw. edyktu łaski, który pozwalał na pojednanie z Kościołem wszystkich, którzy przyznali się do winy.

W tamtym czasie do dwóch rezydujących w Logroño inkwizytorów dołączył już trzeci, Alonso de Salazar Frías. Z początku nie kwestionował realności czarów i czarownic. Podnosił jednak, że nie ma wystarczających dowodów apostazji czarownic, czyli herezji, której ściganiem zajmuje się inkwizycja. Pomimo to skazano na śmierć 11 osób.

W listopadzie 1610 r. w Logroño odbyło się wielkie auto-da-fe, uroczyste zamknięcie procesu inkwizycyjnego i ogłoszenie wyroków. Ściągnęły na nie wielkie tłumy, mówi się nawet o 30 000 gapiów. Odczytanie szczegółowych i pełnych barwnych opisów wyroków 11 czarownic przeznaczonych do spalenia zajęło cały dzień, więc wszyscy zgromadzeni gruntownie pogłębili wiedzę o sabatach i popełnianych tam nikczemnościach. Winnych przekazano władzy świeckiej, by przeprowadziła egzekucje. Spośród 11 osob skazanych na stos pięć zmarło w trakcie wielomiesięcznego śledztwa, spalono więc ich podobizny. Wymierzono też wiele lżejszych kar. Na czasowe wygnanie skazano też jakiegoś studenta, który podawał się za sekretarza inkwizycji i samowolnie polował na czarownice oraz pewnego kupca, który na podstawie podrobionych dokumentów przesłuchiwał podejrzanych i wydawał nakazy ich aresztowania, by potem wymuszać od nich okup za odstąpienie od dalszych działań i zniszczenie akt.

Jednakże auto-da-fe i zakończenie inkwizycyjnego śledztwa bynajmniej nie zdławiło polowania.

Opór ofiar

Wobec informacji o setkach nowych czarownic inkwizytor generalny zdecydował się skonsultować z biskupem Pampeluny, który w serii listów wystawił druzgocące świadectwo trybunałowi z Logroño. Pisał, że terenowi funkcjonariusze inkwizycji nie posiadają ani inteligencji, ani wiedzy, by zajmować się tą sprawą. Na dodatek fałszują dokumenty, kłamiąc, że oskarżeni wyznawali winę dobrowolnie, podczas gdy ci byli nielegalnie torturowani. Argumentował, że Valle i Becerra są tak przekonani o istnieniu czarownic, że nie są w stanie działać z należytą starannością. O wybuch paniki obwiniał Francuzów, twierdząc, że w jego diecezji nikt nic nie słyszał o czarownicach, póki ludzie nie zaczęli tu uciekać z Francji przed „tym nieodpowiedzialnym sędzią", de Lancre. Wyjaśniał, że ponieważ Valle kazał księżom szukać czarownic, ci jęli grzmieć z ambon o sabatach i przekonywać, że ¾ mieszkańców Nawarry to czarownice, nic więc dziwnego, że wywołali epidemię czarów.

Biskup był ponoć tak zirytowany działaniami inkwizycji, że rozważał skargę bezpośrednio do Rzymu i papieża.

Buntować zaczęły się również ofiary. Na przykład 11 mieszkańców wioski Erratzu oskarżyło przed sądem biskupim w Pampelunie swojego proboszcza, jednego z głównych podżegaczy przeciwko czarownicom, że ich bezprawnie pomawiał, więził i krzywdził z powodu fałszywych oskarżeń. Z oburzeniem zeznali, że odmówił ostatniego namaszczenia pasterzowi oskarżonemu o czary, a jakąś starowinę trzymał pięć miesięcy w dybach.

Dodatkowo oskarżyli go przed sądem świeckim i jak mówili, jeśli oni mają być w inkwizycyjnym więzieniu z powodu księdza, to jego też należy wsadzić do wieży biskupiej. Dzięki cichemu poparciu biskupa uzyskali wyrok skazujący, co dało pozostałym księżom w diecezji do myślenia i powściągnęło ich zapał do ścigania czarownic.

Podobnych wyroków było więcej. Wicekról Nawarry domagał się od trybunału w Logroño wyjaśnień w sprawie nadużyć popełnianych w wioskach, bo zgodnie z prawem urzędnicy inkwizycji nie mogli nikogo karać. Inkwizytorzy z Logroño twierdzili, że jeśli doszło do nadużyć, to wyłącznie ze strachu i rozpaczy, bo dzieci były wszak gubione, no i te potworne czarownice są jednak prawdziwe.

Najbardziej godne pożałowania wydarzenie w historii inkwizycji

W maju 1611 r. z polecenia Supremy najmłodszy z inkwizytorów z Logroño, Alonso de Salazar Frías, wyruszył na kolejną wizytację, żeby zbadać na miejscu sprawę czarownic. Spędził w podróży wiele miesięcy. Zamknął 1 802 sprawy, uniewinnił 1 384 dzieci i 41 dorosłych, przywrócił na łono Kościoła 290 osób podejrzanych o herezję i przyjął odwołania wcześniejszych zeznań od 81 osób. Jego dokumenty z wizytacji liczyły ponad 11 000 stron manuskryptu.

Po powrocie do Logroño sporządził raport, zawierający druzgocącą ocenę wcześniejszych dokonań jego konfratrów. Stwierdził, że trybunał w Logroño nie miał wystarczających dowodów, by w ogóle wszczynać procesy.

Podczas procesów zlekceważono zasadę, że skazanie może nastąpić jedynie wskutek przyznania się do winy lub zgodnego świadectwa dwóch naocznych świadków, zaś zeznania wielu świadków, ale rozbieżne, powinny być traktowane jako dowody niewystarczające.

Brakowało fizycznych dowodów kultu diabła oraz szkodliwej magii, były natomiast dowody przekupstwa, wymuszeń i nawet nielegalnych tortur, za pomocą których wydobywano zeznania. W śledztwie łamano procedury, zacierano różnicę między pogłoską a świadectwem z pierwszej ręki, wspólnikami i świadkami, pełnoletnimi i małoletnimi. Salazar konstatował, że to diabeł doprowadził do tego całego polowania i jest ono najbardziej godnym pożałowania wydarzeniem w historii inkwizycji.

Co istotne, Salazar nie podważał wiary w czary. Twierdził jedynie, że nie da się ich wykazać w tych konkretnych przypadkach na podstawie istniejących dowodów. Jego argumentacja była zachowawcza i prawnicza – i zapewne dlatego okazała się skuteczna. Niemniej stawał też w obronie baskijskich wieśniaków. Przekonywał, że są dobrzy, mądrzy i pobożni ludzie, dobrze nastawieni do Kościoła, gorliwi w wierze i pełni szacunku do duchownych, a potraktowano ich niesprawiedliwie. Najlepszym sposobem walki z czarownicami, argumentował, jest po prostu przestać o nich rozmawiać i podsycać strach.

Przed śmiercią generała Franco i otwarciem archiwów inkwizycji historycy uważali inkwizycję – sugerując się czarną legendą stworzoną przez protestantów z Niderlandów i Anglii –za niezmiernie sprawną i skuteczną instytucję. Dopiero po starannej lekturze akt wyszło na jaw, jak chaotyczna i wewnętrznie skłócona potrafiła być. Śledztwo z Logroño jest tego najlepszym przykładem. Dowodzi, że ani Suprema nie była w stanie kontrolować swoich inkwizytorów, ani inkwizytorzy swoich terenowych pracowników i notariuszy, którzy pracowali tak źle i tak często znikali z pracy, że jak zauważył współczesny świadek, byłoby już lepiej, gdyby wszyscy brali łapówki i mieli konkubiny.

Koniec polowań na czarownice

Zdanie Salazara przeważyło. W 1614 r. z polecenia Supremy stworzył nową instrukcję postępowania w sprawach o czary, która została uznana za obowiązującą. Czarów nie uznano w niej za iluzję, ale podkreślono różnicę pomiędzy rzeczywistością a iluzją i konieczność badania intencji zeznających. Dopuszczono pozamagiczne wyjaśnienia w przypadku klęsk naturalnych oraz możliwość oczyszczenia się z zarzutu czarownictwa pod przysięgą. Odwodzono natomiast od wymuszania zeznań. Instrukcja została wysłana do wszystkich trybunałów inkwizycyjnych w hiszpańskiej jurysdykcji, także w Nowym Świecie. Wydano też kilka instrukcji zabraniających konfiskowania majątku rzekomych czarownic, co mocno osłabiało wśród inkwizytorów zapał do ich ścigania. Inkwizytorzy pozwalali sobie nawet na utyskiwania, że sprawy z czarownicami zwykle przyczyniają dużo pracy, wydatków i kłopotu, a doświadczenie wskazuje, że niewiele z nich zysku.

Dodatkowo w 1614 r. cofnięto wyroki wydane w 1610 r. Skazanym pozwolono wrócić z wygnania, uwolniono odosobnionych w klasztorach. Cofnięto przepadek mienia i nakaz noszenia szat pokutnych. Ale nie przywróciło to życia spalonym i zmarłym podczas śledztwa.

Jednakże instrukcja Salazara była punktem zwrotnym w historii hiszpańskich polowań na czarownice. Od 1614 r. inkwizycja nie autoryzowała wyroków śmierci za czary, choć pojedynczy inkwizytorzy nadal uważali, że czarownice należy palić na stosach. Ale kiedy w kiedy w 1616 r. wybuchła epidemia czarownictwa w Vizcaya i lokalny trybunał przygotował wyroki dla 289 czarownic, dzięki interwencji Salazara wszystkie uwolniono i uniewinniono. Zdarzało się nawet, że inkwizycja przejmowała od sądów świeckich rzekome czarownice, by je ratować przed śmiercią. Na przykład w 1621 r. trybunał inkwizycyjny w Barcelonie przejął 18-letnią dziewczynę, która – w trakcie tortur – została wskazana przez 6 starszych kobiet jako uczestniczka sabatu. Inkwizytorzy krótko ją przesłuchali, a potem uwolnili.

Czarownic bowiem dalej ginęły, tyle że teraz z wyroków sądów świeckich lub mordowane bez wyroków przez własnych sąsiadów, którzy w przeważającej mierze wierzyli w niszczącą moc czarów. Niestety nie jesteśmy wyłącznie córkami czarownic, których nie udało się spalić. Jesteśmy także córkami ich sąsiadek, które na nie donosiły i uczestniczyły w samosądach. ●

FOT. ALBERT ZAWADA

Anna Brzezińska

• – ur. w 1971 r., pisarka, jedna z gwiazd polskiej literatury fantastycznej, trzykrotna laureatka Nagrody im. Janusza A. Zajdla, z wykształcenia mediewistka. Autorka bestsellerowych serii o zbóju Twardokęsku, Wilżyńska Dolina i Wielka Wojna, powieści „Woda na sicie. Apokryf czarownicy", książki historycznej „Córki Wawelu" oraz licznych opowiadań.

Tekst oparty na badaniach, jakie autorka prowadziła, pisząc nową powieść. **„Mgła"** już dostępna w dobrych księgarniach, na stronie Wydawnictwa Literackiego oraz w formie e-booka na Publio.pl. Losami kobiet na przełomie średniowiecza i nowożytności historyczka zajmuje się również we wcześniejszej powieści **„Woda na sicie. Apokryf czarownicy".**

eprasa.pl ab36aaa8da

weekendówka 98

CZEKOLADOWO-KRZYŻÓWKOWO

Najprzeróżniejsze święta służyły nam już za pretekst do ułożenia „Weekendówek". Zresztą, sami o tym przecież wiecie. Nie inaczej będzie im tym razem, ale tak smakowicie to chyba jeszcze nie było nigdy...

Otóż tak się właśnie złożyło, że wczoraj, czyli 12 kwietnia świętowaliśmy w naszym kraju Dzień Czekolady. Znakomity dzień. Ale że okazja jest naprawdę zacna, przeto czekoladowe święto celebrowane jest znacznie częściej.

Oto na przykład popularna jest data 7 lipca, jako Światowy Dzień Czekolady. Uważa się bowiem, że to 7 lipca 1550 roku w Europie zaprezentowano po raz pierwszy ziarno kakaowca, odkrytego znacznie wcześniej przez Krzysztofa Kolumba.

Z kolei Narodowe Stowarzyszenie Amerykańskich Cukierników radzi świętować 13 września – wtedy bowiem wypada rocznica urodzin (przyszedł na świat w 1857 roku) Miltona S. Hersheya, sławnego amerykańskiego cukiernika. W Ghanie, drugim największym producencie czekolady na świecie (zdecydowanym liderem jest Wybrzeże Kości Słoniowej) święto to przypada za to 14 lutego.

Ale to nie koniec. 10 stycznia przypada Dzień Gorzkiej Czekolady, 27 stycznia – Dzień Ciasta Czekoladowego, 31 stycznia – Dzień Gorącej Czekolady, 7 czerwca – Dzień Lodów Czekoladowych, 24 czerwca – Dzień Pralinki, 28 lipca – Dzień Mlecznej Czekolady, 22 września – Dzień Białej Czekolady i 16 grudnia – Dzień Pokrywania Wszystkiego Czekoladą (o tych wszystkich okazjach przypomina Blog Czekolady, którego autorka naprawdę ma imponującą o czekoladzie wiedzę – zajrzyjcie!).

Wspomnianym amerykańskim cukiernikom i tak jednak jest mało, bo proponują świętować jeszcze 28 października i 28 grudnia.

Jak widać, okazji do uczczenia tego wspaniałego przysmaku nie brakuje. Ba, nawet jeśli nie zrobiliście tego w piątek, możecie nadrobić zaległości dziś, nie trzeba czekać do kolejnej daty figurującej w rejestrach czekoladowych kronikarzy.

Z czekoladowej historii warto może jeszcze zapamiętać jedno nazwisko. To Brytyjczyk Francis Fry, syn Josepha Storrsa Fry'a, który pierwszy wykombinował – choć przy solidnym wsparciu braci, Richarda i Josepha - jak zrobić tabliczkę czekolady. Stało się to w roku 1847 roku. Dziękujemy i smacznego!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

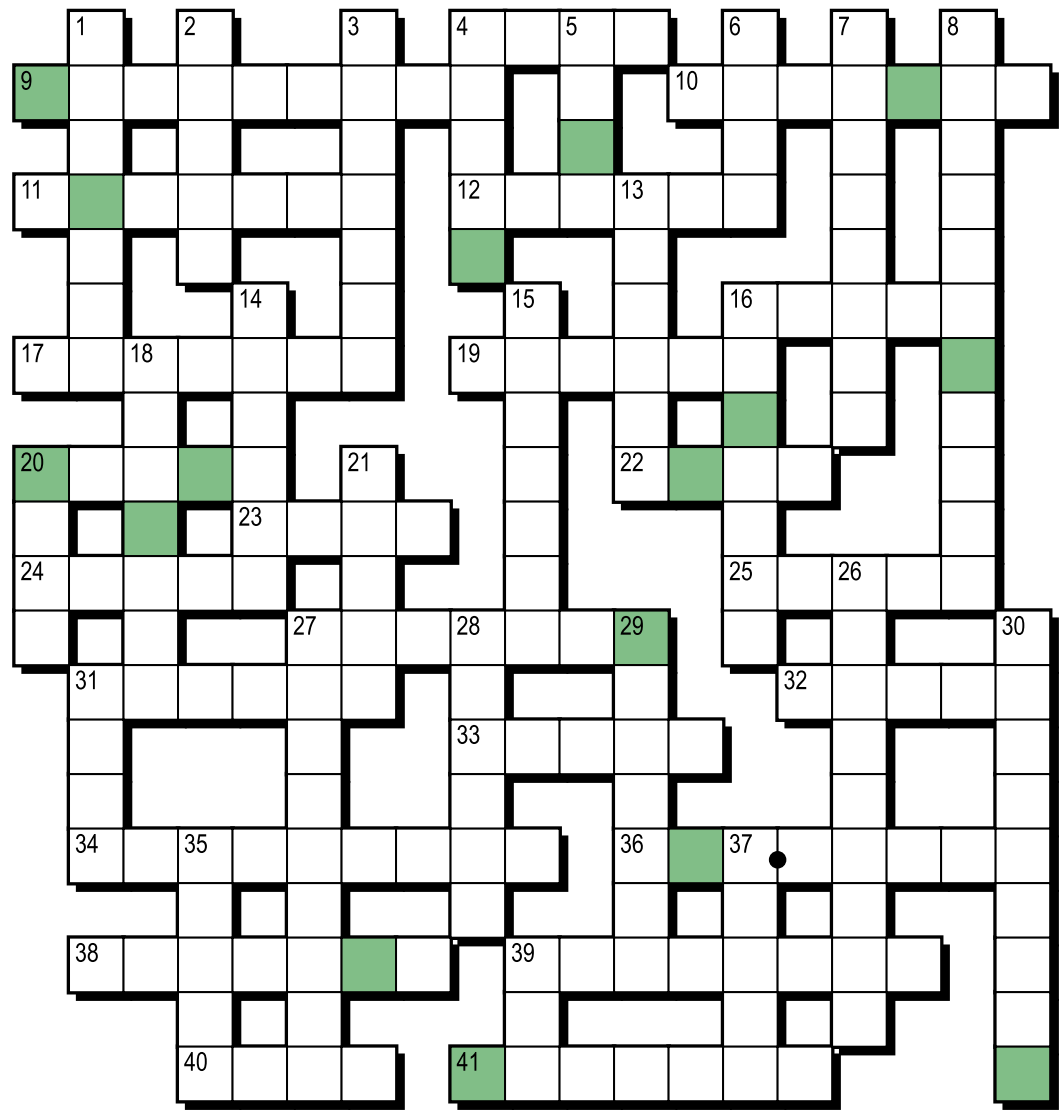

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 97 z 6.04:

Poziomo:
3) bokser 7) Nairobi 8) Olimp 9) mistrz 10) Brisbane 11) muzeum 14) laureaci 15) motto 16) koła 17) slogan 19) piosenka 21) finał 23) paraigrzyska 27) ogień 29) podium 30) Lozanna 31) rywal 33) tenisista 35) maratony 36) Komitet 37) Szpakowski 38) delegacja

Pionowo:
1) minimum 2) Coubertin 4) sztafeta 5) rozmach 6) widz 9) meta 10) bogowie 12) Europa 13) Maja 14) Los Angeles 18) ojczyzna 20) stadion 21) flaga 22) numery 24) atmosfera 25) Konopacka 26) kontrole 28) filmy 32) wioska 34) trasa

HASŁO:
WALKA O MEDALE

CZEKOLADÓWKA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
4) marka batonów czekoladowych
9) marka czekolad o trójkątnym profilu
10) Henryk Kwinto (wysłał Kramerowi czekoladki ze Szwajcarii)
11) ptasie ..., z czekoladową otoczką
12) brownie
16) nazwisko bohatera powieści z określenia 17 poziomo
17) „Charlie i ... czekolady", sfilmowana powieść Roalda Dahla
19) Basia Stępniak-Wilk i Grzegorz ..., śpiewają o bombonierce („I rozgryzać tę zagadkę po ostatnią czekoladkę")
20) proszek na tabliczki
22) „... jak czekolada", film o wilkołakach
23) ... Czekoladowy, impreza sportowa organizowana w Poznaniu
24) imię 16 poziomo
25) ... Minogue, nagrała piosenkę „Chocolate"
27) imię Tyrmanda, autora zbioru opowiadań „Gorzki smak czekolady Lucullus"
31) „Miłość jak czekolada" (150 odcinków) lub „Jak dwie krople czekolady" (119 odcinków)
32) np. czekoladowy
33) twarz Milki
34) masa czekoladowa, którą powleka się wyroby cukiernicze
36) amerykański piosenkarz i muzyk („Chocolate Jesus")
38) „Czekolada" Joanne Harris
39) „Czekolada" Nataszy Zylskiej („A po czekoladce usta są tak smaczne...")
40) czekoladowe, w pucharku
41) słodka przyprawa, do deserów czekoladowych jak znalazł

Pionowo:
1) marka czekolad (Wielkopolska)
2) ... Czekoladowa, z Akademią Pana Kleksa
3) niemieckie miasto z Muzeum Czekolady
4) marka czekoladowych pralinek (dziękuję)
5) gurami czekoladowe
6) kształt czekoladowej Kinder Niespodzianki
7) lokal, w którym można skosztować filiżanki czekolady
8) „..., kochankowie, czekolada", powieść Alexandra McCall Smitha
13) Karin, nagrała piosenkę „Czekoladowy krem"
14) ... czekoladopodobne
15) „Życie jest jak ... czekoladek" (Forrest Gump)
16) ciastka z ponczem i bitą śmietaną, oblane czekoladą (w „Misiu" obowiązkowe)
18) suszone owoce w tabliczce czekolady
20) np. cappuccino z mlekiem i czekoladą
21) warszawska marka czekolad
26) „A panny to ma słodziutkie ten gród, jak sok, czekolada i miód" – o jakie panny chodzi?
27) Karl, zaprojektował czekoladowy pokój w paryskim hotelu
28) czekolada – ... bogów
29) honorowe ... krwi, „nagradzane" czekoladami
30) frykasy, cymesy, delicje
31) czekolady – słodki albo gorzki
35) marka czekolad (Kraków)
37) do zalewania czekoladowych płatków śniadaniowych
39) nie należy dawać im czekolady

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34310976

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ
Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play

1 RP

eprasa.pl ab36aaa8da